



NOWE CZASY

Nie pora na łzy



EDYTA
ŚWIĘTEK


Replika

NOWE CZASY

Nie pora na łzy



NOWE CZASY

Nie pora na łzy



EDYTA ŚWIĘTEK


Replika

Copyright © Edyta Świętek

Copyright © Wydawnictwo Replika, 2018

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja
Monika Orłowska

Skład i łamanie
Dariusz Nowacki

Korekta
Joanna Pawłowska

Projekt okładki
Mikołaj Piotrowicz

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej
Dariusz Nowacki

Wydanie elektroniczne 2018

eISBN 978-83-7674-760-6

Wydawnictwo Replika
ul. Szarotkowa 134, 60-175 Poznań
tel./faks 061 868 25 37
replika@replika.eu
www.replika.eu



Spis treści

[Drzewo genealogiczne – rok 1992](#)

[Rozdział 1 – Bagaż nielegalny](#)

[Rozdział 2 – Nadzieje](#)

[Rozdział 3 – Bolączki codzienności](#)

[Rozdział 4 – Upał](#)

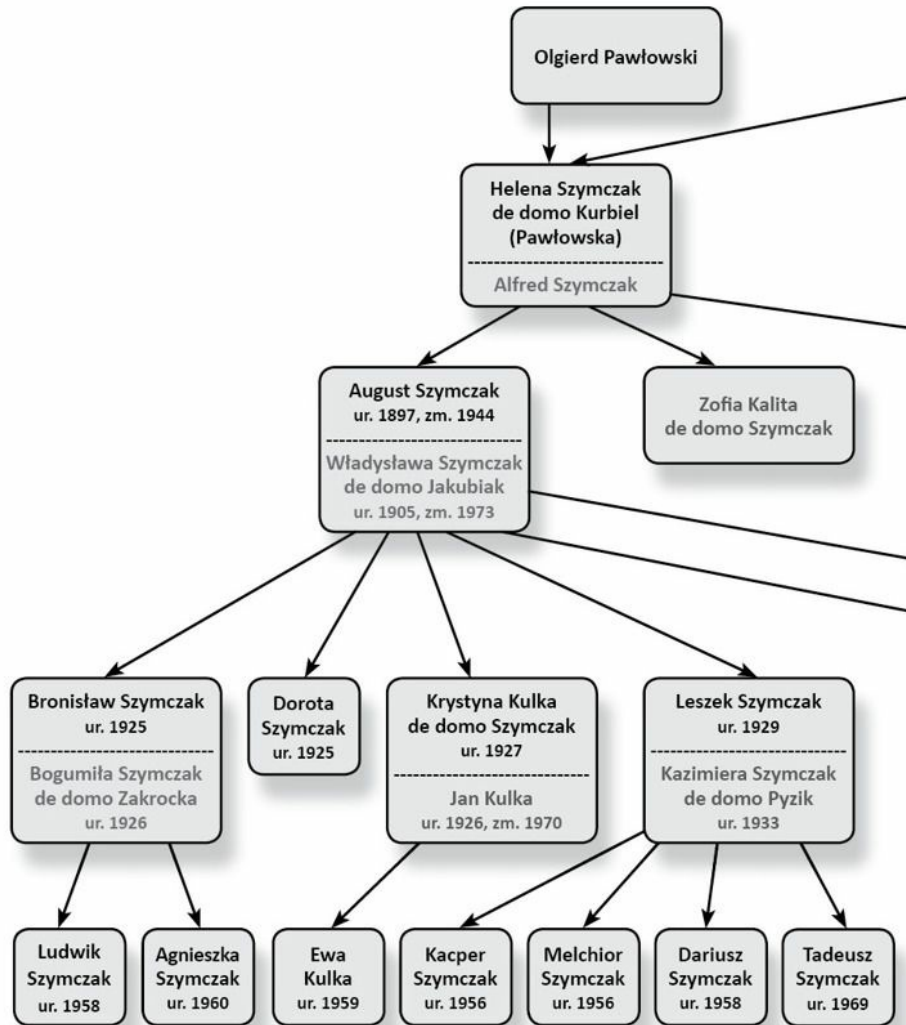
[Rozdział 5 – Strach ma wielkie oczy](#)

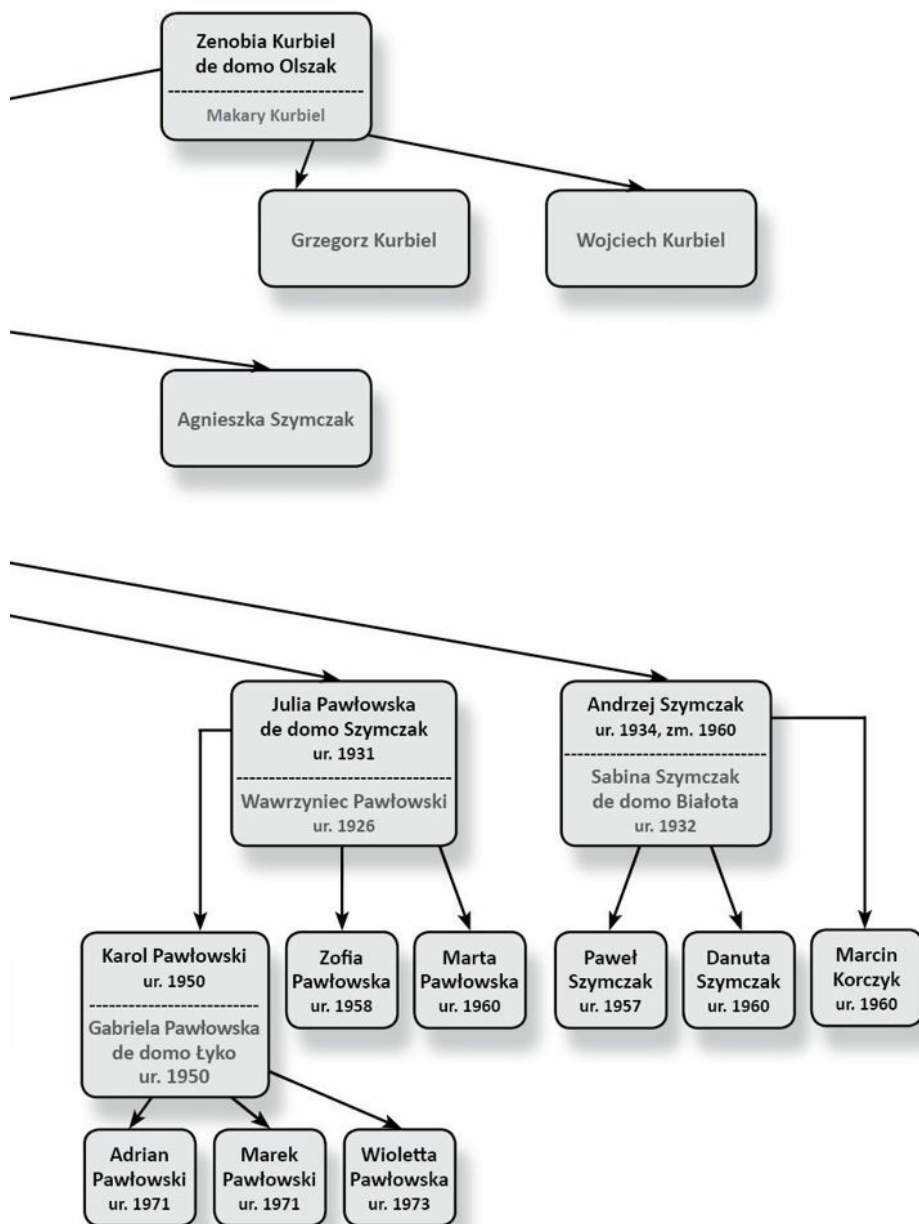
[Rozdział 6 – Niebezpieczne zabawy](#)

[Rozdział 7 – Marzenia](#)

[Rozdział 8 – Kobieta wyzwolona](#)

*Drzewo genealogiczne rodzin: Pawłowskich,
Szymczaków oraz Kurbieli – rok 1977*





Rok 1992

Rozdział 1



Bagaż nielegalny

Już właściwie to mnie nie ma, nie chcę wiedzieć o niczym

Tylko z tyłu pali bagaż nielegalny[\[1\]](#)

Upał trzymał Kraków w silnym uścisku. Lato w mieście miało nieprzyjemną woń spalin, kurzu i potu. W pobliżu bazarów i placów targowych śmierdziało zgnilizną, a z mniej uczęszczanych zaułków oraz bram zalaływało moczem. Zdawać by się mogło, że robotnicze dzielnice utworzone w miejscu niegdysiejszej Nowej Huty toczy jakaś gangrena. Jeszcze do niedawna tutejsi mieszkańcy żywołowo walczyli o wolność i uniezależnienie się od wpływów Związku Radzieckiego, wzniecali regularne bunty przeciwko komunie. Dzisiaj na twarzach tych samych obywateli coraz częściej widywano zwątpienie i rezygnację. Zaczynały się także odzywać pierwsze nieśmiałe głosy, że nie należało występować przeciwko poprzedniej władzy, bo przy niej człowiek miał zatrudnienie i jakie takie warunki egzystencji. A nowa dawała jedynie bezrobocie, inflację i zasiłek, który na nic nie wystarczał i przysługiwał tylko przez kilka miesięcy.

Adrian i Wioletta szli niespiesznie z przystanku tramwajowego do pracy. Trochę żal im było, że piękne letnie popołudnie oraz wieczór muszą spędzić w nowohuckim klubie Dance Floor^[2]. Ich rówieśnicy wylegiwali się teraz nad zalewem albo rozkoszowali kąpielą na dzikich plażach Przulasku Rusieckiego. Oni mieli w perspektywie zaduch lokalu, gryzący dym z papierosów i opary alkoholowe. Droga do klubu była ostatnią sposobnością, by łyknąć choć trochę świeżego powietrza. Chwilę wcześniej wysiedli z tramwaju, przesiąkniętego fetorem niedomytych, zapoconych ciał.

– Praca w piątek to zło – stwierdziła dziewczyna.

– Nikt cię nie zmusza – odparł starszy brat, który w weekendy pełnił funkcję DJ-a, a w tygodniu zajmował się wszystkim, co zlecał mu właściciel lokalu, Michał Grabowski.

Adrian był prawą ręką Grabowskiego, choć niełatwo przychodziło mu godzenie nauki w Akademii Górniczo-Hutniczej z pracą. Stary jednak bardzo go cenił, co przekładało się na zarobki, nie miał także nic przeciwko temu, by w klubie dorabiała sobie młodsza siostra chłopaka, Wiolka.

– No nie – przyznała. – Ale fajnie byłoby wyskoczyć nad wodę. Gorąco dzisiaj – westchnęła.

– I dobrze. Bo jak jest gorąco, to ludziom chce się pić. Będiesz miała niezłe napiwki – dodał, by ją pocieszyć.

Wiedział, że narzekanie siostry to tylko czcza gadanina. Tak naprawdę młoda lubiła swoje zajęcie. Miała dzięki niemu własną forszę, nie musiała prosić ojca o zakup fatalaszków, butów i innych bzdur, bez których dziewczyny nie mogą żyć. Na pewno niejedna z jej koleżanek, leżąc na plaży, marzyła o tym, aby zarabiać na swoje wydatki. Adrian cenił sobie Wiolkę jako współpracownika. Nigdy nie nawalała, do obowiązków podchodziła sumiennie, nie trzeba jej było pokazywać palcem, co jest do zrobienia. Czasami inne kelnerki próbowały wykorzystywać jej pracowitość, ale Adrian zaraz przywoływał je

do porządku.

Zresztą Grabowski też nie pozwalał, by stare wygi, jak określał dłużej zatrudnione dziewczyny, wysługiwały się młodą. Czasami z tego powodu dochodziło do spięć, ponieważ niektóre z nich uważały, że szef faworyzuje smarkatą. I diabli wiedzą, co ich ze sobą łączy, skoro tak się nad nią trzęsie. Kiedyś Jolka Bieniek rozpuściła ploty, że stary leci na nią, a ona na niego – oczywiście dla korzyści, bo właściciel lokalu spokojnie mógłby być ojcem Wiołki.

Zazdrość o młodą wynikała również stąd, że dziewczyna była nadzwyczaj ładna. Po przodkach odziedziczyła szlachetne, harmonijne rysy twarzy: prosty nos i miękką linię pełnych ust. Kaskada gęstych ciemnych włosów opadała jej do połowy pleców. Wyraziste brązowe oczy, których tęczęwki w chwilach zagniewania bądź ekscytacji zdawały się niemalże czarne, z ciekawością spoglądały na świat. Niewielkie, kształtne uszy ozdobione były zwykle jakąś błyskotką, najczęściej kolczykami z prawdziwych pereł, podarowanymi jej na osiemnaste urodziny przez dziadka, emerytowanego dyrektora z Huty imienia Sendzimira. Wioletta była dość wysoka, mierzyła metr siedemdziesiąt, a na dodatek uwielbiała szpilki z dziesięciocentymetrowymi obcasami, w których wyglądała jeszcze smuklej. Miała szczupłą, zgrabną sylwetkę z przyjemnymi dla oczu krągłościami tam, gdzie krągłości były atutem. Świadoma własnej urody i pewna siebie pannica przyciągała męskie spojrzenia. Klienci klubu często zabiegali o jej uwagę, a stali bywalcy wiedzieli, który stolik należy zająć, by zostać obsłużonym przez Pawłowską. Czasami, gdy tego lub owego piwo albo wysokoprocentowe trunki ośmieliły nadmiernie, kelnerka kilkoma umiejętnie dobranymi słowami studziła emocje nachalnego adoratora. A język miała wyjątkowo cięty, choć w przeciwieństwie do większości dziewcząt nie potrzebowała posługiwać się wulgaryzmami, by usadzić

delikwenta w miejscu.

Kiedyś Adrian na własne uszy słyszał, jak ją wkurzył jakiś typek. Zadufany był w sobie jak mało kto, nie dało się nie zauważyć, że to świeżo upieczony biznesmen, który zdołał trochę zarobić. Ubrany był w najmodniejsze ciuchy prosto z bazaru. Jego szyję zdobił złoty łańcuch gruby na palec.

Klient ostentacyjnie wyjął z kieszeni okazały zwitek banknotów. Najpierw zamówił piwo, a potem stwierdził, że należy mu się jeszcze całusek. Oczywiście Wioletta zbyła natręta, jak zawsze w takich sytuacjach. Na niej nie zrobiły wrażenia ani grubość łańcucha, ani zawartość portfela, ani olśniewająco białe skarpety mocno kontrastujące z czernią mokasynów.

– Cnotliwa Zuzia – burknął, gdy kelnerka odwróciła się plecami.

Wiola, niewiele myśląc, zawróciła i ze słodkim uśmiechem na ustach zapytała:

– A słomkę podać do tego piwa czy wyciągnie pan sobie z butów?

Jak zwykle uszło jej to na sucho, ponieważ facet nie był z tych, co lecą na skargę do właściciela lokalu. Zresztą zadziorna brunetka wpadła mu w oko i z miejsca zyskała jego szacunek, bowiem później jeszcze nieraz pojawiał się w klubie Dance Floor. Próbował nawet podrywać Wiolettę w znacznie subtelniejszy sposób, lecz nigdy nic u niej nie wskórał.

Nic więc dziwnego, że uwielbiana przez klientów kelnerka budziła zawiść współpracownic.

Plotki rozsiewane przez Bieńkównę dotarły w końcu do Adriana, a ten, gdy szło o młodszą siostrę, z nikim się nie patyczkował. Bluznął ostro na plotkarę, by na zawsze zapamiętała, że o Wiołce nie gada się za jej plecami. Oczywiście postraszył przy tym Jolę, że jak jeszcze raz przyłapie ją na czymś podobnym, to dopilnuje, by Grabowski podziękował jej

za pracę. A ponieważ faktycznie miał takie możliwości, dziewczyna wolała spuścić z tonu.



- Jest sprawa, Adek – oznajmił Michał, gdy dotarli do klubu.
 - O co chodzi, szefie?
 - Zorganizujesz mi koncert. Trzeba trochę podzwonić i poszukać jakiejś gwiazdy muzyki chodnikowej, która przyjechałaby na koniec wakacji. Rozruszamy trochę ten lokal.
- Adrian spojrzał uważnie na Grabowskiego. Stary na pewno widział w tym niezły interes, skoro opłacało mu się zapraszać muzyków.
- A ma pan jakiś konkretny zespół na myśli?
 - Właściwie to nie. Kapel jest dość i trochę. Sam coś wybierz. Ale może nie Top One czy Bayer Full, bo na nich to raczej nie byłoby mnie stać. Rozeznasz się w temacie? Najlepiej zaplanować imprezę na ostatnią sobotę sierpnia. Domyślam się, że może być kłopot, bo to trochę późno, ale przynajmniej popytaj. Trzeba zorientować się w cenach i czy w ogóle ktoś byłby zainteresowany tym terminem. Gdyby się udało, to tak nagłośnimy sprawę na dzielnicy, że zaraz nam się tutaj zwałą tłumy. Browar będzie płynął strumieniami, zobaczysz. He, he, he!
 - Niezła myśl – stwierdził chłopak. – Występy gwiazdy faktycznie mogłyby przyciągnąć mnóstwo osób.
 - Wiesz, tylko że ja nie bardzo się orientuję, jak to ugryźć – przyznał Grabowski, pocierając się po gładko ogolonej zuchwie.
 - A tyś jest młody i obrotny, to może prędzej coś wymyślisz.
- Tu cię mam, staruszk* – pomyślał Pawłowski.
- Damy radę, szefie – odparł rezolutnie. – Marek handluje kasetami. Pogadam z nim, żeby pozwolił mi przejrzeć

opakowania. Może są tam nazwy wydawnictw muzycznych. Jeśli dotrę do wydawnictwa, to bez problemu załatwi się namiary na liderów jakichś fajnych grup.

– Masz łeb, chłopie – ucieszył się szef. Poklepał młodego po ramieniu. – Nic się nie martw. Dorzucę ci coś ekstra za to zlecenie.



Powietrze wibrowało od upału, gdy w sierpniowe popołudnie Paweł Szymczak wędrował przez największy nowohucki bazar Tomex, podpatrując wśród handlarzy, jak idą ich biznesy. Ostatnio gorączkowo szukał sposobu na zarabianie, lecz pech, który przyplątał się doń dwa lata wcześniej razem z Grobelnym i jego cholerną Bezpieczną Kasą Oszczędności, zdawał się go nie opuszczać. Stracił w tym przeklętym parabanku wszystkie swoje pieniądze. Zresztą nie tylko swoje, bo i cudze również. Zamiast regulować zobowiązania za towar, lokował zyski ze swojej firmy w Kasie. Przez jakiś czas nie wypłacał pensji Markowi Pawłowskiemu, który handlował jego kasetami, lecz i ją składał u Grobelnego. Zwodził młodego obietnicami tak długo, jak tylko było to możliwe. Liczył bowiem na gigantyczne odsetki od kapitału. Niestety pewnego dnia obudził się z ręką w nocniku. Grobelny przepadł wraz z pieniędzmi, i w czasie gdy oszust bawił się w niemieckich burdelach, przepijając krwawicę ograbionych niecnie ziomek, Paweł musiał opętać się od wierzycieli.

Nie wrócę do roboty w kombinacie – wzdychał, wędrując pomiędzy ciasno poustawianymi kramami, na których oferowano wszelakie dobra.

Nie uśmiechała mu się praca na etacie: świątek piątek, na pełen zegar i w nieludzkim znoju. Na tej mozolnej robocie nigdy

w życiu niczego by się nie dorobił, może poza garbem, odciskami na rękach i chorobami zawodowymi. Ale drobnym przedsiębiorcom też było niełatwo. Bo to i po towar trzeba jechać do hurtowni, i sprzedaży doglądnąć, i pozałatwiać wszystkie sprawy urzędowe. Jakby mało było kłopotu, to jeszcze cholerny rząd umyślił sobie, żeby obywatele opłacali podatek dochodowy! No panie! Toż to wyzysk! Nie dość, że narobić się trzeba ile wlezie, naużerać z ludźmi, którzy na wszystko teraz kręcą nosami – tak im się w dupach przewracało przez ostatnie trzy lata dobrobytu, gdy wszystko stało się dostępne na wyciągnięcie ręki – to jeszcze oddaj za nic część krwawicy państwu! Ot, kapitalizm!

Zainwestowałbym w obligacje – wzdychał Szymczak. Bo z tego pieniądź pewny i bez roboty. Nie trza się trudzić jak przy handlu. Kupuję papiery, a potem odzyskuję gotówkę z procentem lepszym, niż daje bank. Oj... Gdybym miał ten kapitał, com go utopił u Grobelnego! Ale kto mi teraz choćby złotówkę pożyczy? Jeszczem tamtych długów nie pospłacał do końca.

Na Tomeksie panował zaduch i ścisk. Ludzie szwendali się z miejsca na miejsce, nie tyle z chęci kupowania, bo groszem mało kto śmierdział, ale po to, by popatrzeć na oferowane towary. Wszystko cieszyło się zainteresowaniem: i sprzęty hi-fi, i kasety, i filmy, i ciuchy, i kosmetyki. Tłoczno było nawet przy Ruskach, którzy ustawiali się zwykle w jednym miejscu i na płachtach wykładali dobra przywiezione z za Bugu. U nich często można było kupić coś atrakcyjnego, niekoniecznie z legalnego źródła, choć i niezbyt dobrej jakości. Albo raczej nie tak ładnie wykonane, jak rzeczy przywiezione z Zachodu.

Paweł i tak lubił zaglądać do zajmowanej przez nich części bazaru, choć na ogół odpuszczał sobie robienie zakupów. Po rosyjskiej wódce rzygał kiedyś przez trzy dni. Papierosy mieli okropnie cuchnące. Jak raz wziął dla córki czekoladę, to też

okazało się, że jest do kitu. Mała ugryzła i tylko się skrzywiła.

– A fuj, margaryna! – powiedziała z odrazą i cisnęła napoczętą tabliczkę na stół. – Niemiecką byś kupił – pouczyła ojca.

– W tyłku ci się przewraca – burknął, zły, że pogardziła smakołykiem. To prawda, że sam ją tak rozpieścił. Zawsze kupował swojej Gosiulce wszystko to, co najlepsze. Ot, jedynaczka, oczko w głowie tatusia: wychuchana, wydmuchana i rozpuszczona jak dziadowski bicz. No i taką mu sprawiła przykrość!

Później, jak już sam spróbował tego specjału, stwierdził, że córka ma całkowitą rację. Czekolada była wstrętna.

Czasami jednak wśród tego badziewia dało się wyszukać jakiś rarytas: solidną wojskową lornetkę, skórzany pas z demobilu albo chociażby puszkę chałwy – tej ostatniej ruscy nigdy nie spieprzyli, zawsze miała doskonały smak. A po wyjedzeniu resztek można było trzymać w blaszanym pojemniku jakieś drobiazgi: śrubki, żyłki lub stare monety, których już nikt nie używał, bo za wszystko płaciło się szeleszczącymi milionami z Reymontem albo „moniuszkami” i „sienkiewiczami” o nieco niższych nominałach. Gosia zwykle dopominała się o te pudełka, bo lubiła do nich wkładać swoje skarby: ubranka i buciki lalek Barbie, koraliki i jakieś inne bzdety. Andzia też wyciągała ręce po blaszanki, ponieważ nadawały się świetnie na szpilki, agrafki czy guziki. Tak więc spożycie chałwy u Szymczaków było stosunkowo duże, co znajdowało odzwierciedlenie w bujnych kształtach pani domu oraz wałeczkach tłuszczu u córusi.

– Spirytus, spirytus – wycedził przez zęby Rumun.

Paweł znał go z widzenia, zresztą już parę razy kupował u niego alkohol. Próbował nawet podpytać, skąd ma towar, lecz handlarz nie chciał ujawnić źródła. Szymczak wiedział, że Dragan przyjechał do Polski z liczną rodziną. Jego żona tkwiła zazwyczaj przed wejściem na bazar. Obok niej na kartonie

i szmacie spało zwykle niemowlę – zadziwiająco spokojnie jak na tak małe dziecko. Maleństwu nie przeszkadzał hałas i ruch, setki stóp przechodzących o krok od jego główki. Elena siedziała ze wzrokiem wbitym w ziemię. Właściwie to nie tyle siedziała, co klęczała, opierając pośladki na piętach. Pochylała kark w pozie przepętnionej pokorą. W dłoniach trzymała kawałek kartonu, na którym ktoś nakreślił koślawymi literami prośbę o datki. Była żebraczką, jedną z wielu kręcących się przy Tomeksie.

Czasami przychodzili policjanci lub strażnicy miejscy i przepędzali kobieciny zakutane w bure szmaty. One jednak zawsze wracały na swoje stanowiska, ponieważ każda miała stały punkt, w którym zazwyczaj „zarabiała”. Potrafiły nieźle skakać sobie do oczu, gdy zjawiała się jakaś nowa i zajmowała miejsce prawowitej rezydentki.

Paweł zdążył się temu wszystkiemu przyjrzeć, gdy jeszcze handlował kasetami magnetofonowymi. Jego stoisko było wówczas dość blisko wejścia i miał dobry widok na żebraczkę. Czujne spojrzenie Szymczaka widziało każdy banknot trafiający do chustki rozłożonej na podółku kobiety. Franca bez roboty miała nieraz większy utarg niż on!

Ludzie litowali się nad Rumunkami oraz zadziwiająco cichą dziatwą, która cierpliwie znosiła nieludzkie warunki. Sypali dość hojnie banknotami o najniższych nominałach. Na koniec dnia zbierała się z tego pokaźna sumka, którą zgarniał Dragan lub jemu podobni. Kobiety podnosiły się z klęczek, brały na ręce potomstwo i szły gwarną gromadą do pobliskiego taniego hotelu robotniczego, w którym gnieździli się Rumuni. Brudne, nędznie odziane, zaniedbane – staruszki za młodu. Z dziećmi o bezmyślnych twarzach.

Kiedyś przyuważył, jak kręcący się w pobliżu Dragan wziął od Eleny flaszkę, zdjął gumowy smoczek i dolał do zawartości trochę alkoholu. A potem ona dała to dziecku. W jednej chwili

Paweł zrozumiał, czemu później tak spokojnie spało. Było po prostu zamroczone wódką. Zrobiło mu się trochę żal tego malucha, bo co z niego wyrośnie, skoro od pierwszych dni życia zna smak gorzałki? Czy w ogóle ma szansę wyrosnąć? Sam był ojcem i bardzo kochał swoją jedynaczkę. Nieba by jej przychylił. Wszak to dla córki tak ciężko pracował. Aby Gosiulce żyło się lepiej niż jemu, kiedy był podrostkiem. On nie miał ładnych zabawek, modnych ubrań, kotletów, pomarańczy i czekolady, ponieważ w domu rodzinnym była bieda z nędzą. Małgosi chciał i mógł zapewnić absolutnie wszystko.

Jak zawsze u „rucholi” obejrzał zegarki marki Rakietka i Arktika. Podobały mu się te drugie: miały niespotykane nigdzie dwudziestoczworogodzinne tarcze. Korciło go, by sprawić sobie tak unikatową rzecz, lecz dobrze wiedział, że Andzia zaraz by go wyśmiała. Bo w jej oczach uznanie miały tylko modele Montany z szesnastoma melodyjkami albo z kalkulatorem. Zrezygnował z transakcji, choć Rusek oferował mu czasomierz w naprawdę atrakcyjnej cenie.

– Wy szukacie czegoś ekstra – zagadnął handlarz, posługujący się całkiem przyzwoitą polszczyzną. Jedynie akcent i forma grzecznościowa zdradzały, że jest obywatelem rozwiązanego w ubiegłym roku Związku Radzieckiego.

– A co ciekawego macie na handel? – Szymczak zniżył głos, licząc, że może trafi na jakąś perełkę.

Nie mylił się. Po krótkiej wymianie zdań mężczyzna zostawił swój biznes pod opieką wspólnika i odciągnął Pawła kilkadziesiąt metrów dalej, gdzie stał zaparkowany mocno zdezelowany jerAZ. Rosjanin rozejrzał się uważnie na boki, a potem otworzył drzwi przedziału bagażowego. Gmerał trochę między pustymi pudłami i innymi zgromadzonymi tam kłopotami, później odrzucił stary koc i pokazał potencjalnemu nabywcy dwa błyszczące nowością karabiny Kałasznikow.

– Demobil iz naszej armii. Nowyj. Otlicznoje oborudowanije^[3].

Pokupicie?

Na widok broni Pawłowi zabiło żywiej serce. Przypomniawszy sobie służbę w wojsku i zajęcia na strzelnicy. Miał celne oko, a ręka nawet mu nie drgnęła przy naciskaniu na spust, więc niejednemu udało mu się wystrzelać dodatkowy urlop. Cóż, gdy czasy zabawy w wojaczkę minęły bezpowrotnie. Co zrobiłby dzisiaj z takim sprzętem? Strach trzymać w mieszkaniu, bo baby zaraz mogłyby wywlec karabin i narobić dziadostwa. Na rozpiarduchę do Jugosławii też się nie wybierał, choć nie dalej jak w ubiegłym tygodniu jeden znajomek próbował go zwerbować do Legii Cudzoziemskiej. Oferował niezłą kasę za wyjazd, ale Szymczakowi życie nie zbrzydło i nie zamierzał nadstawiać tyłka dla cudzej sprawy.

Pogadał chwilę z Aloszą. Wypytał go o cenę i dostępną liczbę sztuk. Znał różnych ludzi, więc czemu nie miałby zagadnąć o to i owo? A nuż komuś przyda się kałach? A i on może zarobiłby parę złotych za pośrednictwo w transakcji. Obiecał Aloszy, że jak usłyszy o kimś, kto kupiłby taką zabawkę, to przyprowadzi potencjalnego kupca. Przyszedł mu nawet na myśl konkretny człowiek, ale na razie nie chciał obiecywać Rosjaninowi zbyt wiele. Wymieniwszy uścisk dłoni, rozeszli się, każdy w innym kierunku.

Paweł wrócił pomiędzy polskich handlarzy.

Przeszedł obok chłopaka, który w starej, sfatygowanej walizce trzymał oferowane na wymianę kasety VHS. Potem przypomniał sobie, że ma w samochodzie obejrzone filmy, więc warto byłoby zmienić taśmy na inne. Zanotował w pamięci, by jeszcze wrócić w to miejsce, i ruszył dalej.

Kurwa. Chyba najlepiej sprzedają się szmaty – stwierdził, widząc, jakie tłumy kręcą się wokół stoisk z marmurkowymi jeansami. Może trzeba w to wejść?

Potem przeszło mu przez myśl, że Andzia by go wyśmiała. Wszak to ona była biznesmenką od ciuchów. Miała własną

pracownię krawiecką, którą szumnie i z francuska nazwała „Atelier u Anny”. Szyła masowo kiecki na sprzedaż w domu handlowym Wanda, gdzie wynajmowała stoisko, na Tomeksie oraz Tandecie, a trochę upłynniała hurtowo zaprzyjaźnionym przekupkom. Do krawiectwa miarowego nie chciała się zabierać, więc nazwa firmy była mocnym nadużyciem, bo cóż to za atelier, gdzie szyje się tanie fatałaszki o niezbyt starannym wykończeniu? Niejeden raz ślubna zżymała się na swoje pracownice. Utyskiwała, że wałkoniom nie chce się nitek odcinać, a guziki przyszywają byle jak.

Paweł pokręcił się jeszcze, a później postanowił wracać do domu. Znowu nic sensownego nie przyszło mu do głowy. Od tygodnia snuł się jak ta błędna owca i kombinował, w co włożyć ręce i mikry kapitał, jaki wyciągnął z poprzedniego interesu.

Za drobny jestem. Gdyby tak mieć choć trochę więcej pieniędzy. Byłoby z czym wystartować. Wszedłbym w jeans. Na wypożyczalnię kaset VHS, ale taką z prawdziwego zdarzenia, nie mam dość szmalu, a na żarciu są kiepskie zyski – pomyślał o swym ostatnim biznesie. Ile można wycisnąć z makaronu czy herbaty?

Zdecydował, że nim wróci na osiedle Złotego Wieku w Mistrzejowicach^[4], pojedzie na Wolę Justowską do Wiktora Czyża, kumpla z jednostki wojskowej. Wiktor w ostatnich paru latach wyrósł na wielkiego biznesmena, handlował samochodami i zarabiał kupę pieniędzy, co dla niektórych stanowiło sporą pokusę. Od jakiegoś czasu nie pojawiał się samotnie na mieście, lecz zawsze w towarzystwie dwóch osiłków o nalanych karkach. Bał się o swoje bezpieczeństwo, a że lubił różne dziwne zabawki, mógłby być zainteresowany kałasznikowem.



Anna Szymczak, pieszczotliwie zwana Andzią przez rodzinę, a przez swoje pracownice francą zbolałą (oczywiście po cichu, gdyż na głos żadna nie odważyłaby się użyć niepochlebnego epitetu), krążyła po atelier, nadzorując pracę krawcowych.

Co za wałkonie! – zżymała się, na razie w duchu. *Robić im się nie chce. Człowiek od ust sobie odejmuje, żeby zapewnić im wypłatę, a one tylko patrzą, jak tu się opierniczać.*

Wystarczyło, że na moment spuszczała je z oczu, a robotnice już urządzały sobie przerwy w pracy i oddawały się plotkom. Albo zaczynały wykonywać swoje obowiązki byle jak, robiąc krzywe ścięgi, marszcząc szwy, nierówno doszywając guziki.

Od rana chodziła zła jak osa. W końcu nie wytrzymała.

– No jak obrobiłaś tę dziurkę! – wrzasnęła nad uchem nowej szwaczki.

Przerażona kobieta zadygotała nerwowo. To już trzeci raz w ciągu tygodnia, jak szefowa miała zastrzeżenia do jej pracy. Jeszcze gotowa ją zwolnić. Na każdym kroku powtarzała, że na jej miejsce bez problemu znajdzie się ze sto chętnych. Żal posady – jakakolwiek by była. Lepsze to niż nędza bezrobocia. Wprawdzie milion dwieście tysięcy wypłaty to żaden szal, ale jak się dołożyło do tego pensję męża, wystarczało przynajmniej na skromne utrzymanie i opłatę rachunków. O kupowaniu lalek Barbie i klocków dla dzieciaków można było zapomnieć. Na takie luksusy stać było jedynie właścicielkę atelier, której jedynaczka zaglądała czasami do zakładu, przynosząc swoje skarby z Peweksu.

– Przepraszam – bąknęła pokornie. – Poprawię to.

– Poprawię, poprawię! – utyskiwała Szymczakowa. – Jakżeż to będzie wyglądało? Róbcie tak dalej, wy wstrętne paparuchy, to będą same zwroty i wszystkie wylecicie na bruk! Wszystkie! – podkreśliła, przesuwając spojrzeniem po twarzach pracownic.

Monika jeszcze niżej pochyliła głowę i przełknęła grudę, która

pojawiła się w jej przelyku. Przez ostre słowa szefowej o zbiorowej odpowiedzialności na pewno straciła nieco sympatii krawcowych, które teraz zerkały na nią z jawną niechęcią. W końcu jedna z nich, Iwona – najstarsza stażem, uniosła się znad swojego szycia i podeszła do skarconej.

– Pokaż tę dziurkę – rozkazała surowo. – Zobaczę, czy da się coś z tym zrobić. I lepiej uważaj, jak obrębiasz, bo to proste zajęcie. Jeśli cię przerasta, co będzie z prawdziwym szyciem? – zapytała kąśliwie, zerkając z ukosa na panią Annę.

Właścicielka zakładu spojrzała na nią przychylnie i pokiwała głową.

Przynajmniej ta garnie się do roboty, bo reszta to takie wałkonie, że aż strach! – pomyślała.

Na Iwonie spokojnie można było polegać. Zawsze przykładała się do pracy i miała oko na resztę sześciuosobowego personelu. Gdyby nie ona, Andzia nie ruszyłaby się pewnie za próg atelier, bo jakże zostawić zgraję próżniaków bez dozoru? A Iwona nie dość, że sama robiła najwięcej, to jeszcze i inne poganiała, by nie ustawały. Pracowały na akord, ale był też podział: jedna z nich kroила materiał i przygotowywała dodatki, cztery zajmowały się szyciem, szósta – zazwyczaj najmłodsza stażem – robiła wykończeniówkę i prasowała. Każdego dnia któraś musiała zostać trochę dłużej, aby dokładnie posprzątać całą pracownię wraz z przyległościami, czyli aneksem jadalno-ubikacyjnym. Bo porządek musi być, a co! No i w końcu nie przepracowywały się aż tak bardzo, żeby nie starczało im sił na ruszenie parę razy miotłą i ścierką. Poza tym zarabiały na tyle dużo, że mogły raz w tygodniu poświęcić parę minut ekstra!

Szwaczkom Andzia płaciła za sztuki. Krojczka miała stałą stawkę i zarabiała półtora miliona, a dziewczucha od wykończeń dostawała minimum ustalone przez rząd. To i tak niemało, zważywszy że miała lekką pracę. Tak więc te nieroby sporo ją kosztowały. Na szczęście zamówienia napływały bez przerwy,

więc mogła sobie pozwolić na wspaniałomyślność. Bo słyszała, że inni przyjmują ludzi na czarno albo na pół etatu, a każą robić więcej niż na całym. Andzia wszystkie zatrudniała na pełnym etacie. Co prawda pracowały trochę więcej godzin, przychodziły też w soboty, ale kto by tam zwracał uwagę na takie szczegóły. Jak marudziły o choć jedną wolną sobotę w miesiącu, to im przypominała, że niejedna bezrobotna chciałaby się nająć do pracy na tak godziwych warunkach.

Wszak ona wciąż trzymała u siebie te księżne udzielne, co to łaskę robiły, że w ogóle przyłąziły do roboty. Dawno mogła powyrzucać je na zbity pysk i przyjąć w ich miejsce inne szwaczki. A siedziały u niej w takich luksusach, że innym musiało być żal!

Kiedy Andzia zaczynała prowadzić działalność, kupiła dwie maszyny i zatrudniła dwie uczennice. Pracowały w jej prywatnym trzypokojowym mieszkaniu. Poświęciła na ten cel własną sypialnię, bo przecież nie mogła zabrać pokoju Gosieńce albo urządzić warsztatu w salonie. No jakże by to było?

Oko na robotnice miała wtedy teściowa.

Właściwie: była teściowa, gdyż jakiś czas temu, dla zabezpieczenia interesów finansowych, Pawłowscy wzięli rozwód. Oczywiście mieli wciąż ślub kościelny, lecz z urzędowego punktu widzenia nie byli małżeństwem. Mieszkali jednak razem, gdyż w ogóle nie brali pod uwagę całkowitego rozstania, i siłą przyzwyczajenia w relacjach rodzinnych oraz towarzyskich nadal używali określeń: mąż i żona, a Sabinę Andzia konsekwentnie zwała teściową.

No i w końcu franca się na coś przydała, bo do tej pory tylko patrzyła, jak dopiec synowej. A tak to i dziecka jej doglądała, i tych nierobów terkoczących całymi dniami na maszynach, i nawet przygotowała coś do jedzenia czy choć trochę posprzątała w domu. Całe szczęście, że Sabina zgodziła się pójść na rentę i zrezygnować z pracy w barze mlecznym.

Zresztą synowa uważała, że tylko zrobiła jej przysługę. W barze teściowa musiała tyrać ile wlezie i użerać się z wrednymi ludźmi. Cały dzień dreptała na nogach naznaczonych paskudnymi żyłakami. A u niej miała jak u Pana Boga za piecem. Posiedzieć sobie mogła, posłuchać radia lub rzucić okiem na telewizor. I z ludźmi nie musiała się szarpać, bo smarkate szwaczki nie śmiały do niej podskoczyć. A z Gosieńki takie dobre dzieciątko, że spędzanie czasu w jej towarzystwie to czysta przyjemność!

W tamtym czasie Andzia stała na Tomeksie i sprzedawała „z ręki” spódniczki lambadówki. Kolorowe fatałaszkę schodziły tak rewelacyjnie, że szybko musiała postarać się najpierw o łóżko polowe, a potem o kontener handlowy nazywany potocznie szczęką. Ten niewielki kramik miał wiele zalet. Można było w nim przechowywać towar, gdyż był zamykany. Ponadto po jego rozłożeniu zyskiwało się zadaszanie, które chroniło ekspozycję oraz sprzedawcę przed słońcem, deszczem i innymi zjawiskami atmosferycznymi. Z łóżkiem miała tylko kłopot. Nawet złożone było nieporęcznie duże i ciężko pakowało się je do małego fiata razem z torbami pełnymi ubrań. Kiedy więc wynajęła najpierw szczękę, a później miejsce w domu handlowym Wanda, to w końcu poczuła, że żyje. Od razu zatrudniła w ramach praktyk zawodowych kolejne cztery smarkule do handlu. Jej pozostało doglądanie rozkwitającego biznesu, choć nadal urabiała sobie ręce po łokcie i była w ciągłych rozjazdach. Bo to i po materiały trzeba jechać, i na sprzedaż mieć baczenie, i zwrócić uwagę na szwaczki. Wiadomo przecież, że pańskie oko konia tuczy, a teściowa też nie wszystkiego była w stanie upilnować.

Gosia denerwowała się, że przeszkadza jej hałas maszyn do szycia. Niby dziewczuchy miały przykazane, aby pokój przeznaczony na pracownię był zamknięty, ale co tam takie drzwi? Biedactwo siedziało w domu po powrocie ze szkoły

narażone na uciążliwość. Co innego Andzia i Paweł: wiecznie byli poza domem, więc nie musieli tego wysłuchiwać.

Sąsiedzi też utyskiwali na jazgot, choć to nie było w porze ciszy nocnej. Bez przerwy ktoś przylatywał z awanturą w tej sprawie. Niektórzy dowodzili, że w bloku nie można prowadzić działalności, bo ludzie potrzebują odespać nockę zarwaną przez pracę w hucie albo obejrzeć spokojnie jakiś program w telewizji czy utulić niemowlę do snu. Bezczelna hołota! Uczciwy biznes kłuł ich pewnie w oczy, a zawiść skręcała, że jej się wiedzie, ot co!

Na szczęście interesy szły wybornie, więc już pół roku później Andzia rozglądała się za placówką, w której mogłaby otworzyć atelier z prawdziwego zdarzenia. Szybko znalazła lokal po opuszczonym sklepie. Powierzchnia nie była może duża, ale za to dawała wspaniałe możliwości. W pomieszczeniu od frontu Szymczakowa wygospodarowała kąt na wieszaki z gotowymi wyrobami przeznaczonymi na sprzedaż. Czasami zdarzało się, że zaglądały tam jakieś przechodzące chodnikiem kobiety, więc trzeba było zadbać o możliwość zbytu bezpośrednio na miejscu oraz o ładną wystawę.

Drugie pomieszczenie, odrobinę większe, stanowiło warsztat pracy. Nie posiadało okien, ponieważ wcześniej było po prostu magazynem. Na szczęście Paweł zaradził problemowi braku światła dziennego. Wykupił z jakiejś likwidowanej fabryki porządne lampy jarzeniowe i solidnie doświetlił pracownię. Wentylacja funkcjonowała dostatecznie wydajnie, a brak okien sprzyjał atmosferze pracy. Przynajmniej nie kusiło tych gnuśnych bab, by wyglądać na ulicę i odrywać się od roboty. Nikomu nie przeszkadzało więc zbyt mocno świejące słońce, nikt nie komentował opadów śniegu lub deszczu albo zapadającego wcześniej zmroku.

Do dyspozycji były jeszcze dwa pomieszczenia: spora łazienka oraz kuchnia. Andzia z Pawłem szybko ocenili, że to

zdecydowanie za dużo. Znacznie ważniejszy był magazyn na materiały i dodatki. Z łazienki nie dało się zrezygnować: personel musiał gdzieś załatwiać potrzeby oraz myć ręce, żeby nie brudzić materiałów. Kuchnia była jednak zbyt duża, więc szybko się jej pozbyli.

Szefowa wspaniałomyślnie szarpnęła się na kupno czajnika bezprzewodowego, który początkowo ulokowano na stole w pracowni. Okazało się jednak, że urządzenie przeszkadza i zabiera miejsce, gdzie można było układać drobiazgi wykończeniowe. Poza tym jak stał na oczach szwaczek, to tym darmożadom co chwilę chciało się a to kawy, a to herbaty, a to w ogóle przerwy. I tutaj znowu pomysłowość Pawła okazała się nieoceniona. Mąż uznał, że łazienka jest wystarczająco duża, aby ścianką z dykty oddzielić sedes od reszty pomieszczenia. W miejscu umywalki zamontował zlewozmywak, a przy nim wcisnął jeszcze trzy stare szafki kuchenne, które mu zostały po remoncie w domu: jedną stojącą i dwie wiszące.

W atelier było ciepło, sucho i czysto, bo czego jak czego, ale pilnowania porządku Andzia wymagała nie mniej niż solidnego szycia. Nie żałowała pieniędzy na środki czystości. Z dobroci serca kupowała także swoim robotnicom herbatę i cukier, choć uważała, że stanowczo za dużo słodzą. Czasami przywoziła nawet kawę. Przed świętami częstowała je słodkimi wypiekami własnej teściowej, a w tłusty czwartek każda dostawała pączka.

No i co? Czyż nie miały jak u Pana Boga za piecem?



Po całym dniu ciężkiej pracy Andzia wróciła do mieszkania. Zrzuciła szpilki i włożyła wygodne pantofle obszyte futerkiem. Z westchnieniem ulgi zasiadła na fotelu. Garsonka trochę ją piła pod pachami, ale jeszcze nie chciała się przebierać, było

zdecydowanie zbyt wcześnie, by włożyć coś luźniejszego. Przed rodziną także należało trzymać fason – nie tylko przed obcymi. Przecież wiadomo, że dama musi godnie wyglądać w każdej sytuacji, bez względu na drobne niedogodności.

Teściowa podała jej obiad, córka piloty od telewizora i magnetowidu.

– Pożyczyłem nowe filmy – oznajmił Paweł, siadając obok. – Na co masz ochotę? *Lody na patyku*? *Rambo*? *Kuchnia polska*? – wymienił tytuły.

– A *Lody na patyku* o czym?

– Komedia. Chyba amerykańska.

– Niech będzie. *Kuchnię polską* możesz zwrócić, nie zamierzam oglądać. Wiesz, że nie lubię polskich filmów, bo zięje z nich nudą. A *Rambo* mnie nie interesuje. Nie znoszę Schwarzeneggera.

– To jest akurat z Sylwestrem Stallone – oznajmił mąż.

– Jeden pieron. – Wzruszyła ramionami. – Pożyczyłbyś lepiej coś o miłości.

Mężczyzna włożył kasetę do magnetowidu i wcisnął na pilocie przycisk „Play”. Po chwili na ekranie telewizora zaczęły przepływać pasy, a następnie pojawił się nagrany fragment jakiegoś programu telewizyjnego.

– Kurwa, ludzie to są matoly! – burknął niezadowolony Szymczak. – Wziął jakiś idiota wcisnął nagrywanie i zmasał początek filmu!

– No to przewiń dalej – poleciała Sabina, mieląc pełnymi ustami kotleta schabowego. – Nie musimy oglądać napisów początkowych.

Paweł przesunął taśmę na podglądzie. Nagranie z telewizji urwało się po trzech minutach. A potem nie było już nic.

– Co jest, do cholery? – zdenerwował się amator komedii.

Kilkakrotnie przewinał taśmę do przodu, tyle że już nie na podglądzie, ponieważ to niszczyło głowicę w magnetowidzie,

a potem włączał odtwarzanie. Każdorazowo ekran pozostawał ciemny.

– Debil wcisnął mi pustą kasetę! – rozzłościł się Szymczak. – Co za skurwysyn! Zawsze wymieniam u tego samego chłopaka i do tej pory nie było problemu!

– Pewnie taką od kogoś dostał – stwierdziła Andzia. – Skoro wcześniej miał dobre filmy, to dał się naciąć. Przecież na placu nie sprawdzi, co mu ludzie przynoszą.

– Ano nie. Jedyne, co może zrobić, to zerknąć, czy taśma ma ścieżkę. Jak nie ma, to znaczy, że jest czysta i jej nie przyjmie. A jak jest ścieżka i naklejka z tytułem, to zakłada, że ma nagranie. Dobra, włączę *Rambo* – zdecydował, choć wiedział, że żona nie lubi kina akcji.

Pozostałe dwie kasety wyglądały tak samo jak poprzednia: kawałek jakiegoś programu, a później nic. Paweł z wściekłością zapakował filmy do reklamówki.

– Jutro zwrócę je temu gnojkwowi i zażądam zwrotu pieniędzy.

– Co za ludzie! – oburzyła się żona. – Wraca człowiek do domu zmęczony, z nadzieją na rozrywkę, a taki oszust francowaty psuje wieczór! No co za bydlę! Co za oszukaństwo!



Stawki za koncert zespołów muzyki chodnikowej były bardzo zróżnicowane i raczej dość wysokie. Mimo wszystko Grabowski zdecydował się na wynajęcie jednej z kapel. Impreza okazała się wyjątkowo udanym przedsięwzięciem. Przyciągnęła mnóstwo osób nie tylko z najbliższych osiedli, ale właściwie niemal z całego miasta. Na szczęście lokal miał duży metraż, wszak odbywały się w nim dyskoteki, więc zdołali pomieścić mocno ściśnięte towarzystwo. Tego wieczoru w pracy uwijali się absolutnie wszyscy kelnerzy i mieli pełne ręce roboty.

Grupa Czerwone Serduszka dała już część zaplanowanych na wieczór występów. Aktualnie zrobili sobie przerwę w koncertowaniu. Wiolka krążyła pomiędzy bufetem a ich stołem, donosząc napoje oraz przekąski i ciepłe dania.

Michał na cały wieczór przydzielił Pawłowską do obsługiwania ich stolika. Obiecał jej za to premię ekstra, gdyż odbierał tym samym kelnerce szansę na dobre napiwki. Zależało mu jednak, aby gwiazdy zostały należycie ugoszczone. Zamówienia innych klientów mogła przyjmować tylko wtedy, gdy muzycy byli na scenie. Tyle że oczywiście wtedy mniej osób myślało o picciu, więcej o rozrywce. Nawet dyskoteka, która odbywała się w przerwach koncertu, nie cieszyła się aż takim zainteresowaniem, choć Adrian zadbał o to, by goście klubu nie nudzili się pomiędzy kolejnymi wejściami formacji.

Mimo wszystko chętnych do tańca nie brakowało. Powietrze było gęste od zapachu spoconych ciał. Na parkiecie falował tłum dziewcząt w skąpych sukienkach z modnego ściągacza i chłopaków ubranych w nieśmiertelne jeansy piramidy oraz zapinane na guziki wzorzyste tureckie blezery z dekoltem w serek. Do tego kolorowe koszule i wsuwane buty. Wśród młodzieży wciąż cieszyły się popularnością mocno natapirowane fryzury na małpkę, czyli „mało z przodu i dużo z tyłu”.

Pawłowska nie krzywdowała sobie na decyzję Grabowskiego. Miała dzięki temu trochę spokoju, a kiedy gwiazdorzy występowali, udawało jej się załatwiać inne zlecenia. Pracowała więc na najwyższych obrotach, marząc o chwili, gdy będzie mogła wrócić do domu i zdjąć tenisówki, które choć były wygodne, to i tak obtarły jej pięty. Tego dnia przezornie nie włożyła szpilek ani nawet czółenek na niższym obcasie. Z góry założyła, że czeka ją harówka, po której będzie pólżywa ze zmęczenia.

Nie tylko ona odczuła skutki wzmożonego ruchu.

– Ale zapieprz – jęczała Jolka, przewracając oczami.
– Nie gadaj tyle. Masz tutaj tacę i wio na czwórkę! – burknął barman, podając jej skompletowane zamówienie. – Dostajesz dzisiaj konkretne napiwki. A i stary też może coś dołożyć za tę orkę.

Zasadniczo w kawiarni nikt nie narzekał na Grabowskiego. Był wyjątkowo dobrym pracodawcą. Przymykał oko na zmiany w grafikach pracy. Płacił rzetelnie, uczciwie i terminowo. Nie zmuszał ludzi do tyrania na pełen zegar, bo po prostu dawał stawki godzinowe. Jak mieli większy ruch, dorzucał zwykle jakąś premię. Nikomu nie zaglądał do kieszeni i nie rozliczał z napiwków, co zdarzało się innym szefom.

Jola jeszcze raz jęknęła wymownie, a potem przyoblekła twarz w najbardziej czarujący uśmiech, na jaki było ją stać. Złapała tacę i zgrabnie przeciskając się pomiędzy rozbawioną ciżbą, dotarła do stolika numer cztery. Udało jej się donieść zamówienie w całości, co było nie lada wyczynem.

Wiola także goniła z obłędem w oczach, lecz przynajmniej nie narzekała na trudny dzień w pracy. Z zadowoleniem opróżniała co jakiś czas kieszonkę fartucha z napiwków. Nie chciała nosić kasy przy sobie, aby nie pogubić pieniędzy. Już cieszyła się na zakupy. Za nieco ponad miesiąc zaczynał się rok akademicki, a ona została przyjęta na studia dzienne w Akademii Ekonomicznej, więc czekało ją trochę wydatków. Choć nie narzekała na etat kelnerki, pociągała ją praca biurowa. W przyszłości zamierzała pójść w ślady babci Julii, emerytowanej kierowniczką działu kadr z huty.



Młodzi Pawłowscy wracali do domu skoro świt. Byli zmęczeni, mieli pobladłe twarze i podkrążone oczy. Adrian szedł

zamyślony, a Wiola była tak senna, że nie zwracała uwagi na milczenie brata. Obydwoje musieli złapać choć parę godzin snu, ponieważ z grafiku wynikało, że wieczorem mają dyżury w pracy. Adek jako DJ, a ona tradycyjnie przy obsłudze klientów. Zdziwiła się więc, gdy nagle chłopak przerwał milczenie.

– Wiesz co, siostra? Myślę, że powinniśmy się zorganizować i rozkręcić zespół.

– Jaki zespół?

– Muzyki chodnikowej. Wiesz, ile ta kapela zgarnęła za wczorajszą fuchę?

– Nie mam pojęcia.

Kiedy brat wymienił kwotę, stanęła w miejscu jak słup soli i zaniemówiła.

– Serio?

– Serio, serio. Nawet jeśli podzielisz to przez trzy osoby i odpalisz jakąś dolę dla ich impresaria, to i tak zostanie ładny pieniądz. Zarobiony bardzo łatwo, przyjemnie i w parę godzin – powiedział znacząco.

– Fakt. Kasa konkretna – przyznała dziewczyna. – No ale jak niby chcesz to zorganizować?

– Prosta sprawa. – Machnął ręką. – Brzdąkać na gitarze potrafi każde z nas. Wszyscy mamy jakiś tam słuch muzyczny. Ty mogłabyś śpiewać. Sprawilibym sobie keyboard, Marek grałby na gitarze elektrycznej. Nagrywalibyśmy płyty i kosili szmal z występów. Zamiast sprzedawać kasety, podawać piwo i puszczać cudze kawałki, moglibyśmy w prosty sposób zgarniać niezłą forszę. Na pewno dałoby się to pogodzić ze studiami – dodał asekuracyjnie, wiedząc, jak bardzo siostrze zależy na tym, aby się uczyć.

Do spraw edukacji w ich rodzinie przywiązywało się dużą wagę. Dziadek ukończył krakowską AGH. Później w jego ślady poszedł ojciec, który aktualnie ubiegał się o tytuł profesora

zwyczajnego. Adek też tam studiował i nawet go to pociągało, choć podobnie jak tato nie wiązał przyszłości z pracą w Hucie imienia Sendzimira. Nie myślał też o pozostawaniu na uczelni w roli asystenta, gdyż nie było to szczególnie dochodowe zajęcie. Przez długie lata rodzina ledwo wiązała koniec z końcem, gniotąc się w niemiłosiernie ciasnym, dwupokojowym mieszkanku. Dopiero przed rokiem osiedlili się w przestronnym, czteropokojowym lokum na osiedlu Oświecenia. Z okien wieżowca roztaczał się widok na panoramę miasta. W niektóre pogodne dni, gdy niebo było wyjątkowo przejrzyste, dało się dostrzec na południu zarysy Tatr.

Z rodzinnych standardów edukacyjnych wyłamał się tylko Marek, który ku zgrozie krewnych nie ukończył liceum, rzucając naukę tuż przed końcem czwartej klasy. To było ogromną bolączką zarówno ojca, jak i dziadka, którzy wciąż próbowali go zmotywować do uporządkowania tej kwestii.

– Ha, ha, ha. Masz poczucie humoru, braciszku. Ja miałabym być wokalistką? Przecież nie skończyłam szkoły muzycznej.

– A na cholerę ci szkoła? Wystarczy, że śpiewałaś w grupie oazowej i należałaś do chóru.

– Przez przypadek.

Wzruszyła ramionami, a następnie ziewnęła przeciągle i zadygotała. Otuliła się szczelnie wiatrówką, gdyż chłód bardzo wczesnego poranka mocno jej dokuczał. Słońce już wyłaniało się zza widnokręgu, przebijając promieniami lekką mgiełkę. Kładło różowawe refleksy na sklepowych witrynach. Wśród gęstych koron drzew rozbrzmiewały poranne trele ptaków. Zapowiadał się piękny dzień.

– Oj tam. – Adrian machnął lekceważąco dłonią. – Moim zdaniem to w zupełności wystarczy. Przecież do śpiewania *Białego misia* albo *Bliskiej moim myślom* nie trzeba jakichś szczególnych umiejętności wokalnych.

– Niby tak – przyznała dziewczyna, tłumiąc kolejne ziewnięcie.

Tak naprawdę marzyła już tylko o tym, aby wziąć szybki prysznic i wskoczyć pod kołdrę. W skarpetkach frotté. I piżamie z ciepłutkiej flaneli. – O matko, jak mi zimno – jęknęła.



Ku zadowoleniu Pawła Wiktor Czyż zainteresował się kupnem dwóch karabinów marki Kałasznikow. Problemem było wyłącznie przeprowadzenie transakcji. Nabywca oczekiwał dyskretnego załatwienia sprawy. Choć początkowo Szymczak próbował tego uniknąć, zdecydował się w końcu na wykonanie wszystkiego osobiście.

Denerwował się powierzoną mu misją – przecież chodziło o pośrednictwo w handlu bronią. A to raczej nie było legalne zajęcie.

Na spotkanie z Aloszą umówili się w jakimś ustronnym miejscu za miastem. To Rosjanin wszystko obmyślił. Bał się, że gdyby przerzucili karabiny z samochodu do samochodu na Tomeksie, to ktoś mógłby coś wywęszyć. Szymczak też żywił obawy, czy policja nie obserwuje Rosjanina, więc odpowiadało mu takie rozwiązanie.

Dzień wcześniej Paweł odebrał pieniądze od Wiktora. Kumpel był forsiasty, ale pożyczanie od niego kasy na rozkręcenie porządnego biznesu nie wchodziło w grę. Jak go kiedyś o to zagadnął, Czyż zaczął wypytywać o szczegóły biznesplanu (a kto by tam sobie zawracał głowę takimi bzdurami?) i spodziewane zarobki. Kręcił nosem na wszystko, a na ostatek powiedział, że może pożyczyć, ale z miejsca sobie zastrzegł, na jaki procent. Złodziejski – zdaniem Szymczaka. Od tamtej pory Paweł przestał myśleć o pożyczce od kumpla. Zasadniczo mógłby zerwać z nim stosunki towarzyskie, bo co z niego za kolega, skoro tak się sknerzy? Przeważył głos rozsądku, nigdy bowiem

nie wiadomo, kto, komu, kiedy i do czego może się przydać. Ot tak, jak choćby i w tym przypadku.

Wiktor od razu dał mu zadatek na sfinalizowanie transakcji, czyli połowę kwoty, na jaką się umówili. Było oczywiste, że Paweł nie będzie narażał tyłka za darmo.

Na umówione miejsce Szymczak przyjechał z godzinnym wyprzedzeniem. Zaparkował samochód w znacznej odległości i pieszo przeszedł pozostały dystans. Uważnie obserwował teren, czy nie płacze się po okolicy ktoś podejrzany. Na szczęście nic nie wzbudziło jego nieufności. W końcu zobaczył podejrzającego jerAZ-a. Nie przywłókł się za nim żaden ogon, a Rosjanin, który wyskoczył z szoferki, wyglądał na wyluzowanego. Paweł odczekał jeszcze chwilę, a potem rzucił się w te pędy do swojego samochodu. Mocno zziajany wsiadł do golfa, odpalił silnik i wyjechał na drogę. Szybko dotarł na miejsce spotkania.

Przez cały czas dygotał wewnątrz ze strachu, czy ktoś mimo wszystko ich nie wyśledził. Niekoniecznie policja. Równie dobrze mogłyby to być jakieś mętne typy, których nigdy nie brakowało. Po bazarze wciąż kręcili się tacy osobnicy: groźni, ponurzy, o wyjątkowo nieprzystępnym wyrazie twarzy. Szukali okazji do łatwego zarobku, a szczególnie upodobali sobie handlarzy zza Bugu. Mogli pilnować jego nowego partnera w interesach.

Po krótkiej wymianie zdań Alosza z wprawą przeliczył kasę, pokiwał głową, że wszystko mu się zgadza. Odliczył prowizję dla pośrednika, następnie otwarł bagażnik, rozwinął stary koc i wyjął karabiny. Choć było to ryzykowne, z obydwu oddał po kilka strzałów, by pokazać, że jego towar nie jest trefny.

– Ja pierdołę, człowieku! Ściągniesz nam gliny na kark – powiedział wystraszony Paweł.

– Glin się nie boję – odparł spokojnie sprzedawca. – Nasza mafia gorsza.

Szymczak poczuł, jak po plecach spływa mu zimny pot.

A co by było, gdyby nagle Rosjaninowi przyszło do głowy, aby go zabić i zwać z forszą Czyża? Na samą myśl o tym Pawłowi zrobiło się gorąco. Wszak znajdowali się na odludziu. Bez świadków. Bez szans na pomoc czy ucieczkę.

Skąd miał wiedzieć, czy owe kałasznikowy nie bywały już w podobny sposób kilkakrotnie sprzedawane?

Na szczęście Alosza nie brał pod uwagę mordowania nabywcy. Broń została ponownie zapakowana w stary koc, by trafić do bagażnika w volkswagenie.

– Jak co, to mogę przywieźć więcej – oznajmił Rosjanin. – Wy mnie skażecie, skolko wam nada, a ja dostarczę. Za kilka tygodni.

Paweł pokiwał głową.

– Będę pamiętał.

Mężczyźni pożegnali się energicznym uściskiem rąk.

Paweł wsiadł do samochodu i czym prędzej ruszył. Odetchnął z nieznaczną ulgą, gdy w lusterku wstecznym przestał widzieć jerAZ-a. Celowo wybrał inną drogę powrotną. Wolał nadłożyć kilometrów, nawet z trefnym towarem w bagażniku, niż jechać z Rosjaninem na ogonie. Wiadomo, co takiemu siedzi w łepetynie?

– Ja pierdolę! Ale miałem posrane gacie – stwierdził, chichocząc nerwowo.

Czekał go powrót do Krakowa i dostarczenie broni Czyżowi. Zdawał sobie sprawę, że napięcie zejdzie z niego dopiero wtedy, gdy pozbędzie się karabinów, zgarnie swoją dolę i bezpiecznie wróci do domu.

Prowadził tak, by nie wzbudzać niczych podejrzeń. Nie wyprzedzał, nie szarżował. Na szczęście o tej porze ruch nie był szczególnie natężony. Godziny szczytu porannego minęły, do południowych zostało trochę czasu.

Mimo ciemnych okularów raziło go słońce. Migotało pomiędzy

żółknącymi koronami drzew. Lato ewidentnie dobiegało końca. Przydrożna zieleń sprawiała wrażenie poszarzałej i zmęczonej.

Paweł starał się nie myśleć o zawartości swojego bagażnika. Próbował snuć jakieś plany na przyszłość i kombinował, co zrobić z mamoną, która dzisiaj wpadła mu do kieszeni. W ostatnich kilku tygodniach niewiele zarobił. Parę razy stanął na bazarze przy cudzym stoisku – ot, grzecznościowa przysługa oddana kumplowi, który pojechał tłumaczyć się do jakiegoś urzędnika ze skarbówki albo do hurtowni po towar. Zysk na tym wielki nie był, ale zawsze to coś. Zresztą dobrze było popróbować, jak idzie handel różnorodnym towarem. Podpatrzeć, jak działa konkurencja. A nuż przyjdzie mu do głowy sensowny pomysł? Mimo niepospłacanych długów miał odłożone trochę pieniędzy. Niewiele, bo niewiele, na dodatek inflacja szybko pomniejszała kapitał, ale wciąż jeszcze mógłby wejść w nowy biznes. Byle nie tyrać w kombinacie albo co gorsza u jakiegoś prywaciarza, który okaże się wyzyskiwaczem i zdziercą. A że nie wszyscy wierzyciele nękali go o zwrot forsy, to i on nie spieszył się z oddawaniem. Wolał obrócić gotówką i zarobić więcej.

Choć spychał usilnie na bok pamięć o karabinach, myśl o nich uporczywie wracała. Robił już wcześniej różne dziwne interesy z różnymi dziwnymi osobnikami, ale ten był najdziwniejszy. I bez wątpienia niósł za sobą największe ryzyko.

Mimo uchylonej szyby w aucie po plecach Pawła ciekła lodowata strużka. Koszula lepiała mu się do ciała. Czuł zapach własnego potu. Jego serce łomotało nerwowo.

Kurwa, nie powinienem aż tak ryzykować – rozmyślał.

Ostatnio nie czuł się zbyt dobrze, więc poszedł do lekarza. Ten zmierzył mu ciśnienie i stwierdził, że jest niepokojąco wysokie. Zlecił mu kilka badań dodatkowych, a na ostatek ocenił, że zła dieta, alkohol i stres spowodowały u niego znaczne nadciśnienie, które powinien leczyć już teraz, bo mogą być

z tego kiedyś problemy. Zalecił ograniczenie kawy i trunków wysokobiałkowych oraz zdrowszy tryb życia.

Też coś! Jakby w tych czasach człowiek mógł żyć zdrowo i spokojnie. Paweł nie po raz pierwszy uznał, że mimo wszystko za komuny funkcjonowało się łatwiej. Bo praca była pewna, podobnie jak pieniądź za nią. A i na handlu też dało się pokątnie całkiem przyzwoicie zarobić, bez szarpaniny z urzędami i strażnikami miejskimi. Fakt, że wkurzał go wtedy brak swobody gospodarczej, musiał wciąż lawirować, kombinować i od przypadku do przypadku chodzić do roboty, aby dzielnicowy nie zarzucał mu, że jest warchołem, ale w sumie było nieźle.

Teraz jak na złość wszyscy wzięli się do handlu, włącznie z Markiem – tym szczeniakiem jego kuzyna, Karola Pawłowskiego, który najpierw sprzedawał u niego kasety, a potem tak sprytnie wszystko rozegrał, że wyłudził kwitnący biznes i zaczął go prowadzić na własny rachunek. Przynajmniej tyle miał gnojek przyzwoitości, że nie pokazywał się na Tomeksie, lecz zwiął mu sprzed oczu na plac do Bieńczyk – tuż obok Arki Pana. Paweł w skrytości ducha życzył smarkaczowi plajty. Albo przynajmniej, żeby upomniało się o niego Wojsko Polskie. Niechby kot odsłużył swoje i dostał po dupie od dziadków. Należało mu się, jak mało komu. Miał jednak skurczybyk jakiegoś fuksa, bo czas mijał, a on nie otrzymywał biletu. Albo potrafił się tak skutecznie odwoływać, że nie musiał dźwigać karabinu. Na pewno przyznano mu kategorię A, nie było innej opcji w przypadku młodego, zdrowego mężczyzny.

Ech! Ludzie na świecie – westchnął słowami, które upodobała sobie jego matka. Co za czasy parszywe. Co za czasy!

Ostatnio niewiele zarabiał. Wcześniej bywało różnie: raz lepiej, raz gorzej, choć z przewagą dobrobytu. Kupił mieszkanie, samochód, rodzina opływała w dostatki. Dał żonie kasę na rozkręcenie biznesu. Na początku patrzył na jej poczynania

dość krytycznie, bo co tam taki interes na szmatkach? Ileż spódnic można sprzedać? A jednak z biegiem lat okazało się, że ma kobita łeb na karku i potrafi z tych szmatek wycisnąć krocie. Wciąż się rozwijała, powiększała działalność, zatrudniała kolejne dziewczuchy do szycia, zyskiwała nowych odbiorców. Jej przychody rosły, choć i tak nadal to on zarabiał więcej, choć w sposób mniej regularny. Bo ona pracowała według zasady małymi łyżeczkami, lecz ciągle, a on zabierał się do działania dopiero wówczas, gdy wiedział, że zarobek będzie godny uwagi i wart jego zachodu. Kasa wpadała mu do kieszeni rzadziej, ale w takich kwotach, o jakich żona mogła tylko pomarzyć. Czasami wszystko tracił, jak wtedy, gdy ten skurwysyn Grobelny prysnął z gotówką. Albo jak wtedy, gdy podczas zamieszek w stanie wojennym zadymiarze zniszczyli mu jego pierwszy legalny sklepik. Ale zawsze się odkuwał. Zawsze!

Teraz też się odkuje, bo za te kałachy dostał już prowizję od Aloszy, a i Wiktor także dorzuci mu sporo grosza.

Ino się ich pozbyć jak najszybciej, bo strach z tym jeździć po mieście.

Spokojnie przemieszczał się ulicami Krakowa, gdy zobaczył, że jadący z naprzeciwka kierowca mruga światłami. *Psiakrew, gliny!* – zaklął w duchu i zaczął popatrywać za drogą ucieczki. Nie myślał im się podkładać, bo nigdy nie wiadomo, czym może się zakończyć rutynowa kontrola drogowa. Na szczęście dostrzegł jakąś wąską uliczkę, więc w nią wjechał. Przez chwilę telepał się po wyboistym przedmieściu. Kluczył pomiędzy domami jednorodzinnymi, zachodząc w głowę, dokąd wyprowadzi go dróżka. Nie znał tej części miasta. Kilka minut później zobaczył skrzyżowanie z jakąś szerszą ulicą, i po prostu tam skręcił. Liczył na to, że patrol został gdzieś z tyłu.

Chcąc nie chcąc, przez cały czas analizował w myślach przebieg transakcji, zamartwiając się, czy aby na pewno nikt go

nie wyszpiegował. A co, jeśli gdzieś w krzakach zaczęli się policjanci? Mogli być równie sprytni co on i podjechać na miejsce z jeszcze większym wyprzedzeniem. A teraz może jada za nim, by wysledzić, dokąd wiezie ładunek? Bo zamierzają zgarnąć i sprzedawcę, i pośrednika, i ostatecznego nabywcę. A potem będą sobie przypinać do mundurów błyszczące odznaczenia i chełpić się, że zapobiegli nielegalnemu handlowi bronią.

Pół kilometra dalej na prostym odcinku jezdni pozbawionym jakichkolwiek skrzyżowań szczęście go opuściło. Natknął się na patrol drogówki. Zbyt późno dostrzegł radiowóz, aby była szansa na wykonanie skrętu lub zawrócenie. Wprawdzie posiadał dość szybkie auto, które na pewno miało lepsze osiągi niż policyjne polonezy, lecz zignorowanie polecenia zatrzymania się i ucieczka pociągały za sobą znacznie większe ryzyko niż poddanie się rutynowej kontroli. Bo panowie chyba nie ustawili się tutaj z myślą o tym, by go złapać? Przecież nie mogli wiedzieć, że właśnie tędy będzie przejeżdżał z nielegalnym towarem w bagażniku!

Na samą myśl o tym zrobiło mu się gorąco. Co za niefart!
Zatrzymał się we wskazanym miejscu.



– Pocięło cię, stary? – Marek zdecydowanie nie był zainteresowany przystąpieniem do kapeli, którą zamierzał zorganizować Adrian. – Na cholerę mi to? Muzyka chodnikowa? No bez jaj!

– Serio ci mówię! Wiesz, jaka jest z tego kasiora? Człowieku! Całe życie chcesz sterczeć z kasetami na placu? – pokpiwał bliźniak.

– Wiesz co? Ja tam nie narzekam. Handel mi się opłaca. Robię

sam na siebie, stać mnie na samochód – wspomniał o wysłużonym dużym fiacie, którego nabył na potrzeby swej działalności. – Mam na piwo, fajki i panienki.

– No i dobra. U mnie też byś miał, tylko więcej. I bez sterczenia na placu przez cztery pory roku – wysunął nader przekonujący, jego zdaniem, argument.

– Mnie tam to nie przeszkadza. – Marek wzruszył ramionami.

– Lubię przebywać na świeżym powietrzu.

– Tia... Świeżo zanieczyszczonym chyba – stwierdził Adek.

– Odpowiada mi kontakt z ludźmi.

– Tego na pewno ci z nami nie zabraknie – zapewnił szybko amator muzyki chodnikowej.

– Człowieku, dejże se siana, okej? Popatrz na mnie! Czy ja wyglądam jak fan disko-klepisko?

Adrian obrzucił brata uważnym spojrzeniem.

Fakt, różnili się niczym dzień i noc. Jedynie z twarzy byli do siebie podobni, a i to tyle o ile. Marek był zdecydowanym wielbicielem ostro brzmiącej muzyki. W jego duszy rządziły rock i metal. Nosił się odpowiednio do swych upodobań. Miał długie włosy, które na co dzień wiązał w kucyk. Bez względu na stan pogody wkładał głany, czarne jeansy i także koszulki z nadrukami nazw swoich ulubionych zespołów muzycznych. Z nastaniem nieco chłodniejszych dni narzucał ramoneskę, którą kupił za ciężkie pieniądze na placu żydowskim, a na szyi motał bandanę w swoim ulubionym kolorze. Jego ręce i szyję zdobiły skórzane rzemyki z jakimiś symbolami. Dużo palił, i to nie tylko papierosy, ale sięgał także po marihuanę, o czym oczywiście nie wiedział nikt z rodziny prócz bliźniaka i Wiołki.

W przeciwieństwie do Marka, Adek był typem eleganta. Picuś-glancuś, tak nazywał go brat. Starannie ostrzyżony, zawsze gładko ogolony. Spodnie w kancik lub jasne wycierusy. Do tego porządnie odprasowana koszula, żadnych podkoszulków.

Mieli wspólny pokój, drugi co do wielkości w mieszkaniu –

największy pełnił funkcję dziennego. O wystrój swojego kąta wciąż darli koty, ponieważ Marek chciał wieszać na ścianach plakaty kapeli rockowych wyjęte z zagranicznych magazynów lub kupione w sklepie muzycznym. Adrian zdecydowanie wolałby gładkie ściany lub tapetę o jakimś niewyszukanym wzorze. O muzykę nie musieli się sprzeczać, gdyż zazwyczaj mijali się w drzwiach. Rano Adrian studiował, a po południu, gdy zbierał się do pracy, Marek już wracał z Bieńczy. W weekendy Marek zazwyczaj imprezował na mieście. Zresztą Adrian przeważnie pracował w piątkowe i sobotnie wieczory. A jak już się zdarzyło, że na siebie wpadali i musieli spędzić razem czas, to dla świętego spokoju każdy słuchał muzyki z walkmana.

Tak. Marek zdecydowanie nie był typem, który pasował do dyskoteki, ale...

– Przecież nie musisz obcinać włosów i nosić kolorowych ciuchów. Możesz je ewentualnie wkładać jako kostium sceniczny, nie?

– Nie. To, że handluję kasetami z tą rąbanką, nie znaczy, że sam mam ją uprawiać.

– A co ci szkodzi?

– A to, że kumple zabiliby mnie śmiechem. Nie ta liga, Aduś. Koniec rozmowy – burknął brat, zapalając papierosa.

Adrian wzruszył ramionami i sięgnął po słuchawki. Z walkmanem i książką wyciągnął się na swoim tapczanie. Nie przejął się odmową. W odwodzie miał jeszcze kilku kumpli, którzy mogliby być potencjalnie zainteresowani tematem zespołu.

Tymczasem Marek z rozgoryczeniem pomyślał, że tak naprawdę nie miałby nic przeciwko zabawie w kapelę, bardziej dla zgrywy niż dla sławy. Problemem było Wojsko Polskie, które wyciągnęło po niego łapska. Tym razem nie zdołał się odwołać. Nie pomogły żadne zaświadczenia z liceum, że niby wciąż

szykuje się do powtórzenia czwartej klasy oraz zdawania matury.

Tej jesieni, zamiast imprez, czekała go zasadnicza służba wojskowa.



Paweł opuścił niżej szybę w samochodzie.

– Dzień dobry, panie kierowco. Kontrola drogowa. Prawo jazdy i dowód rejestracyjny proszę.

Szymczak zaczął grzebać drżącymi dłońmi po kieszeniach w poszukiwaniu papierów. Było mu gorąco z emocji. Jego zdenerwowanie potęgował fakt, że policjant na pewno widział trzęsące się ręce i być może kombinował, co ma na sumieniu kierujący pojazdem.

Na szczęście po rutynowym zerknięciu w dokumenty funkcjonariusz pozwolił mu odjechać. Paweł odetchnął.

Ja pierdolę! Jaki jest sens, by tak narażać dupę dla kilku banknotów?

Resztę drogi przebył bez kolejnych przygód, jednak jego zdenerwowanie sięgało apogeum. Dlatego gdy dotarł na posesję kolegi, poczuł wielką ulgę. Prawdopodobieństwo, że tam najadą ich gliniarze, było mikre. Wiktor nie należał do osób, które miałyby na pieńku z mundurowymi. Jego interesy były legalne, tak przynajmniej wydawało się Szymczakowi.

Czyż polecił mu, by wjechał do przestronnego garażu, i dopiero tam opróżnili bagażnik golfa. Nowy posiadacz kałasznikowów z zadowoleniem oglądał nabytek.

– Uważaj, naładowany – przestrzegł Paweł. – Nie chcesz chyba ściągnąć sobie tu psów?

– Spokojna głowa! – prychnął Wiktor. – Mam ich w kieszeni.

– Słuchaj, stary, ale tak właściwie po co ci te zabawki?

Przecież nie pójdiesz z tym na ulicę. Na strzelnicę też nie pojedziesz, żeby poćwiczyć celowanie do tarczy.

– No nie. Ale wiesz, jak jest. Człowiek robi biznesy i z różnymi ludźmi miewa do czynienia. Mam żonę i dzieci. Muszę im zapewnić bezpieczeństwo.

Paweł pokiwał głową.

– Zrozumiałe. Pieniądz kłuje w oczy.

– Dobrze, że o mnie pomyślałeś – powiedział Wiktor, odkładając broń. – A przy okazji: znam kilka osób, które też mogłyby być zainteresowane zakupem. Więc jakby ten twój Rusek miał jeszcze jakiś fajny towar na zbyciu, to daj mi cynk, a ja powiem, komu trzeba. Spokojnie – dodał, widząc wystraszoną minę kolegi. – Dyskrecja gwarantowana. Bądź pewny, że nie nadstawiałbym niepotrzebnie własnego karku.

Po opuszczeniu eleganckiej rezydencji Szymczak stwierdził, że choć fajnie jest, gdy skapnie nagle tak duży pieniądz, to jednak lepiej będzie zainwestować w handel jeansem. Pewne to i pozbawione ryzyka.

Andzia pewnie go wyśmieje, że też wszedł w szmaty, ale co tam. Zdrowie ważniejsze!

[1] Fragment utworu *Temat z filmu „Bagaż nielegalny”* – słowa: Kazik Staszewski, muzyka: Kazik Staszewski, Piotr Strembicki, wykonanie: Kazik Staszewski – album solowy, płyta *Spalam się, Zic Zac* 1991.

[2] W przeciwieństwie do innych miejsc wspomnianych w powieści ten lokal nie istniał w rzeczywistości.

[3] Z języka rosyjskiego: Отличное оборудование – doskonały sprzęt

[4] Dzielnica XV Krakowa, wyodrębniona w 1991 r. z byłej dzielnicy administracyjnej Nowa Huta.

Rozdział 2



Nadzieje

*Ja spotkałem ją wczoraj w barze koło kina
Patrzę – hmm, ale wspaniała dziewczyna
Absolutnie wmurowany stałem, nie wiem, dwie minuty
Aż piwo ze szklanki poleło się na buty
Próbowałem sobie wszystko to jakoś wytłumaczyć
Że zaistnieć chciałbym dla niej i coś dla niej znaczyć [5]*

Małgorzata Szymczak niespiesznie zmierzała do szatni. Nie znosiła szkół i wszystkich chodzących do niej uczniów. Nie była lubiana przez rówieśników, choć nikt jej nie dokuczał jakoś specjalnie mocno. Ale też nikt nie chciał z nią przestawać, mimo że zupełnie nie było ku temu powodu. Bo przecież ona nikomu nie robiła na złość. Nie lubiła tylko, gdy ktoś chciał się bawić jej zabawkami. Jak raz dała koleżankom potrzymać lalkę, to zaraz na ślicznej różowej sukience pojawiły się ślady brudnych paluchów i zginął jeden bucik.

Zresztą babcia Sabina ciągle ją napominała, aby nie pożyczala nikomu swoich rzeczy, bo nie po to tatuś ciężko pracuje i wypruwa sobie żyły, aby sprawiać przyjemność cudzym

dzieciakom. Słodyczami też nie powinna się tak hojnie dzielić, bo to tylko strata. Co to za żebranina w ogóle, i takie proszenie się: „daj gryza”, „daj liza”, „daj łyka”! A ile bakterii można w ten sposób przenieść!

Tak więc Małgosia miała mocno zakorzenione poczucie własności i nigdy z nikim niczym się nie dzieliła. Ale to przecież nie powód, by koleżanki jej unikały.

Z naburmuszoną miną zeszła do podziemi budynku, gdzie już czekała na nią babcia. Gosia wstydziła się jej trochę, ponieważ nosiła stare niemodne ubrania i miała okropne żyłaki.

– Dzień dobry, Gosieńko. Co słyszeć? – zaszcebiotała radośnie.

– Bry – burknęła dziewczynka. – Nie musiałaś po mnie przychodzić.

Ostatnio wciąż przeciwko temu protestowała. Przecież miała już jedenaście lat! To chyba wystarczająco dużo, aby wracać samodzielnie do domu. Jednak ku zażenowaniu świeżo upieczonej nastolatki mama wciąż upierała się przy tym, aby babcia miała na nią baczenie. Gosia głupio się czuła, gdy w żółtym tempie szły razem osiedlowym chodnikiem. Starsza pani sapała jak miech kowalski i co jakiś czas potrzebowała odpocząć, gdyż nogi odmawiały jej posłuszeństwa. A ona wolałaby przemierzyć drogę jak najprędzej, byle znaleźć się w domu, z dala od oczu ciekawskich koleżanek, które na pewno obgadywały ją za jej plecami.

– Musiałam, nie musiałam. Nie marudź, tylko się przebieraj – zarządziła babcia, siadając ze stęknieniem na twardej ławce.

Dobrze, że przynajmniej w tym przestała jej pomagać, bo jeszcze do niedawna trzęsła się nad nią niczym kwoka nad pisklęciem. Poprawiała szalik, naciągała czapkę głębiej na uszy, sprawdzała, czy wszystko jest należycie zapięte lub zasnurowane. Na szczęście po powrocie do mieszkania można było odetchnąć swobodniej, tam dziewczynka miała więcej luzu

i babcia nie pilnowała jej na każdym kroku. Czasami, gdy w telewizji leciał jakiś ciekawy film, pozwalała jej nawet wychodzić samotnie na plac zabaw.

W końcu Małgosia była gotowa. Sabina sapnęła, wstając z dość niskiej i niezbyt wygodnej ławki.

– Będę mogła wyjść później na pole? – zapytała wnuczka babcię, gdy ta wzięła jej szkolny plecak i skierowała się do drzwi.

– No pewnie. Trzeba korzystać, póki ładna pogoda. Jak odrobisz lekcje, to możemy iść na huśtawki.

– Ee... Huśtawki są dla dzidziusiów.

– No to co chciałabyś robić? – zapytała bez większego zainteresowania.

– Nie wiem. Poszłabym do Julitki.

– Ale po co? Znowu się pokłócicie i wrócisz z płaczem.

– Nie, babciu. Wezmę lalki Barbie i będziemy się grzecznie bawiły.

– Dobra, to weźmiesz te lalki, ale będziecie się bawiły na ławce przed blokiem. Żebym widziała was przez okno, bo ja chcę obejrzeć film.

Ku uciesze Gosi Sabina oglądała wszystkie odcinki serialu *Bill Cosby Show* i w czasie emisji wszystkie inne sprawy stawały się nieważne. Jej uwaga w całości skupiona była na śledzeniu zabawnych przygód amerykańskiej rodziny.

– Fajnie! – ucieszyła się dziewczynka. Wszystko było lepsze od nudnego dozoru babci.

Wprawdzie nie bardzo lubiła pożyczać swoje zabawki innym dzieciom, ale samotna zabawa nie była tak przyjemna, jak we dwie. No i Julita zdecydowanie należała do tych dziewczynek, które niczego nie niszczyły. Zawsze zachwycała się „chudzielcami”, jak nazywała ulubione lalki Małgosi. Była też wyjątkowo kreatywna. Mama Julity, z zawodu krawcowa, trzymała w domu różne gałganki, z których dziewczynka

wyczarowywała różne efektowne kreacje niemalże rodem z serialu *Dynastia*.

Gosię to uszczęśliwiało, gdyż mimo usilnych próśb jej mama nigdy nie przynosiła do domu resztek materiałów z pracowni. Zawsze powtarzała, że w eleganckim mieszkaniu nie trzyma się zbędnych śmieci. Dlatego nastolatka lubiła zaglądać do atelier i, jeżeli trafiała na jakąś mniej pracowitą porę, to czasami któraś z pracujących tam pań kroила na oczekaniu ubranka dla jej lalek. Szwaczki zdecydowanie wolały, żeby nie były to rzeczy dla Barbie, gdyż trudno szyć na maszynach tak maleńkie ciuszki, a na zabawę w ręczne szycie brakowało im czasu. Niekiedy Małgosi udawało się wyprosić jakieś ładne ścinki, koronki, perłowe guziczki lub inne ozdóbki. Przemycala je do domu potajemnie, by nie wzbudzać gniewu mamy. A potem kombinowały razem z Julitką, co z nich zrobić.

Mama nie lubiła, gdy Gosia bawiła się szyciem ubranek.

– Jeszcze wyrośnie z ciebie jakaś szwaczka czy coś! – denerwowała się, widząc ją z igłą w dłoni. – Ty masz się uczyć na bizneswoman, a nie na pospolitą krawcową albo kuchtę. Od wykonywania takich prac są robotnice – burczała z niezadowoleniem.

Sama nie kalala się tak prozaicznymi czynnościami. Obiady gotowała babcia Sabinka, ewentualnie czasami przywoziło się gotowe posiłki z restauracji. Codzienne porządki, pranie i prasowanie też należały do babci Sabiny, a do bardziej uciążliwych prac, jak mycie okien czy przedświąteczne sprzątanie, przychodziła Alicja – uboga rozwódka, która dorabiała sobie w ten sposób do skromnej wypłaty. Mama zawsze chodziła wyperfumowana, wystrojona, ze starannym makijażem i perfekcyjnie wykonanym manikiurem. I wciąż powtarzała córce, że ona w przyszłości również ma wyglądać jak dama, a nie jak praczka albo kucharka. Bo takimi prostaczkami należy gardzić, mimo że bywają użyteczne,

a zadawać się trzeba z eleganckimi ludźmi z dobrej sfery.

– Jak cię widzą, tak cię piszą – mawiała i nie raz biła córkę po łapach za obgryzione paznokcie i pozadzierane skórki, niegodne prawdziwej damy.

Gosia nic nie potrafiła na to zaradzić. Choćby nie wiadomo jak próbowała zwalczyć brzydki nawyk, palce same pakowały się do buzi. Ostatnio nauczyła się jednak obgryzać je w miarę równo i nie do mięsa, więc mama krzyczała na nią rzadziej. Wierzyła chyba, że córka równo je opiłowała.

Zadań domowych nie było dużo, więc dziewczynka szybko uporała się z ich odrobieniem. A później zapakowała do plastikowej torebki lalki, nowe gałganki oraz koronki przemycone z warsztatu i pobiegła po koleżankę.

Julita mieszkała w bloku naprzeciwko. Jej rodzina zajmowała dwupokojowe mieszkanie – jedno z mniejszych na osiedlu. Żyli skromnie, mieli ciasno, ale Gosia lubiła do nich chodzić, ponieważ tam zawsze było wesoło. Marcin, starszy brat koleżanki, opowiadał fajne historyjki. Był wysoki, szczupły i właśnie przechodził mutację. Gosia trochę się w nim kochała, ale to była jej największa tajemnica. Nikomu nie mogłaby jej zdradzić, bo gdyby mama się dowiedziała, na pewno krzywo patrzyłaby na to, że córka zadurzyła się w kimś z hołoty. Już i tak marudziła na koleżeństwo Gośki z Julitą. Małgorzata nie widziała w tym absolutnie nic złego. To co, że Małkowie mieli mało pieniędzy, skoro byli sympatyczni i zawsze miło z nią rozmawiali? Pani Teresa częstowała ją różnymi łakociami domowej roboty: kisiem, budyniem, ciastami własnego wypieku – wszystkim tym, co dla Szymczakówny było niedostępne. Co z tego, że Gosia miała gumy Turbo, banany, mandarynki i austriacką czekoladę z orzechami? To było nudne i zawsze takie samo. Mogła opychać się zagranicznymi łakociami ile dusza zapagnie, ale wołała zwyczajne kruche ciasteczka posypane grubym cukrem, murzynka z polewą albo

babkę piaskową.

Dziewczynka zastukała energicznie do drzwi.

– Dzień dobry. Czy jest Julitka? – zapytała grzecznie, zgodnie z nauką babci Sabiny, gdy pani Teresa jej otworzyła.

– Dzień dobry. Oczywiście. Właśnie wcina deser. Wejdz dalej – zaprosiła ją do mieszkania.

– Cześć, Gocha! – Koleżanka wyjrzała z większego pokoju.

– Wyjdziesz na pole? – zapytała Szymczakówna.

– No pewnie! Jak skończę jeść – oznajmiła.

– Fajnie, tylko weź przybory do szycia – pouczyła ją Gosia, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę w przedpokoju. – Mam nowe materiały – pochwaliła się z dumą.

– A może zjesz z nami budyń z sokiem malinowym? – zagadnęła pani Teresa, wchodząc do kuchni.

Nastolatka przełknęła ślinę na myśl o przysmaku, który rzadko pojawiał się w ich domu, bo mama nigdy niczego nie gotowała, a babci Sabince nie zawsze się chciało robić coś więcej niż kotlety schabowe albo sznyce.

– Jasne!

Teresa odwróciła się do szafki i sięgnęła po salaterkę.

Biedna mała.

Nie po raz pierwszy pomyślała w ten sposób o Szymczakównie.

Może i rodzice dziewczynki mieli dość pieniędzy na różne fanaberie i zaspokajali wszystkie zachcianki swojej córki. Widać było jednak, że dziecku brakuje tego, co jest w życiu znacznie ważniejsze niż kosztowne przyjemności – odrobiny serca i zainteresowania. Była niczym wiecznie odtrącany szczeniak.



Paweł wrócił wieczorem. Był wyjątkowo zadowolony z siebie.

Z dumą pokazał żonie zwitek banknotów.

– Nieźle – pochwaliła. – A jak to zarobiłeś?

Mąż trącił ją kilka razy palcem w nos.

– Męskie interesy, Andzia – odparł wykrętnie.

Nie zamierzał wtajemniczać żony, że pośredniczył w handlu bronią. Wiadomo, że baby bywają nieodpowiedzialnymi plotkarami, jeszcze by coś chlapnęła jakiejś koleżance i kłopot gotowy.

– Na co wydamy? – zapytała, wiedząc, że nie ma co drażnić tematu. Paweł nie zawsze opowiadał o swoich interesach, a ona wolała nie wnikać. Tak było lepiej dla wszystkich.

– Na nowy biznes – odparł mąż. – Trza coś robić.

– Wymyśliłeś już?

– No ba! Na razie wchodzę w jeans. Pieniądze nie mogą leżeć, trzeba nimi obracać. Leżały u tego chuja Grobelnego – przypomniał z wściekłością.

– W jeans? – Żona się skrzywiła. – A przecież mówiłeś, że handel szmatami jest dobry dla bab.

– Na handel samochodami nie mam dość kasy – burknął. Dobry humor prysł jak bańka mydlana. Pojawiło się zmęczenie związane z przeżytym stresem. – Ech, Andzia... Żebyś ty wiedziała, ile zdrowia i zachodu kosztuje robienie męskich interesów!

– No ale jak już masz sprzedawać ciuchy, to czego nie weźmiesz ode mnie?

– Bo nie. Ja się nie znam na sukienkach. Mogę sprzedawać facetom portki i katany. To zupełnie inny biznes. Baby wciąż wybrzydzą. Tu jej się falbanka nie spodoba, tam kolor, to znowu rzucik. O nie, nie! To nie dla mnie! Jak żem stał z kasetami, dość żem się napatrzył na tych, co mieli kiecki. A ty nie kręć nosem. Ciesz się, że myślę, jak zarabiać.

– No cieszę się, cieszę – odparła pojednawczo.

W gruncie rzeczy nie miała na co narzekać, bo takiego chłopa

jak on, to inne mogły jej tylko zazdrościć. Mimo trzydziestu pięciu lat wciąż świetnie wyglądał: wysoki i postawny, ale nie za tęgi, choć już nie tak szczupły jak wtedy, gdy się poznali. Lubił dobrze zjeść, to i ciała nabrał. Ale jego włosy wciąż pozostawały gęste, czarne, nieprzerzedzone. Już dawno zgolił wąsy, które nosił, kiedy zaczęli się spotykać. Pod ciemnymi oczami pojawiły się nieznaczne obrzęki świadczące o tym, że gdy nadarzała się okazja, nie wylewał za kołnierz, lecz jakoś szczególnie go to nie szpeciło, podobnie jak bruzda przecinająca czoło i mimiczne zmarszczki wokół oczu.

Ubierał się świetnie, jak przystało na człowieka, który osiąga dobre zarobki, choć jego wyglądu sama musiała dopilnować. To ona zawsze nabywała dla niego najmodniejsze koszule i wyciągała go na inne zakupy. Dzięki niej nadażał za modą – nie mógł przecież odstawać. Bo jakże by to było, gdyby łąził ubrany jak dziad, podczas gdy ona zawsze jest szykowna i zadbana? Wprawdzie najchętniej widziałyby go zawsze w garniturze i pod krawatem, ale nie czarujmy się: dyrektorem banku nie był, a i do swoich interesów nie potrzebował aż tak eleganckich strojów. Gorzej, bo jak już upodobał sobie jakieś portki czy koszulę, to najchętniej chodziłby w nich do znudzenia. Musiała więc pilnować ślubnego i co dzień rano wyjąć dlań z szafy jakieś przyzwoite rzeczy. Żeby sąsiedzi widzieli, że nie nosi się jak jakiś obwieś – wciąż w tym samym.

No i jeszcze ten charakter! Nie ma co mówić: człowiek idealny. I do tańca, i do rózańca! *No... Do rózańca to może średnio* – poprawiła się zaraz w myślach, bo do Arki Pana raczej nie było im po drodze, zwykle zaglądali tam od jakiegoś większego święta. Za to w interesach był obrotny, miał łeb nie od parady. A po robocie lubił dobrą zabawę. Często chadzali na dancingi albo do kina, albo choćby do eleganckich lokali. Łypały na niego zaborczo inne baby. Niejedna by go pewnie chciała usidlić, ale on na szczęście nie oglądał się za tymi wszystkimi

chudzielcami o długich, kościstych nogach. Zawsze mówił, że woli jędrne łydeczki swojej żonki. I pulchny tyłeczek. I pełne piersi.

– Bo kobitę, Andzia, to trzeba mieć za co chwycić, a nie żeby grzechotała gnatami – śmiał się na widok wyschniętych jak szczapy modelek. Zdecydowanie preferował bujne, kobiece kształty.

Pilnował też, by Goście niczego nie brakowało i mogła się chować zdrowo. Wciąż przynosił jej z bazaru łakocie: to zagraniczną czekoladę, to siatkę mandarynek, to kiść bananów, to ruską chałwę. Czasami z politowaniem wspominał czasy, gdy takie przysmaki dostępne były wyłącznie za dewizy, a skórkę z pomarańczy należało po zdjęciu zasuszyć lub kandyzować. Teraz był taki dostatek, że niejedną raz im te pomarańcze zgniły w lodówce. Sabina często beczała, że tyle dobra wywalają do śmieci. I co za gospodyni z Andzi, że tak marnuje jedzenie? Synowa za nic miała jej gadaninę, bo stać ją było na to, aby kupować świeże produkty, nikt nie musiał zjadać starych. I w końcu, co najważniejsze: kupowała za swoje, a nie za cudze.



Wiola i Adek coraz częściej rozmawiali o zbliżającym się roku akademickim. Dla brata był to kolejny semestr na studiach. Chłopak zdążył się przyzwyczaić do intensywnego trybu życia i godzenia nauki z pracą. Siostra dopiero miała zacząć edukację na wyższej uczelni i żywiła poważne obawy, że nie podoła wszystkim obowiązkom. Brat miał na to gotową receptę.

– Lepiej byłoby robić tylko na siebie, a nie na przyjemności Grabowskiego – wzdychał od czasu do czasu.

– Nie narzekaj, gdzie indziej gorzej bywa.

– Tak, tak. Ale przecież możemy się od niego uniezależnić.

A kto wie? Może Grabowski będzie nam kiedyś płacił za występy w swoim klubie? Pogadałem trochę z chłopakami. Królik mówił, że byłby chętny, żeby grać w kapeli. Ma klawisze. Ja mam gitarę. Lorek też coś przebąkiwał, że gra na basowej. Trzeba by tylko zebrać się w czwórkę w jakimś dogodnym terminie i moglibyśmy zaczynać.

– A muzyka? A teksty? – przypomniała siostra.

– Zaczęlbym od jakichś kawałków ludowych. Ciotka Marta i wujek Krzysiek – wspomniał o siostrze ojca i jej mężu – tańczyli kiedyś w zespole. Może mają w domu śpiewniki? Trzeba by do nich skoczyć i zagadać. Na pewno pożyczą. Lepsze to niż wymyślanie wszystkiego od podstaw – mówił ze swadą, gdy wędrowali do pracy w sobotnie popołudnie. Jego czekała całonocna dyskoteka, Wiołkę podawanie piwa i innych napoi.

– No... Tak właściwie masz rację.

W końcu Adrianowi udało się dopiąć swego. Tydzień po rozmowie przeprowadzonej z siostrą zgromadził całą paczkę w mieszkaniu Pawłowskich. Wiołka zdążyła w międzyczasie tak się zakręcić wokół cioci Marty, że dostała od niej kilka śpiewników. Na pierwszym spotkaniu nie mieli jeszcze instrumentów, chodziło o sprawy organizacyjne: wymyślenie nazwy zespołu oraz wybór repertuaru.

– Może Szarpidruty? – zaproponował Daniel Król, zwany przez kolegów Królikiem.

– Ee... Słabe – ocenił Tomasz Lorkowski, zerkając ukradkiem na Wioletkę.

Siostra kumpla wpadła mu w oko dawno temu, jeszcze w ogólniaku. Chodził do klasy z Adkiem, ona zaczęła naukę dwa lata później. Wpadł na nią niechcący na korytarzu i nabił jej chyba niezłego guza. Adrian nadleciał wtedy, gdy pomagał jej wstać. Starszy brat dziewczyny z miejsca chciał mu spuścić łomot, nie przyjaźnili się jeszcze wtedy tak blisko jak teraz. Wyjaśnili mu z Wioletką, że do zderzenia doszło nieumyślnie

i nie ma o co pracć po ryju. A w ramach przeprosin Tomek zaprosił dziewczynę na lody, co w tamtym okresie jeszcze nie budziło głupawych skojarzeń. Teraz raczej wyszedłby z nią do kawiarni albo na piwo. Ale na to nie było szansy, gdyż Wiolka z góry mu zapowiedziała, że kumple jej brata są jej kumplami. A na randki nie chodzi. Dobrze i to – od czegoś trzeba było zacząć.

Starał się jej nie narzucać i raczej ukrywał przed wszystkimi, że tego dnia, gdy oberwał od niej czołem w czoło, coś mu się pomieszało w głowie. Czasami stroił żarty z samego siebie, że chodzi i zachowuje się jak potłuczony. Przecież mógłby spróbować ją dokądś zaprosić, ale wciąż mu brakowało odwagi, choć od tamtej pory minęło już ładnych parę lat, zdążył dość blisko zaprzyjaźnić się z Pawłowskimi i wszyscy już pozdawali maturę. Za każdym razem, gdy chciał to zrobić, to przypominał sobie, z jaką zaciekłością Wiola potrafi spławiać namolnych podrywaczy. Wiele razy widział dziewczynę w akcji, gdy ktoś usiłował ją czarować w lokalu. Świetnie sobie radziła.

Pewnego dnia zaczepił ją na ulicy jakiś fagas. Było już dość późno, wracała z klubu. Lorek czekał na nią nieco dalej, by odprowadzić ją do domu, ale nie chciał, aby pomyślała, że robi to celowo. Zamierzał udać, że też skądś wraca i wpadł na nią przez czysty przypadek. Wiedział, że postępuje dziecinnie, ale jak kiedyś zaproponował coś takiego, to fuknęła, że jest dużą dziewczynką i nie potrzebuje niańki. On jednak wolał mieć na nią oko, ponieważ wieczorami bywało w dzielnicy bardzo niebezpiecznie. Stał więc i czekał, lecz gdy Wiola wyszła, zaraz przyplątał się do niej podchmielony typek. Zastąpił kelnerce drogę i próbował ją złapać. Tomek rzucił się w te pędy z pomocą, lecz nim przebył dzielący ich dystans, Pawłowska już zdążyła przyłożyć natrętowi torebką, potem kopnąć go w słabiznę, a gdy napastnik pochylił się, ściskając obolałe klejnoty, poprawiła mu jeszcze pięścią w szczękę. Nieźle jak na

dziewuchę!

Od tamtej pory nabrał do niej solidnego respektu. Wolał nie ryzykować, że i jego potraktuje równie ostro.

– No to zaproponuj coś lepszego – odparł Daniel.

– Może Różowe Króliki? – zachichotał Adrian.

– Tia... Lepiej od razu Króliczki Playboya – parsknął Lorkowski. – Albo Playboy Bunnies. Jak będzie zagraniczna nazwa, to będzie chwytliwiej.

– Odpada. Po angielsku nie każdy zapamięta. Musi łatwo wpadać w ucho. Lepsze Różowe Króliczki – ocenił Pawłowski.

– A weźcie wy zejdźcie z królików! – oburzył się Król.

– Srebrna Gwiazda – rzuciła Wiolka, która szybko oceniła, że jak chłopaki zaczną się wygłupiać, to spotkanie organizacyjne przeciągnie się do później nocy. A ona była zmęczona, jak to po pracy. Wolała też, by nazwa była uniwersalna i nie budziła erotycznych skojarzeń. Nie potrzebowała, aby jakiś pajac zaczął za nią wołać *Króliczku*.

– No... Nieźle! – pochwalił Lorek. – Ale może po angielsku? – upierał się przy swojej racji.

– Silver Star? – zapytał wyczekująco Pawłowski, spoglądając na młodzież zgromadzoną w jego pokoju.

– Silver Star – potwierdzili koledzy.

Wiolka tylko pokiwała głową, wszak propozycja wyszła od niej. A nowa nazwa nawet w języku angielskim była dość łatwa do zapamiętania. Skoro przyjęło się Top One, Papa Dance i inne nazwy formacji, ta również się przyjmie.

– Dobra, to jeszcze potrzebny nam repertuar – stwierdził samozwańczy lider zespołu. – Masz te śpiewniki, siostra?

Wiola siedziała na tapczanie Marka z nogami podwiniętymi pod pupę. Opuściła stopy na dywan i leniwie wstała.

– Jasne, zaraz przyniosę. Chcecie coś do picia?

– Można coś zimnego? – zapytał Królik.

– Jasne. A ty na co masz ochotę? – zwróciła się do Lorcka.

Na ciebie – pomyślał. Głośno poprosił o wodę mineralną.

Dwie godziny później mieli już omówiony plan działania. Zdołali wybrać kilka utworów ludowych, którym zamierzali nadać modne brzmienie dyskotekowe. Postanowili także napisać kilka własnych piosenek. Lorek zadeklarował, że pomyśli nad tekstami, Adek i Królik mieli ułożyć jakieś nieskomplikowane, wpadające w ucho melodie.



Marek miał serdecznie dość rodzeństwa. Adrian z Wiołką stali się niemożliwi. Odkąd powołali do życia Silver Star, w domu nie było ani chwili spokoju. Ciągłe przesiadywali całą zgrają w mieszkaniu, hałasując ile wlezie. Zazwyczaj w jego obecności lokowali się u Wiołki lub w pokoju gościnnym, by mu nie przeszkadzać, lecz ich jazgot przedzierał się nawet przez puszczone głośno w słuchawkach Metallikę. Nie mógł przecież słuchać muzyki na cały regulator, ale te wszystkie kawałki o koronkowych majteczkach, czerwonych usteczkach i pachnących sianeczkach doprowadzały go do szału.

Umcyś, umcyś, umcyś – dobiegało rytmiczne dudnienie, gdy pragnął odpocząć po robocie. Na szczęście wieczorem umówiony był na imprezę u kumpla. Spodziewał się zimnego piwa, gorących kobiet i dobrego zioła – niekoniecznie w tej kolejności. Niecierpliwie oczekiwał na chwilę, gdy znajdzie się pomiędzy ludźmi, którzy mieli takie same preferencje muzyczne jak on. Nie miał ochoty na łażenie bez celu po mieście, gdyż dzień był raczej chłodny.

Czasami zachodził w głowę, jak to możliwe, że bliźniak tak bardzo się od niego różni. Wszak wychowywali się razem. Przez dwadzieścia lat mieszkali w takiej ciasnocie, że trudno było wytrzymać. Dopiero teraz, jak już wypadało myśleć o tym, by

się usamodzielnic, ojciec nabył wygodniejsze lokum.

Tego dnia Marek wrócił z placu trochę zirytowany, bo nie dość, że pogoda była pod psem – od kilku dni na zmianę padało lub wiał nieprzyjemny wiatr, to jeszcze przyplątał się Paweł Szymczak i znowu zaproponował mu spółkę. Oczywiście spławił wuja, bo już raz dał mu się zrobić na szmaty. Przez parę miesięcy stał za darmochem z jego kramikiem, podczas gdy właściciel hulał po świecie i przepuszczał kasę na frajerskie biznesy. Przez niego Marek rzucił szkołę. W gruncie rzeczy i tak nieźle na tym wyszedł, bo po krótkotrwałych problemach finansowych rozmówił się ostro z wujkiem i na poczet niespłaconych przez niego długów zarekwirował towar, który dostał na handel. Od tamtej pory cenił sobie niezależność i nie zamierzał wchodzić w żadne układy z krwiopijcą. Zresztą choćby chciał, i tak nic by z tego nie wyszło. Ku swej rozpaczycy za kilka dni miał się stawić w jednostce wojskowej w Mrągowie.

Oczywiście Marek próbował wybić Pawłowi z głowy zwracanie się z tą samą propozycją do Adka lub Wiolki, bo, jak stwierdził, oni i tak nie mają na to czasu. Ale znał już wujka jak własną kieszeń i spodziewał się, że ten nie odpuści.

No cóż, przynajmniej próbował go przekonać, by nie zawracał im gitary.

Gitary! Brr! Na razie to on musiał znosić tych cholernych szarpidrutów z ich wieśniackimi kawałkami.

Na szczęście do wyjścia pozostało niewiele czasu, więc jakoś przeżył jazgot. A potem włożył ciężką ramoneskę, omotał szyję bandaną i poleciał do kumpli. Po drodze kupił parę piw oraz połówkę, ponieważ domyślał się, że na miejscu może być posucha. Większość jego znajomych groszem nie śmierdziała, i trzeba było się dzielić. Skąd miał wiedzieć, co będzie jutro, pojutrze, za tydzień? A jak się karta odwróci i to on wyląduje bez grosza przy dupie? Miał nadzieję, że przyjdą jakieś fajne panny, więc głupio by mu było wskoczyć na imprezę na krzywy

ryj. Zwłaszcza że to ostatnia okazja przed wyjazdem, aby się dobrze zabawić.

Jeden z kumpli Marka, Robert Potyrka, świętował dwudzieste pierwsze urodziny. Zdołał przekonać rodziców, że tego dnia wygodniej przenocują u dziadków na wsi. Zresztą jego starzy znali się na rzeczy. Wiedzieli, że prywatka w dwupokojowym mieszkaniu będzie męcząca zarówno dla nich, jak i dla imprezowiczów. Sąsiedzi zostali uprzedzeni, że czeka ich hałaśliwa noc, więc szykował się niezły bal.

W mieszkaniu Robka panował hałas znacznie przyjaźniejszy uszom niż ten, przed którym Marek uciekł. Balanga już się rozkręcała. Przyszło sporo ludzi. Pawłowski znał część towarzystwa ze wspólnych wypraw na koncerty do Jarocina. Z żalem myślał, że w przyszłym roku kumple też wybierają się na festiwal rockowy. Bez niego, niestety, ponieważ wątpił, czy zdoła wyrwać się na przepustkę w stosownym terminie. Ta impreza to był jego żywioł, choć zazwyczaj nie obywało się przy tej okazji bez jakiejś chryi. A to ktoś dostał pałami po dupie od glin, a to kogoś okradli, a to ktoś tak zaćpał, że zapominał o bożym świecie. No i na ogół po zakończeniu festiwalu mieli za mało kasy, więc nie raz droga powrotna odbywała się na gapę lub okazją. Ale zawsze zostawały wspomnienia dobrej zabawy i fajne znajomości, które warto było kontynuować.

Głośna muzyka i alkohol skutecznie przytłumiły jego zmysły. Wreszcie poczuł się zrelaksowany. Z daleka od tych odrażających koronkowych majteczek i zakochanych serduszek. Krew w jego żyłach pulsowała w rytm utworu *Enter Sandman* zespołu Metallica.

– Strzykniesz sobie?

Gospodarz dosiadł się do Pawłowskiego. Spoglądał na kolegę dziwnie zwężonymi źrenicami, choć w pokoju panował przyjemny półmrok, rozjaśniony głównie świeczkami i światłem rzucanym przez wyświetlacz diory. Robek trzymał

w dłoni strzykawkę z oleistą, żółtobrazową cieczą. Marek zamierzał podziękować. Następnego dnia umówiony był z jednym znajomym, który miał hurtowo odkupić od niego wszystkie niesprzedane kasety. Nie było sensu przechowywać ich do powrotu z wojska, ponieważ wciąż ukazywały się jakieś nowości.

A jednak podwinął rękaw czarnej bluzy z kapturem.

– Popracuj trochę nad tą żyłą, Pawlak – poradził mu kolega. – Tutaj to nawet pielęgniarka nie trafi.

Marek dotąd zaciskał i rozluźniał pięść, aż uzyskał pożądany rezultat.

– Dziabniesz sam?

– Głupie pytanie – zaśmiał się i sięgnął po strzykawkę wypełnioną kompotem.

Nie był cieniem, potrafił wbić sobie igłę, mimo że nieczęsto to robił. Nie chciał skończyć w Monarze albo na ulicy, choć uważał, że Kotański przesadza. Uzależnienie się od prochów groziło słabeuszom, którzy nigdy nie odmawiali. A on potrafił odmówić, gdy nie miał ochoty dać sobie w żyłę. Dlatego trzymał się zasady, że bierze tylko od czasu do czasu.

Miał wujka, który stracił umiar i się stoczył. Jego żona Magda sama musiała sobie radzić z utrzymaniem brzdąca w wieku przedszkolnym. Darek wciąż chodził naćpany albo po wypitce i szukał zwady. Do domu trafiał rzadko, ale jak już zbłądził w tamtym kierunku, to tylko po to, by narobić szkód. Zazwyczaj wyciągał od swojej kobiety kasę na dalsze balangi. A jak nie chciała dać po dobroci, to spuszczał jej lanie.

Kiedyś Darek nadzieją się na Marka i Adka. Bracia zajrzeli do ciotki, gdyż obiecali jej malowanie pokoju. Wzięli się za odstawianie gratów od ścian, Magda bardzo im w tym pomagała, dwoiła się i troiła, tak ją cieszył remont. Nie miała bidula pieniędzy na fachowca, oni zgodzili się, że pomogą za darmo. Lubili ciotkę – dzieliło ich raptem jednaście lat, więc

łatwo było nawiązać z nią jakąś pogawędkę. Zwłaszcza że Magda traktowała ich po koleżeńsku. Akurat myli ściany i sufity, gdy napatoczył się ten głąb, jej ślubny. Nie bacząc na gości, zaczął się dopominać o kasę, a jak żona powiedziała hardo, że na prochy nie da mu złamanego grosza, to ruszył do bitki. Tym razem obyło się bez siniaków pod oczami tej nieszczęsnicy, bo Adrian zaraz zeskokczył z drabiny, a Marek cisnął szmatę i zakasał rękawy. Bez pardonu spuścili łomot agresorowi i pouczyli go, by więcej nie ważył się podnosić ręki na kobietę. Bo choć to on jest z nimi spokrewniony, a Magda tylko wżeniła się w rodzinę, nie pozwolą, aby ją krzywdził.

Kilka dni później Marek zobaczył Darka, jak stoi pod jakimś murem i rzyga. Ubabrał sobie buty, spodnie pewnie też. Wyglądał jak kloszard: w brudnych szmatach, z dawno niestrzyżonymi i nieumytymi kołtunami na łbie. Nieogolony. Obraz nędzy i rozpacz. Sponiewierany krewniak ledwo trzymał się na nogach. Wyrzucił z siebie treść żołądka, a potem, zataczając się, ruszył dalej. Smród ciągnął się za nim na odległość kilku metrów.

I co, warto dla paru godzin błogostanu zrobić z siebie stworzenie niepodobne do człowieka?

On nad tym panował. Ale tego dnia musiał choć na parę godzin wymazać z pamięci natarczywe myśli o czekającej go służbie wojskowej. Zdecydowanym ruchem wbił igłę i nacisnął tłoczek strzykawki. Chwila dyskomfortu warta była spokoju, który za chwilę miał ogarnąć skołatany umysł.



Koledzy pomału zaczęli się zbierać po kolejnej próbie zespołu. Tomek trochę się ociągał. Chciał jeszcze zamienić z Wiolką parę słów na osobności. Miał kumpla, który pracował w kasie kina

Kijów. Udało mu się uprosić odłożenie dwóch biletów na premierę filmu *Psy* w reżyserii Władysława Pasikowskiego. Bilety na najgorętszą projekcję bieżącego roku były niemalże nieosiągalne. Prawie wszystko rozeszło się pomiędzy konikami. Ale jak się ma odrobinę szczęścia, to można wiele załatwić. Teraz Lorek martwił się, czy to szczęście go nie opuści, gdy zagadnie dziewczynę o wspólne wyjście. Nigdy wcześniej tego nie próbował. Ale z drugiej strony wiedział, że Wioletta nie ma nikogo, więc czemu nie miałby podjąć ryzyka? W najgorszym razie zostanie spławiony. Zawsze może pójść do kina z Adkiem albo z Królikiem. Żaden facet nie pogardzi sensacyjną superprodukcją.

Począł, aż Daniel pozbiera się i pójdzie. Kolega i tak zmierzał w przeciwnym kierunku, więc Tomkowi nie było z nim po drodze. Tomasz grał na zwłokę i zagadywał do Pawłowskiego o jakieś notatki z wykładów. Gdy Królik w końcu wyszedł, Lorek także pożegnał się z kumplem. Adek odprowadził go do przedpokoju.

– Zajrzę jeszcze do Wiołki. – Ku zaskoczeniu Pawłowskiego przyjaciel wskazał zamknięte drzwi pokoju dziewczyny, za którymi zniknęła parę minut wcześniej. Na pewno jeszcze nie spała, przez zmatowioną szybę widać było poświatę lampki.

– Okej. – Adrian pokiwał głową ze zrozumieniem.

Od dłuższego czasu coś mu świtało, że Lorkowski się w niej zadurzył. Nie raz i nie dwa przyłapał go na gapieniu się na Wiolettę. Lorek często kręcił się w pobliżu klubu, więc gdy Pawłowski musiał zostać w pracy dłużej, był spokojny o młodą. Przyjaciel zawsze obiecywał w takich przypadkach, że będzie miał na nią oko w drodze do domu, choć ta denerwowała się, że nie potrzebuje, by ją niańczono.

Adek wycofał się do siebie.

Tomasz zapukał do drzwi.

– Co tam? – usłyszał głos Wiołki.

– To ja, Tomek. Mogę? – zapytał.

Wolał poczekać na zaproszenie, bo skąd miał wiedzieć, czy nie zaczęła się już rozbierać i szykować do snu?

– Wejdz – usłyszał w odpowiedzi.

Nacisnął klamkę i uchylił drzwi.

Wiola siedziała na fotelu i przeglądała jakieś notatki. Miała podkurczone nogi – to była jej ulubiona pozycja. Na widok kolegi odłożyła szpargały, wyprostowała się i wskazała sąsiedni fotel.

– Myślałam, że to któryś z chłopaków albo tato – zagaiła.

– Przepraszam, że zawracam ci głowę tak późno. Uczysz się? – wyraził zdziwienie.

– Tyle o ile. Sprawdzam, czy czegoś nie przeoczyłam. O co chodzi? – zapytała wprost, widząc, że chciałby coś powiedzieć, ale chyba nie wie, jak zacząć.

– Wiesz... Bo ja...

– Nie nazywaj mnie wierzbą – zachichotała, jeszcze bardziej zbijając go z tropu.

Lubiła takie przekomarzanki i łapanie ludzi za słówka. Albo za dziwnie brzmiące zlepkki słów.

– No to brzoza – wysilił się na niezbyt lotną odpowiedź. – Może być brzoza?

Wioletta zmarszczyła nos.

– Wzbudza kiepskie skojarzenia. Miałam w podstawówce taką nauczycielkę od matmy, która lubiła stroić sobie żarty ze słabiej uczących się dziewczyn. Raz kumpela z ławki usłyszała od niej, że jest wysoka jak brzoza, a głupia jak koza. Oczywiście koledzy z miejsca to podłapali i od tamtej pory nikt nie nazywał Anki inaczej. Pół biedy, gdy była to brzoza. Czasami, po lekcjach rosyjskiego, brzoza zamieniała się w bieriozę. A gdy chłopaków nachodziły jakieś złośliwe humory, to wołali na nią koza. Niezbyt miło – stwierdziła z uśmiechem, który przeczył wydzwinkowi jej słów.

Kiedyś bardzo ją drażniło przezywanie koleżanek. Z perspektywy czasu stwierdziła, że w sumie nie było to jeszcze aż tak przykre. Niektórym dziewczynom dostawało się znacznie gorzej, więc bierioza, brzoza, a nawet koza budziły pewnego rodzaju uśmiech rozrzewnienia.

A potem nagle Wiolka spoważniała i popatrzyła na Lorkowskiego. Ich spojrzenia się spotkały i chyba pierwszy raz w życiu w jej brązowych tęczówkach zamiast figlarnych chochlików pojawił się ciepły blask.

Ależ była piękna w tej chwili! Mimo znużenia kładącego cień na pociągłej twarzy okolonej burzą ciemnych, niemalże czarnych włosów. Lorek nieświadomie wstrzymał oddech, jakby bał się, że jedno mocniejsze tchnienie zniszczy całą magię.

Wiolka momentalnie stwierdziła, że kolega musiał błędnie zinterpretować jej zmęczony wzrok. *A niechby już powiedział, w czym rzecz, i dał mi spokój* – pomyślała. Miała nadzieję, że nie umyślił sobie jakiejś randki. Nie miała na to ochoty. Od jakiegoś czasu podejrzewała, że Lorkowi chodzi po głowie coś podobnego, gdyż osobliwie często plątał się w jej pobliżu i niekoniecznie miało to związek z próbami. Dla niej był jednak tylko kolegą i właściwie traktowała go niemal jak trzeciego brata, czyli całkowicie asekualnie. Sama myśl o tym, że mógłby próbować ją objąć lub pocałować, wydawała jej się absolutnie niedorzeczna. Z nim można było wymienić zdecydowany uścisk dłoni, pożartować, pogadać chwilę dłużej, gdy pojawił się w pubie. I to wszystko, gdyż w obecności Tomka serce Wiolki nie przyspieszało ani trochę.

To już więcej emocji wzbudzał Tuptuś II, ukochany chomik, którego sprawiła sobie nazajutrz po przeprowadzce do nowego mieszkania. Gryzoń został tak nazwany na pamiątkę po jej pierwszym i jedynym zwierzątku, zakupionym bez wiedzy i zgody rodziców, gdy chodziła do podstawówki.

– Kumpel załatwił mi dwa bilety na premierę *Psów*.

Pomyślałem, że może poszłabyś ze mną na film – wykrztusił w końcu.

– Ja? – udała zdziwienie. – Ale dlaczego chcesz iść ze mną? To ponoć film akcji. Adek i Królik na pewno chętnie by go obejrżeli.

– No wiem. Ale miałem problem z biletami, bo Łysy nie chciał mi sprzedać ani jednego więcej. I gdybym zaproponował kino Adkowi lub Królikowi, to byłby kanał. Jeden albo drugi mógłby się poczuć dotknięty, bo obydwaj chętnie by poszli – dokładał starań, by jego wypowiedź zabrzmiała jak najbardziej przekonująco. – Co ci szkodzi, Wiolka? Będzie fajnie.

Ależ ze mnie wiejski Don Juan – stwierdził z niechęcią.

– Fajnie, powiadasz? – powtórzyła tonem, z którego nic nie potrafił wywnioskować.

Tymczasem ona kombinowała w myślach, czy powinna się z nim umawiać. W gruncie rzeczy miała niesamowitą ochotę na wyjście do kina. A poza tym zaproszenie wcale nie brzmiało, jakby to miała być randka, lecz jakby faktycznie chodziło o sprawiedliwe podzielenie się wejściówką. Adrian i Daniel na pewno nie będą mieli za złe, że zamiast zaprosić jednego z nich, wybrał koleżankę.

– No dobra – odparła bez większego entuzjazmu. – Skoro nie masz co zrobić z tym biletem, to pójdę, żeby się nie zmarnował. Tamci dwaj faktycznie mogliby mieć do ciebie żal, że nie zabezpieczyłeś więcej wejściówek.



Po dokładnym omówieniu tematu z żoną Paweł zainwestował wszystkie swoje oszczędności w wynajem „szczęki” na Tomeksie. Kupił hurtowo sporą ilość męskiej jeansowej odzieży w różnych wzorach, kolorach i rozmiarach.

Czego on tam nie nabył! Były więc piramidy: dopasowane

w pasie i biodrach, wąskie w kostkach, za to nieprawdopodobnie szerokie w nogawkach. W tych, jak zauważył, gustowali głównie fani muzyki chodnikowej. Prócz nich oferował proste, klasyczne, marmurkowe mawiny z kolorowym haftem na tylnej kieszeni. Te sprzedawały się równie dobrze, najczęściej schodziły granatowe, ale zapewniał również i czarne, bo o ten kolor pytali zazwyczaj ponurzy faceci w typie Marka Pawłowskiego, którzy lubowali się w ostrej muzyce, palili jakieś dziwaczne papierosy i w ogóle wyglądali mętnie. Prócz tego miał inne, mniej popularne wzory. Do tego zwyczajne katany oraz nie mniej chodliwe kurtki z odpinanymi rękawami i podpinkami, które po odcięciu zbędnych dodatków można było nosić jako funkcjonalne kamizelki. Wziął z hurtowni także paski, ponieważ wiedział z własnego doświadczenia, że wielu mężczyzn chętnie nabędzie i pasek, gdy kupi spodnie.

Jesień szybko wdarła się pomiędzy młode krakowskie osiedla. Szeleściła kolorowymi liśćmi opadającymi leniwie z drzew. Nie była to najszcześniejsza pora na rozpoczynanie interesu, choć na plac wciąż jeszcze przychodziło wielu ludzi. Plątali się chaotycznie pomiędzy straganami, poszukując różnych okazji: czy to zdobycia czegoś w atrakcyjnej cenie, czy to łatwego zarobku. Kieszonkowcy zawsze mieli raj, niejeden biedak stracił na Tomeksie portfel. Przezorniejsi mężczyźni nosili pieniądze i dokumenty w saszetkach „nerkach” zapinanych na pasku, a kobiety kurczowo przyciskały torebki do boków, choć to niewiele pomagało. Paweł nie raz widział, jak zręczny złodziej rozcinał skaj żyłką, a następnie inkasował forszę delikwentki.

Widział, lecz nie interweniował, bo i po co? Znał się również i ze złodziejami, wielu z nich pamiętał jeszcze z czasów przed wolnym rynkiem – niejeden dostarczał mu wówczas ciekawe towary na sprzedaż. Jego nie okradali głównie dlatego, że nie wszczywał alarmu, gdy coś zauważył. No i oczywiście z uwagi na

starą znajomość.

Paweł należał do tych osób, które nie lubią zanadto się wychylać. Wolał spokojnie lawirować przez życie. Niczym płynąca woda uparcie zmierzał do celu, omijając przeszkody. Nie reagował na żadne bulwersujące zdarzenia i dzięki temu było mu łatwiej – nikomu się nie narażał. Jak go raz jeden gamoń naciął na wymianie kaset VHS, to mu je po prostu zwrócił nazajutrz i zażądał zwrotu uiszczonej opłaty. Od tej pory Szymczak zaczął korzystać z usług prawdziwych wypożyczalni, choć tam było drożej niż u drobnych biznesmenów oferujących filmy pod gołym niebem, zwykle ze starej walizki. Ale nie posunął się do tego, by ukarać oszusta lub przestrzec przed nim innych klientów. Tamten osioł i tak dostał za swoje, ponieważ ludzi, którym wywinał podobny numer, było więcej. Pewnego dnia na bazar wpadło kilku napakowanych kolesi i spuścili mu wpierdol. Nikt nie zareagował, bo z takimi jak oni lepiej nie zadzierać.



Interesy Pawła szły teraz tak sobie: ani dobrze, ani źle. Osiągał stały zysk, ale bez szaleństw. On miał już znacznie większy apetyt. Jeszcze półtora roku temu nie pogardziłby tym, co wyciskał z handlu, teraz mu to nie wystarczało. Andzia przynosiła do domu więcej kasy. I pracę miała znacznie przyjemniejszą, bo w charakterze szefowej. Jemu doskwierały warunki atmosferyczne, gdyż szczęka nie dawała schronienia przed zimnem, wiatrem, a i przy mocno zacinającym deszczu trudno było mówić o komforcie. Ludzie go wkurzali, ponieważ najczęściej przychodzili tylko po to, aby oglądać towar. Na wszystko kręcili nosami i targowali się, czy nie opuściłyby ceny. No ale ileż, do diabła, można sprzedawać półdarmo?

Co gorsza uwiązany był do bazaru jak kundel do budy. Ślubna miała pracownice, on stał sam, gdyż na razie nie chciał wydawać forsy na zatrudnienie pomocnika. Tak oto się wyrolował po tylu latach harówki! Na domiar złego wciąż dostawał od Andzi dobre rady: a to, żeby wziął na handel suknie z atelier, a to, by wprowadził również damski asortyment. Szlag trafiał Pawła, gdyż traktowała go niczym szczyła, który nie wie, jak ma prowadzić interesy.

Jeszcze się odkuję – obiecywał sobie w duchu. Jeszcze pokażę wszystkim, jaki ze mnie biznesmen.

Strasznie go uwierało, że baba zarabia lepiej niż on, ale wiedział, że nie rozwinie się, póki będzie samotnie tkwił na Tomeksie, warując przy swoim towarze. Potrzebował kogoś zaufanego do pilnowania i sprzedaży szmat.

Tylko do kogo uderzyć z propozycją?

Już to przerabiał. Mimo niemałej rodziny nie mógł liczyć na nikogo: ani na kuzynów, ani na ich dziatwę. No, chyba żeby jeszcze raz uderzył do Pawłowskich. Adek co prawda raz mu odmówił, ale nie zawadzi ponownie zapytać. Może i Wiołkę by przekonał? Gdyby się udało, to poszerzyłby ofertę o jakieś rzeczy dla kobiet, bo ona zawsze coś by mu doradziła, a i pewnie baby prędzej kupowałyby od niej niż od niego. Andzi nie zamierzał prosić ani o pomoc w wyborze towaru, ani tym bardziej o jakiegokolwiek rady. Honor mu na to nie pozwalał!



No i co ja mam na siebie włożyć? – martwiła się Wiołka, stojąc przed otwartą na oścież szafą. Sukienka? Spódnica i sweter? Czy może jeansy?

Nie zamierzała dawać odczuć koledze, że zaproszenie jakoś szczególnie ją ucieszyło. Jeszcze by sobie coś głupiego

pomyślał! Ale nie mogła też pójść do kina jak ostatnia łachudra. Babcia Julia, która przez lata stanowiła dla niej niekwestionowany autorytet i w wielu przypadkach godnie zastępowała tragicznie zmarłą matkę, zawsze powtarzała, że kobieta przy każdej okazji powinna odpowiednio się prezentować. To babcia odpowiadała za obudzenie we wnucze babskiej próżności i nauczyła ją, jak zadbać o ładny wygląd.

Tak, Wioletta Pawłowska zdecydowanie była strojnisią. Większość zarobków z klubu wydawała na buty i fatałaszkę. Sprawiało jej to przyjemność. Kupowała kolejne ubrania dla samej siebie, a nie po to, by robić wrażenie na facetach, choć zdawała sobie sprawę, że atrakcyjny wizerunek w pracy w znaczący sposób przekłada się na wysokość napiwków.

Tato nigdy nie karmił jej za tę rozrzutność. Twierdził, że po chudych latach, gdy sam musiał zarobić na wszystkie potrzeby rodziny, córka ma prawo folgować swoim zachciankom. On i tak będzie dożywotnio spłacał kredyt na mieszkanie nabyte trochę z myślą o przyszłości któregoś z dzieci, a trochę z myślą o pewnej sympatycznej pani doktor. Choć na razie urodziwa brunetka wzbraniała się przed ponownym włożeniem kajdan małżeńskich – podobnie jak on owdowiała dość młodo – to jednak wciąż żywił nadzieję, że prędzej czy później usłyszy bicie weselnych dzwonów. Tym bardziej że dorosłe już dzieci w ogóle nie protestowały przeciwko jego zamiarom.

Plany matrymonialne ojca nie zaprzętały tego popołudnia myśli Wioletki, choć była im bardzo rada, gdyż staruszkowi (dobre sobie: ów staruszek liczył zaledwie czterdzieści dwie wiosny) należało się coś od życia po latach srodze doskwierającej samotności. Teraz ważniejszy był wybór stroju, który miał zadowolić jej upodobania, a jednocześnie nie sprawiać wrażenia, jakby zamierzała nim kusić Lorkowskiego.

W końcu kobieca próżność wzięła górę i dziewczyna włożyła najnowszy nabytek: elastyczną sukienkę pochodzącą

z pracowni krawieckiej cioci Andzi. Oczywiście braciom i ojcu nigdy w życiu nie przyznałyby się, gdzie kupiła kieckę. Wszyscy trzech Pawłowscy mieli bowiem jakieś pretensje do wujka Pawła, które – niesłusznie, zadaniem Wioletty – rozciągali również na ciotkę i jej niewyszukane kreacje.

Wiolka doskonale rozumiała gniew taty: w końcu to przez wujka Marek nie skończył szkoły. Ten przechera tak zbałamucił młodego, że brat rzucił liceum. W rezultacie chłopak wyłądownął w jednostce wojskowej i obecnie ćwiczyl zapewne krok marszowy z przybiciem przed czekajacym go uroczystym skladaniem przysięgi.

Ojciec i dziadek chyba nigdy nie darowali tego Pawłowi, ponieważ w ich mniemaniu solidne wykształcenie było jednym z filarów życia. Na ostatek wuj i tak wyrolował Marka finansowo.

Brat złościł się właśnie o pieniądze, ponieważ w sprawie ukończenia liceum wciąż wychodził z założenia, że jak zechce, to powtórzy czwartą klasę i zda egzamin maturalny, chociażby po powrocie z wojska.

Adrian miał do Pawła żal o używany odtwarzacz VHS, który kupił w drastycznie zawyżonej cenie. Ciulał chłopak kasę na upragniony sprzęt, a ten chytrus zdarł z niego jak za woły, tłumacząc się inflacją. Poniewczasie wszyscy, którzy usłyszeli o tej transakcji, stwierdzili, że Adek mógłby za tę samą kwotę kupić dobrej jakości nowy magnetowid.

No ale żeby od razu złościć się na ciotkę?

To prawda, że nie chciała sprzedawać rodzinie ubrań z rabatem, ale po co miałyby to robić, skoro nie narzekała na brak klientek? Ciuchy z jej pracowni rozchodziły się jak świeże bułeczki. A gdyby Wiolka chciała kupić podobną sukienkę u innego sprzedawcy, to też nic mniej by za nią nie zapłaciła, więc o co tu stroić fochy?



– Świetnie wyglądasz – pochwalił Tomek, gdy zdjęli kurtki.

W foyer panował nieprawdopodobny ścisk. Nic dziwnego, wszak bilety wyprzedano błyskawicznie, nie można ich było dostać nawet u koników.

Weszli na widownię, zajęli miejsca. Kiedy zgasło światło, Lorek usiłował się skupić na projekcji, lecz bliskość Wiolki całkowicie rozpraszała jego uwagę. Dziewczyna z zapartym tchem śledziła fabułę. On wciąż zerkał na swoją towarzyszkę. To było silniejsze od niego. Mimo mroku zauważał teraz detale, które wcześniej mu umknęły. Na przykład to, że dolną wargę miała pełniejszą od górnej i delikatnie wywiniętą w dół. Ponieważ spięła włosy w koński ogon, zauważył zgrabne ucho, znacznie mniejsze niż jego własne, ale za to śliczne. Tak, miała śliczne uszy, które często ozdabiała kolczykami. Najczęściej były to niewielkie perłowe kuleczki. Kiedyś wspomniała, że dostała je na urodziny od dziadków.

Właściwie miał spory zasób informacji na jej temat. Wiedział przykładowo, że dziadkowie są jej szczególnie bliscy. Bardzo ich kochała. Nie wstydziła się, że są starszymi ludźmi, którzy zaczynają z wolna niedołążnieć. Zawsze mówiła o nich z dumą i błyskiem w oczach, szczególnie o babci Julii, która była jej największym oparciem po śmierci matki. Wiola kochała też zwierzęta. Marzyła o posiadaniu psa, lecz zdawała sobie sprawę z tego, jaki to byłby kłopot. Niby mieszkali na Oświecenia w czwórkę, ale większość czasu spędzali poza domem, więc zwierzak bardzo by się męczył albo robiłby znaczne szkody. Pozwoliła sobie wyłącznie na zakup chomika. Zwykle gdy próby odbywały się u Pawłowskich, Wiolka trzymała w dłoni swojego ulubieńca. Bawiła się z nim albo pozwalała, by po niej wędrował. Dziwna taka dziewczyna, która nie boi się myszy, bo

przecież ten gryzoń był chyba z nimi dość blisko spokrewniony.

W mroku kina miał zdecydowanie więcej odwagi niż podczas prób albo w kawiarni. A może sprzyjało temu miłe sam na sam? Bo choć zewsząd otaczali ich ludzie, to wszystko byli obcy. Tomek wyciągnął rękę i delikatnie dotknął opuszkami grzbietu dłoni spoczywającej na dzielącym ich podłokietniku. Wiola zerknęła na niego z zaskoczeniem, lecz on to przewidział i zdążył utkwic wzrok w ekranie. Bał się spojrzeć jej w oczy – gdyby zobaczył w nich gniew, byłoby mu przykro. Już lepiej, aby po prostu zabrała dłoń, a później, po wyjściu z kina, nie nawiązałyby w rozmowie do tego epizodu.

A jednak nie cofnęła ręki, choć bardziej wyczuł, niż zobaczył, że drgnęła i popatrzyła na niego. Ośmielony brakiem innej reakcji, uściśnął lekko jej palce. Przez resztę seansu nie zabrał swojej dłoni. Gładził miękką, aksamitną skórę dziewczyny. Kiedy skończył się film, Tomasz odczekał, aż Wiola włoży kurtkę i opatuli się szalikiem, a potem zdecydowanym ruchem wziął ją za rękę i poprowadził przez szpaler foteli.

– To co teraz? – zapytał, gdy znaleźli się na zewnątrz. – Kawiarnia? Pizza? Na co masz ochotę?

Panował przenikliwy ziąb, jak to w listopadowy wieczór, lecz Kraków tętnił życiem. Ludzie opuszczający kino potracali stojącą w pobliżu wyjścia niezdecydowaną parę. W końcu Lorek, widząc wahanie na twarzy Wiolki, by uniknąć propozycji powrotu do domu, ponownie wziął ją za rękę i ruszył w stronę przystanku.

– Podjedziemy kawałek do centrum – oznajmił. – Jest jeszcze dość wcześnie. Usiądziemy w jakimś lokalu. Dzisiaj dla odmiany tobie będą usługiwać. – Puścił oko do ukochanej.

Rozmawiali o obejrzanym filmie. Wiola zachwycała się grą Bogusława Lindy. Aktor ewidentnie wpadł jej w oko. Tomasz pocieszał się myślą, że to tylko gwiazdor – niedostępny dla dziewczyny z Mistrzejowic. Gdyby było inaczej, nie miałby z nim

żadnych szans. Nie był ani w połowie tak przystojny. Zbyt szczupły do swego wzrostu, trochę kościsty, o absolutnie przeciętnej twarzy z dość jasnymi brwiami. Wyglądał raczej bezbarwnie, gdyż jego włosy były w bliżej nieokreślonym, mysim kolorze. Na dodatek zwykle żyły własnym życiem, nie podporządkowując się żadnym próbom ujarznienia. Gdy obcinał je na rekruta, tworzyły się w nich kręgi i odgniecenia przywodzące na myśl dziwną mapę. Kiedy trochę odrastały, stroszyły się wyjątkowo nieporządnie. Dla świętego spokoju zapuścił je na długość do ramion i przeważnie wiązał w niewielką kitkę. Wtedy wyglądał chyba najkorzystniej. Nosił niezbyt duże baczki. Niebieskoszarym oczom brakowało blasku, a ponieważ sporo czasu spędzał w zamkniętych pomieszczeniach, miał niezdrowo ziemistą cerę. W jego powierzchowności nie było absolutnie nic, co mogłoby wprawiać panny w zachwyty. A już na pewno nie kogoś takiego jak Wiola – prawdziwa ślicznotka, przynajmniej w jego odczuciu.

Jego wybranka mierzyła metr siedemdziesiąt, co w połączeniu z dziesięciocentymetrowymi obcasami, które chętnie wkładała poza pracą, sprawiało, że wyglądała niczym wiotka trzcinka. Była szczupła, lecz nie chuda. Wabiła wzrok przyjemnymi krągłościami. Nadgarstki oraz kostki miała wyjątkowo filigranowe. Aż dziw brał, że ktoś taki jak ona nie myśli o karierze modelki. Na pewno zrobiłaby furorę, gdyby tylko wykazała odrobinę przebojowości. Widać jednak nie chciała. Wiedział, że babcia Wioletty zadbała o to, by wychować ją na porządną dziewczynę. Ukochana napomknęła kiedyś, że krewna jest dla niej prawdziwym autorytetem moralnym. Zapewne dzięki starszej pani wciąż pozostawała wierna zasadom, które wpajano jej od dziecka, i brzydziła się robieniem kariery przez łóżko, a z tego niestety słynął wielki świat. Tomek był przekonany, że właśnie o to chodzi. Nigdy nie dał wiary plotkom Jolki Bieniek, z którą raz umówił się na kawę nie tyle

dla przyjemności, co w celu delikatnego wypytania jej o koleżankę. Wbrew temu, co usłyszał od zawistnej kelnerki, wątpił, jakoby Wioletta przespała się ze swoim szefem dla lepszych godzin pracy, wyższej pensji i innych przywilejów. Grabowski faworyzował ją wyłącznie dlatego, że jej po prostu nie dało się nie lubić.

A teraz on, Tomasz Lorkowski, trzymał ten skarb za rękę i szedł z nim ulicami miasta. Postanowił zabrać ukochaną do pizzerii na Szewskiej. Potem pójda do jednego z przyjemnych lokali, których nie brakowało na Rynku Głównym, by posiedzieć tam choćby i do nocy, skoro następnego dnia obydwójce mieli wolne.

Ostatecznie trafili do Klubu Pod Jaszczurami. Bez większego problemu udało im się znaleźć stolik. Pogoda nie sprzyjała nocnym spacerom, więc turystów było tego wieczoru niewiele. Zamówili kawę i sernik.

– Musimy to koniecznie powtórzyć – stwierdził Lorek, gdy po godzinie Wioletka rzuciła hasło do powrotu.

– Nie wiem, czy to jest dobry pomysł – oznajmiła dziewczyna. – Wiesz, ja nie chcę, żebyś pomyślał, że zamierzałam dzisiaj dobrze zabić się na twój koszt czy coś w tym rodzaju. Ale chodzi o to, że... – urwała, zastanawiając się, jak wytłumaczyć swoją decyzję, by nie sprawić mu przykrości. W końcu był fajnym kumplem, przyjacielem jej brata. Grali razem w zespole i istniało spore prawdopodobieństwo, że będą ze sobą długi czas współpracowali. Nie chciała nieporozumień na samym początku, ponieważ mimo wcześniejszego sceptycyzmu zapaliła się do tego projektu. Po kilku próbach wszyscy zgodnie stwierdzili, że nieźle im idzie, i już zastanawiali się, jak dalej prowadzić swoje sprawy. Adek proponował, by zaczęli od grania na dancinгах i weselach, a jednocześnie spróbowali nagrać swoją kasetę.

– Chcesz powiedzieć, że widzisz we mnie tylko kolegę – odgadł.

– Tak. Nie będę cię oszukiwała. To nie jest odpowiednia chwila, żebym mogła zawracać głowę sobie i tobie. Mam mnóstwo zajęć, spośród których najważniejsze są studia. Muszę zdobyć solidne wykształcenie i dobry zawód, bo tylko to da mi poczucie bezpieczeństwa. Babcia mówi, że teraz są bardzo trudne czasy dla ludzi takich jak my: młodych, zaczynających dorosłe życie.

– Chyba żadne czasy nie były łatwe – zauważył. – W przeciwieństwie do naszych rodziców i tak mamy źzej. Nie musimy już walczyć z władzą, bo to oni rozmontowali komunę.

– Niby tak, ale mam wrażenie, że niektórzy zaczynają za nią tęsknić – odparła, zadowolona, że temat rozmowy uległ radykalnej zmianie. Z miejsca postanowiła to wykorzystać i odwrócić uwagę Lorka od ewentualnych randek.

– Myślisz, że można tęsknić za pałami, armatkami wodnymi i gazem łzawiącym? – zapytał retorycznie chłopak.

On także zakosztował takich „atrakcji”. Wprawdzie tylko jako dzieciak w stanie wojennym, a potem pod pomnikiem Lenina, ale wierzył, że to już przeszłość. Wiele wskazywało na to, że nowa władza nie ma takich zapędów. Rząd cierpliwie znosił strajki, blokowanie dróg przez Leppera i jego popleczników.

– Naszym rodzicom całe życie upływało w terrorze – powiedział po chwili milczenia.

– Doskonale wiem, co masz na myśli. Tato był w opozycji. Internowano go w stanie wojennym. W naszej rodzinie krążą dramatyczne opowieści o tym, co moi bliscy przeżywali po wojnie i przez kolejne dziesięciolecia. A jednak obsługując klientów, często słyszę, że nie było jak za komuny. Bo praca była wtedy dla każdego. Nikt nie groził wywaleniem na bruk za byle bzdurę. Ludzie zawsze dostawali wypłatę, nie to, co teraz.

Faktycznie, na porządku dziennym były narzekania osób, które szef zwodził w sprawie wypłaty wynagrodzenia. Niejeden biedak trzymał się kurczowo etatu, bo słyszał obietnice, że

będzie lepiej, a potem otrzymywał tylko parę złotych. I tak leciały kolejne miesiące, a ludzie czekali i bali się odejść z pracy ze strachu, że wtedy już nic nie odzyskają.

– Kiedyś nie trzeba też było płacić podatków. Wszyscy mieli po równo – zauważył chłopak.

– No... Prawie wszyscy. – Dziewczyna wzruszyła ramionami, bo jednak nawet ona widziała dysproporcje pomiędzy zamożniejszą a uboższą częścią rodziny. A upływ czasu zamiast te różnice jakoś wygładzić, tylko je powiększał.

Poniekąd obydwójce rozumieli tych, którzy narzekali na nowe czasy. Dawniej było źle, ale czy teraz żyło się lepiej? Zewsząd słychać było narzekania, że trudno się dostać do państwowej roboty, bo wszystko się prywatyzuje. A tam, gdzie pojawiał się prywaciarz, pracownicy mocno dostawali w tyłek. Utyskiwali więc, że trzeba ciężko pracować, a i tak życie mijało w ciągłym strachu, że wyleci się za bramę, ponieważ na miejsce jednego zwolnionego czekał tłum chętnych.

– Ja się nie dziwię, gdy niektórym załśni w oku łezka na wspomnienie przeszłości. Kiedyś był przymus pracy i człowiekowi działa się krzywda. Teraz mamy bezrobocie i krzywda jest jeszcze większa – skwitował. – Ale zawsze była taka prawidłowość, że we dwoje łatwiej – wrócił do przerwanej wątku i spojrzał na Wiołę z nadzieją.

– Nic z tego, Lorek. Nie mogę cię okłamywać. Nic do ciebie nie czuję. Jesteś fajny, ale to za mało, żeby mogło nam się udać. Poszukaj sobie wartościowej dziewczyny, która będzie cię szczerze kochała. Jesteś godny miłości, ale ja jej nie czuję i nie zanoszę się na to, bym mogła ją poczuć. Nie zaprzataj sobie mną uwagi. Mogłabym cię tylko skrzywdzić, udając nieistniejące uczucie albo podejmując próbę stworzenia iluzji – dodała nieco ciszej i z pewnym żalem, gdyż nie było jej komfortowo w roli osoby, która łamie komuś serce. Nie mogła jednak postąpić w inny sposób. I rzeczywiście nie czuła się godna tego, by ją

kochał.

Pokiwał głową. Liczył się z takim obrotem sprawy, gdy zapraszał Wiołkę do kina.

– Dzięki za szczerość. Przynajmniej wiem, na czym stoję.

– Przykro mi.

– Szkoda. Odprowadzę cię – oznajmił, wstając. Silił się na spokojny ton. Nie chciał, by poznała, jak mocno trzepnęły go jej słowa.

Już wcześniej uregulował rachunek, więc mogli od razu opuścić kawiarnię.

Tomasz nie zamierzał przedłużać tego wieczoru. Marzył o powrocie do mieszkania, które zajmował wraz z rodzicami i młodszą siostrą. Od dawna zazdrościł rówieśnikom z Zachodu, którzy szybko wyfruwali z rodzinnego gniazda, by szukać szczęścia w świecie. On nie mógł sobie na to pozwolić. Uczył się, próbował pracować, lecz kiepsko mu to wychodziło. Imał się zajęć dorywczych. Kasy z tego wystarczało mu ledwo na skromne kieszonkowe. Nie było perspektyw na wynajęcie osobnego lokum, a o kupnie czegoś na własność nawet nie miał co myśleć.

I cóż on miał do zaoferowania takiej pannie?

Jego kolegom nie spieszyło się do zakładania rodzin. Zresztą coraz częściej słyszał stwierdzenie, że na co komu ślub. Sam zaczynał powoli postrzegać małżeństwo jako przeżytek. Bo jak nie trafiło się na odpowiednią osobę, to potem człowiek musiał się męczyć całe życie albo brać rozwód. Czy nie lepiej więc byłoby najpierw spróbować, jak to jest, a dopiero potem wiązać się na stałe? Ale jak miałby próbować, skoro wszystkim wokół doskwierał brak pieniędzy i trudności lokalowe? Miałby przyprowadzić ukochaną do dwupokojowej klitki i żyć z nią pod czujnym okiem rodziców? Bzdura! Przy ich tradycjonalistycznym podejściu do życia było to absolutnie niemożliwe. Ojciec na pewno nigdy by na to nie pozwolił. Zaraz

zaczęłyby się gadanina o granicach przyzwoitości i ślubie.

Przez następne dni Tomek chodził jak nieprzytomny. Nie przypuszczał, że tak dotkliwie odczuje słowa Wioletty. Cierpiał, ale mimo wszystko wciąż żywił nadzieję, że jakimś sposobem przekona dziewczynę do zmiany zdania.

Zasadniczo nie czuł do niej żalu. Czasami nachodziły go jednak myśli, że może powinien spróbować wybić klin klinem. Poderwać jakąś fajną pannę, która pomoże mu zapomnieć o pierwszej miłości. Szybko jednak porzucał te rojenia. Nie byłby godny kobiety takiej jak Wiolka, gdyby szukał pociechy w ramionach innej. Wiedział, że faktycznie Pawłowskiej brakuje czasu na cokolwiek poza pracą, próbami i nauką. Gdyby powiedziała, że kogoś ma, musiałby uznać porażkę, zacisnąć zęby i zapomnieć. Ale póki była sama, póty miał nadzieję.

[\[5\]](#) Fragment utworu *Dziewczyńy* – słowa Kazik Staszewski, muzyka: Kazik Staszewski, wykonanie: Kazik Staszewski – album solowy, płyta *Spalam się, Zic Zac* 1991.

Rok 1994

Rozdział 3



Bolączki codzienności

*I coście skurwysyny uczynili z tą krainą?
Gdzie te tłumy brudnoszare idą latem, wiosną, zimą
I mijają samochody z wytłuczonymi szybami
I nie patrzą na żebrzących z wyciągniętymi rękami*[\[6\]](#)

– Ech... Gdyby tak człowiek miał choć dziesięć lat mniej – westchnął Paweł Szymczak, rozkładając swoje stoisko.

Ostatnio jego samopoczucie było zupełnie do niczego. Wciąż dokuczało mu ciśnienie. Jak się zdarzyło, że wypił o kieliszek za dużo, to potem przez dwa dni zdychał, tak łupał go łeb. Zima spędzona na bazarze dała mu się odczuć w gnatach. Wciąż go coś strzykało jak nie w jednym, to w drugim boku. A przecież nie był jeszcze taki stary. Ledwo skończył trzydzieści siedem lat! Tyle że poszarpał sobie nerwy na wszystkich nieudanych interesach. Nic więc dziwnego, że wciąż miewał przekrwione oczy i odczuwał zmęczenie.

W połowie ubiegłego roku święcił triumfy finansowe. Kiedyś bowiem podsłuchiwał, jak jeden handlarz chwali się drugiemu, że już niedługo będzie mógł rzucić Tomex w cholerę, bo zarabia

fortunę, produkując susz z nabiału za pomocą specjalnego aktywatora. Cały biznes był dziecinnie prosty. Wpłacało się trochę grosza za składnik, który należało dodać do mleka. Następnie suszyło się toto w plastikowych kubkach. Praca przy tym nie wymagała absolutnie żadnych umiejętności, wystarczyło tylko wymieszać preparat i odłożyć na półkę. Temperatura pokojowa sama dopełniała dzieła – po dwóch tygodniach powstawał gotowy produkt, przypominający konsystencją serek, który firma Bioferm odkupywała za dwukrotność wniesionego wkładu. Z tego granulatu miały być produkowane w Szwajcarii jakieś luksusowe kosmetyki.

Paweł od razu wyczuł krociowy zysk i postanowił w to wejść. Na próbę, by nie ryzykować zbyt wiele, nabył jeden aktywator i w tajemnicy przed żoną przeprowadził cały proces. Dopiero gdy bez żadnych przeszkód zainkasował obiecane pieniądze, opowiedział o wszystkim Andzi. No i uzgodnili wspólnie, że trzeba ulokować w tym więcej kasy, skoro po dwóch tygodniach wyciąga się drugie tyle, co się włożyło. Na początku działali ostrożnie, ale po kilku tygodniach postanowili, że zagrają *va banque*. Zwłaszcza że twórca firmy Bioferm, Tomasz Wróblewski, przewidywał nagrody dla najaktywniejszych „producentów”. Dali się omamić wizją premii w postaci malucha albo nawet poloneza, i w związku z tym jesienią zlikwidowali wszystkie posiadane lokaty. Stwierdzili zgodnie, że podczas następnego spotkania dla najlepszych działaczy to oni zgarną bonusy. Paweł chciał nawet sprzedać swojego golfa i nowiutkiego opla Andzi, z założeniem, że jak skończą biznes, to odzyskają pieniądze, sprzedadzą zdobyczne pojazdy i kupią sobie jeszcze lepsze samochody. Szczęściem trudno było znaleźć na łapu-capu kupca, który dałby przyzwoitą cenę. Tak czy owak wpakowali w przedsięwzięcie całą gotówkę. W mieszkaniu nie można było się ruszyć, bo wszędzie stały plastikowe kubki.

No i nagle pięknie prosperujący biznes diabli wzięli, bowiem po Krakowie gruchnęła wieść, jakoby sanepid wziął produkcję pod lupę i uznał, że jest niehigieniczna. A potem po prostu zakazano Biofermowi działalności. Co pozostało? Paweł w te pędy pognął do kasy, by odzyskać włożone w biznes miliony, lecz na miejscu usłyszał od innych producentów, że w tajemniczy sposób pieniądze wyparowały z konta firmy. A cały zasób wytworzonego granulatu, który rzekomo miał trafić do Szwajcarii, odnalazł się w beczkach zmagazynowanych na terenie Igloopolu.

Oj działo się wtedy w Krakowie, działo! Straszna wyszła z tego afera, gdyż oszuści z Biofermu wpuścili w maliny ponad trzydzieści tysięcy osób. I bynajmniej poszkodowanymi nie byli jacyś pierwsi lepsi frajerzy – w biznes weszli politycy, dziennikarze i ludzie z tytułami naukowymi. A ponieważ wielu z nich potraciło cały dorobek życia, miasto aż huczało. Ile lokat poszło na zmarnowanie! Ile samochodów! A ile nerwów i zdrowia? Mówiono nawet, że trzech desperatów popełniło samobójstwo po niespodziewanej defraudacji. Nie pomogło szturmowanie siedziby Biofermu, doniesienia na policję, nagłaśnianie afery w mediach. Oszust uciekł, zapewne za granicę, a ludziom zostały długi, zgryzoty i granulki, których nikt do niczego nigdy nie potrzebował.

Oj! Oberwało się wówczas Pawłowi za wszystkie czasy! Po aferze z Bezpieczną Kasą Oszczędności Andzia nie darła się na niego tak, jak za tę porażkę. Przez parę tygodni nie mógł jej obłaskawić i nie wierzyła w żadne obietnice, że wkrótce się odkują.

– Ty idioto! – urągała mu ile wlezie, niepomna, że sama ochoczo likwidowała lokaty oszczędnościowe i jeszcze własną teściową namawiała, by dołożyła do biznesu ze swojej skromnej renciny. – Mało ci było niebezpiecznej kasy Grobelnego? Musiałeś jeszcze i na tym popłynąć?

– A co? Może tyś nie wpackowała w to pieniędzy? – odgryzł się.
– Za twoją namową! Boś mi oczy zamydlił, ty... ty... ty łachudro! Ty stary, głupi capie! O Jezusie Nazareński, na co mi przyszło? – Przewracała zezowatymi oczami. – Całe szczęście, że powstrzymałam cię przed sprzedażą samochodów, bo to by dopiero była strata! Ostatnimi dziadami byś nas zrobił! Jaki stary, taki głupi!

Tak, po tym wszystkim czuł się jak stary dureń. Bo jakże to możliwe, że mając nauczkę sprzed zaledwie trzech lat, znowu pozwolił, by go omamiono? Wszak już raz się przekonał, że nie można w krótkim czasie podwoić posiadanych pieniędzy!

Ech... Chyba straciłem czujność. Rzeczywiście zaczynam się starzeć – jęczał w duchu, usiłując zachować twarz przed żoną, która nie ustawała w zrzędzeniu. Gdybym był młodszy, to pewnie nie dałbym się tak otumanić! Co za parszywe czasy! Co za ludzie!

Jak na złość teraz liczyła się tylko młodość. On natomiast czuł się doszczętnie wypalony. Mało tego, aż go dusiło w dołku z wściekłości, bo w prasie i telewizji wciąż mówiono o dwudziestoparolatkach robiących oszałamiające kariery. O ich przedsiębiorczości i młodzieńczym spojrzeniu na świat biznesu. Nawet cholerni Adek z Wiolką zaistnieli w wielkim świecie. Ostatnio było o nich coraz głośniej i, co tu dużo mówić, gdy słyszał o sukcesach Pawłowskich, to uwierało go coś nieprzyjemnie w boku. Andzia cierpiała, zdaje się, na podobną przypadłość, tylko że ona dla odmiany utyskiwała na wątrobę. Obydwoje mieli po dziurki w nosie zespołu, który w ich domu stanowił temat tabu.

A teraz, jakby na złość, handlarz ze stoiska obok puścił głośno muzykę dla przyciągnięcia klientów. Sprzedawał kasety, więc to zrozumiałe, że musiał je jakoś zareklamować. Ale żeby zaraz katować ludzi szlagierami zespołu Silver Star? Czy już nie ma innych kapel w tym kraju?

– Przycisz pan ten jazgot – burknął Paweł do sąsiada. – Uszy puchną od tych koronkowych majtek i złamanych serduszek.

– Pan to się w ogóle na muzyce nie znasz – odparł meloman. – Ależ to Silver Star! Ich kasety ostatnio świetnie się sprzedają. Ponoć ci muzycy mieszkają w Nowej Hucie!

– Ee tam. W jakiej Nowej Hucie? – oburzył się Szymczak. Wszak nowe osiedla od dawna nie zaliczały się do dzielnicy. Z Nowej Huty niewiele zostało po podziałach sprzed kilku lat. Kombinat i to, co przy nim – ciut dalej poza plac Centralny.

Za Chiny Ludowe i pół Afryki nie przyznałby się sprzedawcy, że to jego krewni grają w tym zespole i odnoszą ogólnopolskie sukcesy.

Ech, świecie podły i niesprawiedliwy!

Zamiast wdawać się w dalsze dyskusje, rozejrzał się wśród przechodzących ludzi. Ze starej zgrai, która zawsze szwendała się po bazarze i w jego okolicy, widywał przeważnie Dragana i jego żonę. Elena nadal uprawiała swój żebraczy proceder, choć jej dziecko znacznie podrosło. To już nie było niemowlę, które przesypiało spokojnie całe dni na kartonach wyścielających chodnik. Teraz brzdąc plątał się wokół matki. Miał bezrozumną twarz, z wyglądu trochę przypominał niesforną małpkę. Widać alkohol, którym pojono go od pierwszych chwil życia, zrobił swoje. Czasami ciągnął przechodniów za ubrania, odbijając na tkaninach ślady brudnych rąk. Przeganiany, karcony i poszturchiwany pokazywał język, a potem zaczepiał kolejne osoby. Zamiast wzbudzać litość, wywoływał u ludzi irytację swą nachalnością. Stał się bezużyteczny. Matka chłopca siedziała w tym czasie w pokornej pozie i czekała na jałmużnę. Odkąd nie towarzyszyło jej niemowlę, datki wyraźnie zmalały, co wywoływało gniew Rumuna. Czasami Elena i Dragan spierali się o coś żywołowo w swoim dziwnym języku. Gestykulowali, wskazując brudną szmatkę, na którą ludzie rzucali nieliczne banknoty.



Dlaczego moje życie jest takie beznadziejnie głupie? – westchnęła Gosia, wyglądając ze znudzoną miną przez okno na podwórko w nowohuckim osiedlu Centrum A.

Od dłuższego czasu babcia nie odprowadzała jej każdego dnia do i ze szkoły, ponieważ wciąż skarżyła się na żyłaki i bolące nogi. Teraz Gosia miała obowiązek jechać prosto z lekcji do babci, u której jadła obiad, odrabiała zadanie, a potem mogła wyjść przed blok, by się pobawić. Nie było mowy o tym, aby samotnie wracała do własnego mieszkania. Jeździła tam wyłącznie na noc, a i to nie codziennie. Czasami zostawała u babci, choć bardzo tego nie lubiła, ponieważ musiała spać z nią na jednej wersalce, co było okropnym przeżyciem. Gruba babcia zajmowała dużo miejsca i na dodatek chrapała przez sen. Pachniała też jakoś tak dziwnie. Trochę naftaliną, trochę walerianą, a trochę maścią, którą smarowała nogi.

W Centrum doskwierała Gosi niewyobrażalna nuda. Nastolatka niejedną raz próbowała przekonać rodziców, że jest wystarczająco samodzielna i odpowiedzialna, by wracać do siebie, odrabiać zadanie i spędzać czas w domu. Obiady mogła sobie przecież odgrzewać w mikrofalówce albo jadać w szkole. Ale nic z tego! Oni byli tacy uparci! Tato i mama znikali zwykle na całe dni. Wychodzili wtedy, gdy zaczynała lekcje, a wracali późnym wieczorem. Nie było ich również w weekendy.

Twierdzili, że jest za mała, aby spędzać popołudnia i wieczory bez dozoru. Jeszcze wpuściłaby do mieszkania kogoś obcego i bieda gotowa! A co by było, jakby złodziej zrobił jej krzywdę? Taką straszną, której nie potrafi sobie w ogóle wyobrazić? A na dodatek gdyby wyniósł wszystkie cenne przedmioty? No i to nie do pomyślenia, by wciąż siedziała sama, bo przecież pod ich

nieobecność nie powinna zapraszać koleżanek. Te też mogłyby coś ukraść. Niech więc Gosia się nie buntuje – jak dorośnie, będzie mogła robić to, co będzie chciała. A na razie dla wygody i spokoju rodziców powinna jeździć do babci, u której i tak ma mnóstwo swoich ubrań, zabawek i wszystkie niezbędne przybory szkolne. Ojciec lub matka przyjeżdżali zwykle wieczorami i zabierali ją do domu. Podrzucali od razu babci różne zakupy, na które jej nie byłoby stać. Staruszka niewielką emeryturę niemalże w całości wydawała na opłaty oraz lekarstwa. Gdyby nie pomoc, pewnie chodziłaby głodna – wciąż o tym mówiła, wzdychając i pocierając się w okolicy klatki piersiowej. Dobrze więc, że tak sobie umyślili, żeby wnusia spędzała u niej wolny czas po lekcjach. Bo czuła się różnie, gdy miała do towarzystwa tę ptaszynę, i była spokojna, że dziecku nie dzieje się żadna krzywda: nie chodzi głodna i zmarznięta. A i zawsze synuś coś jej dopomoże, bo na Dankę nigdy nie mogła liczyć.

Ciocia Danuta była córką babci Sabiny, młodszą siostrą taty. Gosia nawet ją lubiła, choć rzadko ją widywała, gdyż ciotka dawno temu, po rozwodzie z pierwszym mężem, wyprowadziła się na drugi koniec miasta. Do matki zaglądała od przypadku do przypadku, ale wiedząc, że będzie u niej bratanica, zawsze przynosiła jakiś drobny upominek, który różnił się znacząco od tego, czym obdarowywali ją rodzice. Ciocia znała potrzeby i duszę nastolatki. Nigdy nie zbywała Gosi słowami: „nie teraz”, „nie mam czasu”, „zajmij się nauką albo zabawą”, „idź, pooglądaj sobie telewizję, nie zwracaj mi głowy”. No i można było z nią pogadać jak z człowiekiem, ponieważ miała pogodną naturę i na wszystko znajdowała chęci.

Babcia to już tak zaniemogła, że całe dni przesiadywała przed telewizorem albo u sąsiadów z góry. Wstawała z fotela głównie po to, by poczłapać do kuchni, potłuc się garnkami i przygotować jakiś prosty posiłek. Gotowała zazwyczaj w kółko

jedno i to samo: do znudzenia rosół i kotlety schabowe lub sznycle. Kiedy wnuczka poprosiła o coś innego, to fuknęła, że małej poprzewracało się w pupie z dobrobytu. To znaczy babcia użyła wtedy brzydszego słowa na d, ale Gosi nie wolno było się „wyrażać”. Bo mama się o to bardzo gniewała. Zresztą nie tylko ona, lecz wszyscy dorośli. Tak więc u babci zawsze skwierczało coś na patelni, a nastolatce było już niedobrze od tych wszystkich kotletów, które z ogromną lubością pochłaniał ojciec za każdym razem, gdy wpadał po córkę. A babcia mówiła, że przez całe życie musiała harować w barze mlecznym, gdzie na okrągło były: jarzynówka, pomidorówka lub barszcz, a na drugie same dania bezmięsne. I że w tamtym czasie najadła się pierogów i naleśników tyle, że wystarczy jej do końca życia.

Babcia nieszczególnie lubiła opowiadać o pracy w barze, ale w chwilach, gdy miała wyjątkowo dobry humor, to wspominała o tym, jak przed laty grywała na scenie Teatru Ludowego. Do tej pory zachowała kilka afiszy, na których wydrukowano skład obsady, a pomiędzy nim jej nazwisko. Jakby nie te plakaty, wypłowiałe ze starości i zniszczone w miejscach składania, to Małgosia nigdy w życiu nie uwierzyłaby, że babcia pracowała jako aktorka. Nawet gdyby ciocia Danka i tato powtarzali to do znudzenia. Zresztą ciotka nie była wiarygodnym świadkiem tej części babcinego życia, gdyż urodziła się tuż przed tym, jak babcia zmieniła zajęcie.

Ale co też jej strzeliło do głowy, by porzucić aktorstwo dla baru?

Tego nikt nigdy nie chciał objaśnić dziewczynce, której taki pomysł po prostu wydawał się nedorzeczny.

Przez większość czasu spędzanego u Sabiny Gosia potwornie się nudziła. Bo dziewczyny z Centrum A nie za bardzo chciały się z nią bawić, dla nich była obca, nie chodziła do tej samej szkoły co one, nie mieszkała tak naprawdę u swojej babci i zniknęła z podwórka o różnych dziwnych godzinach. U siebie

na osiedlu Złotego Wieku też czuła się wyobcowana. Z tamtejszymi koleżankami utrzymywała kontakt wyłącznie w szkole, nie spotykały się już po lekcjach. Bardzo rzadko bawiła się z Julią Małek, zwłaszcza odkąd pani Teresa uprosiła mamę Gosi o pracę w „Atelier u Anny”.

– Od dzisiaj masz się nie zadawać z Małkówną – oznajmiła mama pewnego dnia po powrocie z pracowni.

– Dlaczego? – zdziwiła się dziewczynka.

– Bo jej matka pracuje teraz u mnie. Nie możesz przebywać z córką robotnicy, która mi podlega.

– Ale dlaczego? – Gosia nie rozumiała, czemu ma stracić jedyną przyjaciółkę.

– Bo nie będziesz bawiła się z córką pierwszej lepszej szwaczki i już! – Andzia ucięła krótko rozpaczliwe prośby. – To nie uchodzi! Jesteś od niej sto razy lepsza.

To ostanie zdanie matka powtarzała na każdym kroku, lecz Gosia wcale nie czuła się lepsza od innych dziewczynek. Przeciwnie, często odnosiła wrażenie, że jest kimś gorszym: nieładnym i nielubianym. Raz podsłuchiwała w szkole rozmowę koleżanek, które nazwały ją pulpetem. Nieużyтым, tłustym pulpetem. Mówiły wtedy jeszcze dużo okropnych rzeczy, nie wiedząc, że za rogiem siedzi bohaterka ich dyskusji i wszystko słyszy. To było straszne! Najokropniejsze, co spotkało ją w całym życiu.

Po powrocie ze szkoły chciała pożalić się mamie, ale ta wróciła późno i była zmęczona. Gdy córka zaczęła relacjonować zasłyszaną pogawędkę, Andzia wpadła we wściekłość.

– Nie słuchaj tych głupich gówniar! Zazdroszczą ci ładnych ubrań i drogich zabawek. Tego, że mamy na wszystko pieniądze. A w ogóle to jesteś od nich sto razy ładniejsza i nie dorastają ci do pięt. Nie zwracaj na nie uwagi.

Chciała, lecz nie potrafiła, ponieważ od tamtej pory stała się znacznie czujniejsza. I coraz częściej wyłapywała z rozmów

koleżanek jakieś drwiny. Pewnego dnia postanowiła sobie, że już nigdy nie pozwoli, aby ktoś nazywał ją pulpetem. Nim pójdzie do liceum, musi wszystko zmienić. Jak się odchudzi, to na pewno dziewczynki nie będą jej przezywały. Może nawet znajdzie prawdziwą przyjaciółkę, taką od serca. Ale najpierw odchudzanie. Koniec ze słodyczami i kotletami! Choćby babcia na siłę wkładała jej mięso do ust, nigdy więcej nie zje ani kawałeczka. Będzie wszystko wypluwać.

To było półtora roku wcześniej.

Przez ten czas co nieco się zmieniło. Wprawdzie rodzice nadal nie poświęcali jej uwagi, ale za to skupiona na własnych bolączkach babcia Sabina przestała się nad nią nadmiernie trząść. Nie pilnowała jej podczas posiłków ani tuż po nich, więc nie miała pojęcia, że kotlety i sznycle zawinięte w woreczek trafiają do szkolnego plecaka wnuczki, a następnie do kosza na śmieci. A jeśli spożywały posiłek razem, to później Gosia szła do łazienki i wkładała palec w gardło, by pozbyć się tego, co zjadła.

Nawet jeśli ktokolwiek zauważył, że Małgosia wyszczupiała, to nikt się tym szczególnie nie przejął. Każdy z osobna doszedł do wniosku, że jest smuklejsza, ponieważ nagle wystrzebiła w górę niczym młoda brzoźka. Była już niemal tak wysoka jak babcia i nosiła ten sam rozmiar butów co ona. Wprawdzie jeszcze nie miewała miesiączek, ale widać było, że wchodzi w wiek dojrzewania. Stąd ta chudość.

Małgorzata stawała na głowie, by zwrócić na siebie uwagę wiecznie zabieganych rodziców, lecz oni nie mieli czasu dla córki.

Najważniejsze były pieniądze! Nic poza nimi się nie liczyło!

Nawet kiedy Gosia chorowała na anginę lub grypę, to nie zostawała w swoim mieszkaniu, tylko tato albo mama zawozili ją samochodem do babci. Oczywiście odwiedzali ją tam codziennie, przywożąc słodycze, cytrusy oraz inne upominki. Bez większego zainteresowania dopytywali o jej samopoczucie,

zbywając prośby o przewiezienie jej do domu, a potem wracali do swoich spraw.



Szlag trafił psa i nowy łańcuch – denerwował się Paweł.

Kiepska pogoda nie sprzyjała interesom. Mężczyzna już od dawna zarabiał niewiele. Żona przynosiła do domu znacznie więcej pieniędzy. Chępiła się swoją zaradnością, a on czuł się nic niewart. Co gorsza nie mógł posłać irytującej połowicy do diabła, gdyż kilka lat wcześniej wpakował się w nieliczne tarapaty. Ponieważ obracał wówczas dość dużymi kwotami, niekoniecznie własnymi, i wiele ryzykował, przyszło mu do głowy, że ze względów bezpieczeństwa powinien wziąć z Andzią rozwód i zapisać mieszkanie oraz samochody na nią. Ona wtedy zaczynała swój krawiecki biznes. Nie włożyli weń nazbyt dużo kapitału, szło jej dość dobrze, nie zadłużała się, miała stabilne dochody. Uznali więc to rozwiązanie za dość rozsądne.

To cud, że po tej chryi najpierw z Grobelnym, a później z Biofermem nie wywaliła go na zbity pysk. Nie wściekał się na nią zbyt mocno, gdy urągała mu za frajerstwo, ponieważ miał do stracenia absolutnie wszystko.

Oczywiście przez cały ten czas mieszkali razem i wspólnie wychowywali Małgosię. Rozwód to była tylko papierkowa fikcja dla ochrony majątku. Wszak mieli ślub kościelny, który dla rodziny więcej znaczył niż urzędowy. Tylko że teraz Paweł czuł się z tą sytuacją mało komfortowo. Bo choć pomiędzy nim a żoną wszystko dobrze się układało, to skąd miał wiedzieć, czy pewnego dnia do Andzi nie przyplącze się jakiś facet, który omami ją do tego stopnia, że ta puści go z torbami? Zwłaszcza że związek sakramentalny uważali za mniej wiążący niż papier z urzędu.

Anna wciąż była niczego sobie kobitką. Może i roztyła się trochę zanadto w biodrach, lecz jemu to nie przeszkadzało. Wszak kochanego ciała nigdy za wiele. Bo i biust miała taki, że palce lizać, i łydki do schrupania, i buzię wciąż jędrną. Nosiła się modnie i elegancko zarazem. Zdecydowanie nie wyglądała na swoje trzydzieści pięć lat. Niejeden mógłby się na nią połasić, choć była zezowata i pyszczyć potrafiła jak mało która przekupka. Ale kto by tam zwracał uwagę na drobne mankamenty urody czy charakteru, gdy w grę wchodził kąsek tak apetyczny, na dodatek z niemałym dorobkiem? Mieszkanie mieli ładne: trzypokojowe, z balkonem, urządzone luksusowo i wedle najświeższej mody. I sprzęty nie były jakie: zachodni telewizor na pilota, magnetowid, wieżę stereo, kuchenkę mikrofalową, a nawet zmywarę do naczyń, by Andzia nie musiała sobie niszczyć dłoni. A przed blokiem, na parkingu stały dwa samochody: jego kilkuletni volkswagen golf kombi i Andzini opel astra – zaledwie półtoraroczny nabytek bezpośrednio z salonu samochodowego, marzenie niejednego kierowcy.

O ten samochód bardzo się bali, bo choć był ubezpieczony, miał autoalarm i blokadę kierownicy, to wciąż istniało ryzyko, że ktoś go ukradnie. Zdażyli też mocno się zdenerwować, gdy jakaś szuja ciemną nocą przejechała czymś ostrym, pewnie gwoździem, po karoserii. Ot, podłość ludzka nie ma granic!

Stał więc Paweł na Tomeksie, dygocząc z zimna i chłodu. Jeansy sprzedawały się kiepsko, zarobek był mikry, a tu jeszcze należało opłacić pracownika, którego zatrudnił, bo przecież nie mógł cały czas, świątek piątek, tkwić na placu jak ten kołek w płocie. Potrzebował jeździć do hurtowni po towar, do urzędów z rozliczeniami. Nawprowadzali ostatnio tej biurokracji, że człowiekowi żyć się odechciewało. Nic, tylko wziąć sznur i się powiesić. Ciężko było wyjść na swoje, bo to i skarbówce trzeba się opłacić, i ubezpieczalni, i placowe uiścić. Marzy też nie mógł

dużej narzucać, bo ludzie zrobili się wybredni, że aż strach. Jak zaczynał handel w latach osiemdziesiątych, to byle gównem można było sprzedać za godziwą cenę. Klienci rzucali się na wszystko, co miało zagraniczne pochodzenie i wyglądało ładnie.

Gdyby nie Alosza, który od czasu do czasu dawał mu zarobić w ryzykowny sposób jakąś grubszą forszę, to byłaby bieda z nędzą.

Paweł ziewnął przeciągle, spoglądając wokół. Nawet nie zasłonił ust dłonią, nie chciało mu się podnosić ręki. Z daleka dostrzegł Dragana, który wciąż sprzedawał spirytus niewiadomego pochodzenia i czerpał zyski z tego, co użebrała jego żona. Elena znowu miała dobrą passę, gdyż osesek leżący obok niej wzbudzał wśród ludzi współczucie. Na brudną chustkę, do której zbierała datki, trafiało sporo banknotów. Ktoś litościwy rzucił jej nawet sto tysięcy złotych! Czasami jakiś przechodzień zgadywał o to niebożę, wskazując na nie ręką, lecz ona kręciła głową, udając, że nie rozumie, o co chodzi. W rzeczywistości rozumiała bardzo dużo i miała spory zasób słów.

Paweł widywał Rumunów każdego dnia. Nie zauważył jednak okresu, w którym kobieta była ciężarna. Na pewno rzuciłoby mu się to w oczy tak, jak rzuciło się niemowlę, które pewnego dnia położyła na kartonie obok siebie. Czasami, niezbyt często, trzymała je na rękach. Było równie spokojne jak brzdąc, z którym żebrała przed dwoma laty. Teraz tamten urwipołec zaczepliał przechodniów, a ona bez śladu uczucia piastowała maleństwo.

Obserwując ją, Paweł próbował zgadywać, skąd wzięła nowego berbecia. Najbardziej oczywiste byłoby chyba wytłumaczenie, że to potomek jakiejś krewnej lub koleżanki. To tłumaczyłoby brak emocji, gdy czasami maluch budził się i kwilił z zimna lub głodu. Nie karmiła go piersią, co zdarzało się innym żebraczkom, gorszącym przechodniów swą

bezceremonialnością. Dawała małemu butelkę, zapewne z zimnym mlekiem zaprawionym wódką. A gdy małe pojazdo, odkładała je na bok i przestawała na nie zwracać uwagę. Chyba że zaczynało się drzeć.



Nie tylko Szymczakowi były solą w oku sukcesy zespołu Silver Star. Również Marek nie potrafił wyzbyć się zazdrości o karierę Adriana i Wioletty. Niby odcinał się od ich muzykowania, pokpiwał sobie z bliźniaka i siostry, lecz tak naprawdę w głębi duszy miał dla nich ogromny respekt, ponieważ faktycznie w dość krótkim czasie osiągnęli znaczący rozgłos. Nagrali dwie płyty i obydwie cieszyły się powodzeniem. Jeździli z koncertami po małych miejscowościach w całym kraju. Ich piosenki nucone były na ulicach, podczas biesiad i przy pracy.

Rodzeństwo zarabiało na tym bardzo dobrze. Adek kupił nowy samochód, siostra odkładała na mieszkanie. A on po powrocie z wojska nie miał co ze sobą zrobić i tułał się jak potępiona dusza, szukając pomysłu na samego siebie.

Na razie Marek siedział na kuroniówce i myślał nad przyszłością. Wróciłby do handlu kasetami, ale nie miał kapitału na początek. Przed wyjazdem do Mrągowa nieźle wychodził na interesie, lecz niewiele odkładał. Wprawdzie wciąż dokupował towaru i urozmaicał ofertę, tyle że większość zysków mu się rozchodziła. Miał samochód, który musiał utrzymywać, sporo pieniędzy wydawał na życie i związane z nim przyjemności. A gdy już wylądował w jednostce, to też potrzebował jakiegoś grosza, bo żołd był zdecydowanie zbyt niski. No i teraz rezerwista nie miał wiele pieniędzy – nie było ich dość na zainwestowanie. Zresztą zmieniał się sposób handlowania. Łóżko polowe czy stolik turystyczny odpadały.

Aktualnie trzeba byłoby pomyśleć o szczęście, a najlepiej o powierzchni w domu towarowym, żeby się na łeb nie lało, nie wiało zimnem po grzbiecie, nie prażyło w tyłek, gdy upało. I zachodu przy biznesie też zrobiło się jakoś tak więcej – przybyło biurokracji.

Pawłowski, jak dziesiątki innych osób, szwendał się bez szczególnego celu po Tomeksie. Liczył, że mimo wszystko coś go tam natchnie pomysłem na życie. Nie uśmiechała mu się wizja tyrania na etacie, ale coraz częściej z rezygnacją myślał o tej konieczności.

Zajrzał do wujka Pawła, bo w gruncie rzeczy nic do niego nie miał, odkąd przejął jego kasety, rekompensując sobie poniesione wcześniej straty. Szymczak zawsze był chytry i obrotny, odznaczał się głową do interesów. Marek widział jednak, że i wujek jakoś cieniej przędzie. Niby strugał pana: jeździł volkswagenem, palił marlboro i pijał najlepsze trunki, ale to były pozory. Z wieści rodzinnych dotarło do chłopaka, że Andzi idzie znacznie lepiej niż mężowi, a Paweł znowu na czymś popłynął. Aktualnie utknął na handlu jeansem i nie był w stanie rozwijać działalności. Pawłowski stwierdził, że dopadła go ta sama plaga co jego – po prostu Szymczak zarabiał tyle, co na bieżące potrzeby, bez możliwości odłożenia czegoś na inwestycję w bardziej dochodowy biznes. To było błędne koło. Mogli obydwaj do usranej śmierci sprzedawać detalicznie towar na placu, mając w perspektywie jedynie niewielki rozwój. Prawdziwe pieniądze zarabiali przeważnie ci, co byli na lukratywnych posadach za komuny: dawni dyrektorowie przedsiębiorstw, którzy wykupili je podczas prywatyzacji.

Ale dobrze było pogadać z kimś takim jak on, ponieważ wujek nigdy się nie poddawał. Nie wyszło z jednym? Bez wahania robił coś innego. No i pracował sam na siebie, a nie na jakiegoś cholernego szefa krwio pijęcę.

– *Dla mojego kochanego wkładam co mam najlepszego,*

koroneczki, falbaneczki, szminkuję ładnie usteczki. – Ze stoiska sąsiadującego ze szczęką najmowaną przez Pawła dźgnął Marka w uszy dobrze znany głos. Chłopak zapewne zrobił głupią minę, bo wujek zaraz to skomentował:

– Całymi dniami muszę słuchać tego badziewia. Człowiek nie ma ani chwili spokoju. Wzięłbyś powiedział tym grajkom, żeby obmyślili jakiś ciekawszy repertuar, bo mi już bokiem wyłażą te ich falbaneczki. Wstyd się przyznać, że to rodzina!

– A bo to się z nimi widuję? – burknął Marek. Zły, ponieważ Szymczak poruszył drażliwy temat. – Nigdy nie ma ich w domu, bo albo są na studiach, albo koncertują, albo robią próby.

Ech... bliźniak i siostra to się dopiero ustawili!

I pomyśleć, że on też mógł pokosztować sławy i łatwego życia!

Przecież proponowali mu, by z nimi występował. Na co dzień mógł sobie chodzić w glanach i skórce, nosić czarne koszulki. Wystarczyłoby tylko na scenę włożyć kiczowaty kostium i trochę się powyglupiać. Za kulisami wciąż byłby sobą. Ale nic z tego! Wykpił w okrutny sposób ich pomysł na samym początku. Gdy wrócił z wojska, znowu napomknęli, że mogliby powiększyć skład o jedną osobę, lecz on miał wtedy głowę nabitą myślami o powrocie do handlu. Jeszcze łudził się, że ot tak sobie wskoczy z powrotem na dawne miejsce, ale nic z tego – teraz w tej części placu kupczył ktoś inny i trudno byłoby znaleźć choćby skrawek wolnej przestrzeni, tak było wszystko oblegane. Dopiero po kilku tygodniach bezsensownej plątaniny przyznał, że jednak Wiola i Adek mieli rację i trafili w dziesiątkę ze swoim zespołem, ale było za późno na to, by się pokajać. W międzyczasie dość im nadokuczał od chodnikowców, którzy grają disko-klepisko dla wiochy.



Pewnego dnia Paweł został zaczepiony na Tomeksie przez człowieka, którego tak właściwie znał tylko z widzenia. Wiedział, że tamten zaczął ostatnio nieźle zarabiać. Przede wszystkim rzucały się w oczy jego eleganckie ubrania oraz telefon komórkowy, który zawsze ze sobą nosił. Często rozmawiał przez ten aparat, nie przejmując się zawrotnie drogimi połączeniami. Rozglądał się przy tym na boki, by sprawdzić, czy ludzie na niego patrzą. Krótko mówiąc, afiszował się dobrobytem i Szymczak niejedną raz zastanawiał się, czy przypadkiem nie szuka guza. Bo ludzi zawsze kłuło w oczy, gdy komuś powodziło się nieco lepiej.

Wszak im też zazdrozczono tego, do czego doszli z takim mozołem. Nie dalej jak w ubiegłym tygodniu, nocą, jakiś chuligan rozbił szybę w samochodzie Andzi i ukradł radio. Nic sobie nie robił z wyjącego przeraźliwie alarmu. Wyszarpał sprzęt i wziął nogi za pas, zanim Paweł zdążył włożyć kaptcie, szlafrok i wylecieć przed blok.

– Słyszałem, że szuka pan sposobu na łatwy interes – zagadnął mężczyzna, a potem krótko się przedstawił. – Pana kolega, Wiktor Czyż, polecił mi się z panem skontaktować. Marian Pietrzyk.

– Szymczak. Paweł Szymczak.

– Tak, wiem – odparł mężczyzna ubrany w elegancki garnitur.

Wymienili mocny uścisk dłoni. Uwadze Pawła nie umknęła złota bransoleta od zegarka – zapewne drogiego.

– Jest interes do zrobienia. Bardzo duży. I nie trzeba kapitału na początek, wiesz pan? Wystarczy parę złotych na zakup pakietu startowego, a potem tylko łeb na karku, trochę znajomych osób i biznes sam się kręci.

– Jaka branża?

– Handel chemią gospodarczą i kosmetykami.

– Ee tam! – Paweł skrzywił się z niechęcią. – Zawracanie dupy. W kosmetykach to ja już robiłem. I dałem się jak jakiś jelen

nabić w butelkę!

– A boś pan pewnie suszył serki dla Biofermu. Dużo osób na tym popłynęło. – Pokiwał głową ze zrozumieniem. – Ale mój interes jest zupełnie inny. Tutaj działa się bez ryzyka. Bo najpierw pan zbierasz zamówienia na towar, a potem sprzedajesz. Nie ma tak, że wpłacisz pan bająnskie sumy i zostaniesz z jakimś badziewiem. Wszystko idzie z rączki do rączki.

Szymczak zerknął na niego przychylniej.

– Jeszcze mi pan powiedz, że wpisowe do firmy niewiele kosztuje. I że jak czegoś nie sprzedam, mogę zwrócić towar do hurtowni.

– Właśnie tak to wygląda. Mówię panu, że to uczciwa działalność. Duża międzynarodowa korporacja. Tacy jak oni nie pozwolą sobie na blamaż. Zresztą w tym biznesie dostajesz pan wszelkie narzędzia pracy. Regularnie organizowane są mitingi, podczas których ludzie dzielą się swoimi spostrzeżeniami, opowiadają o tym, jak sobie radzą, jak pozyskują klientów i w ogóle. Nikt nie jest pozostawiony samopas. Mówię panu, że to doskonały interes.

– W sumie handel nie jest mi obcy – stwierdził ostrożnie Szymczak. Uznał bowiem, że może jednak warto byłoby zainteresować się tym zagadnieniem nieco bliżej. Póki nie włoży w to pieniędzy, nic nie traci.

– Zasadniczo to jest bardziej marketing niż handel. Tworzysz pan sieć sprzedaży i wszystko samo hula.

– A możesz pan coś wyjaśnić w szczegółach? – zagadnął Paweł z rosnącą ciekawością, bo na czym jak na czym, ale na handlu to on już zęby zjadł i znał się jak mała kto. Wszak jego życiową dewizą były słowa, które wciąż chętnie powtarzał: lepsze kilo handlu niż gram roboty. Poza tym rekomendacja ze strony Czyża miała niebagatelne znaczenie. Od razu wiedział, że jego rozmówca jest człowiekiem godnym zaufania. Wiktor nie

podesłałby mu byle łaachmyty.

– Więcej to ja tutaj nie powiem, bo wiesz pan: trzeba temat spokojnie i dokładnie omówić. Ale może spotkamy się jutro. Dajmy na to o siedemnastej czterdzieści pięć w Jubilatce. Wtedy wszystko panu wyłożę ze szczegółami.

– Siedemnasta czterdzieści pięć? – zdziwił się Szymczak. – To nie lepiej o osiemnastej, żeby była pełna godzina?

– Wiesz pan: czas to pieniądz. O osiemnastej to już pan będziesz wiedział, jak się to wszystko kręci. To co? Wpadniesz pan?

– A właściwie co mi szkodzi? A jaki kapitał jest na jutro potrzebny? No bo ja to nie lubię chodzić z większą gotówką przy dupie.

– Jutro to pan tylko przyniesiesz listę swoich znajomych. Niechże pan siądzie wieczorem i na spokojnie wynotuje kontakty do wszystkich osób, jakie zna. Z bazaru, z wojska, z podstawówki, z klatki schodowej... Jak najwięcej. Najlepiej z adresami i numerami telefonów, ale to nie jest konieczność, bo człowieka teraz łatwo można znaleźć. W książce telefonicznej chociażby. To jest największy majątek w tym przedsięwzięciu. Resztę obgadamy jutro. To jak, mogę na pana liczyć?

Paweł skinął głową.

Przez resztę dnia Szymczak mocno zastanawiał się, co też za biznes ma do zaoferowania jego nowy znajomy. Interes musiał być niezły, Pietrzyk nie wyglądał na kogoś, komu brakuje gotówki. No i co najważniejsze: nie trzeba było dużego wkładu na początek. Wiktor Czyż dobrze wiedział, że Pawła nie stać teraz na interesy, które wymagają inwestycji, bo i on słyszał co nieco o oszustach z Biofermu.

Wrócił do domu podekscytowany, choć z mocnym postanowieniem, że na razie nie zdradzi ślubnej, w czym rzecz. Najpierw musi się przekonać, co ma do zaoferowania tamten człowiek. Przekalkulować, czy warto w to wchodzić. Andzi

opowie o wszystkim, dopiero jak się okaże, że gra jest warta świeczki. Po chryi z Biofermem wolał nie ryzykować jej wściekłości.



Nazajutrz punktualnie przyjechał do Jubilatki, wciąż nie mogąc się nadziwić precyzji, z jaką mężczyzna określił godzinę spotkania. Na miejscu były jeszcze trzy inne osoby, które, jak się okazało, przyszły w tym samym celu. Punktualnie o siedemnastej czterdzieści pięć wszedł do kawiarni Marian, niosąc ze sobą niedużą tablicę. Znowu miał na sobie nienaganny strój ze świeżą koszulą i modnym krawatem.

Człowiek sukcesu, ot co – pomyślał Szymczak, spoglądając na biznesmena. Musi być korzystny ten interes, skoro facet na co dzień paraduje w garniturze. Ja bywam ostatnio jedynie na placu, a tam taka elegancja-Francja jest zbyt duża – westchnął.

Przez następną godzinę siedział niczym zahipnotyzowany, chłonąc słowa, które padały z ust eleganta. Sukces w tej dziedzinie był dziecinnie łatwy do osiągnięcia. Po pełnej prezentacji, którą przedstawił Pietrzyk, pomagając sobie rysunkami robionymi na bieżąco na tablicy, Szymczak nieomal złapał się za głowę na myśl o genialnej prostocie prowadzenia działalności. Że też sam nie wpadł na coś takiego! Wystarczyło tylko wpłacić niewielką, naprawdę śmieszoną kwotę, za którą człowiek dostawał pakiet startowy do biznesu. W jego skład wchodziły materiały szkoleniowe oraz trzy produkty do przetestowania i użytkowania pochodzące z bogatego asortymentu firmy Amway.

Osoby zaangażowane w prowadzenie tego interesu miały wyznaczone dwa zadania. Po pierwsze należało sprzedawać wysokiej jakości produkty, oferując je swoim znajomym

w trybie indywidualnych prezentacji. Uchowaj Boże, aby to był handel tradycyjny: na bazarze lub domokrażny. Tak dobrych jakościowo artykułów nie zbywa się w prymitywnych warunkach. Klient musi poznać ich jakość. Docenić! Zapragnąć dokonania zakupu! Po drugie, prócz handlowania osobiście, należało jak najszybciej budować własną sieć sprzedaży, wyglądającą mniej więcej jak piramida, bowiem osoba wprowadzająca nowych członków do przedsięwzięcia otrzymywała prowizję nie tylko od własnej sprzedaży, ale również od tej dokonywanej przez swych protegowanych. Czym więcej chętnych udałoby się wcisnąć do interesu, tym większych profitów można byłoby się spodziewać. Pieczołowicie sporządzona lista znajomych służyła właśnie do tego, by zaproponować przystąpienie do działalności innym osobom. A że Paweł stanowił w rodzinie niedościgniony wzór biznesmena, liczył, że pociągnie za sobą wszystkich krewnych.

Z entuzjazmem zgłosił Pietrzykowi zainteresowanie jego protekcją podczas wchodzenia do organizacji. Przyjął także zaproszenie na wiec, który miał się odbyć za dwa dni w Nowohuckim Centrum Kultury.

– Warto zaglądać na spotkania motywacyjne – namawiał gorąco Marian. – Tam to dopiero zobaczysz pan biznesmenów! Takich, co już mają własnych kierowców, wille z basenami i grube portfele. Ino przyjdź pan w stroju biznesowym. – Zerknął z ukosa na lekko wyświechtane mawiny i podkoszulek Szymczaka. – Jak się wchodzi do Amwaya, to trzeba trzymać poziom. Ludzie muszą widzieć, coś pan wart.

Znowu Paweł wrócił do domu podekscytowany i z błyskiem w oczach, co oczywiście nie uszło uwadze żony. Ślubna z miejsca zaczęła go wypytywać o powody owej radości, a on tylko zatarł dłonie, potem postukał ją palcem po nosie i oznajmił:

– Męskie biznesy, Andzia. Męskie biznesy.

A to oznaczało ni mniej, ni więcej, tylko że nie powinna wnikać w jego sprawy, bo wszystkiego dowie się w swoim czasie. Albo i nie.

Chodził po domu, pogwizdując z zadowoleniem. Gośkę wygonił do spania o wyjątkowo wczesnej porze, by mu się nie plątała po domu ze smętną miną. Przez moment naszła go refleksja, że ostatnio córka zmieniała się nie do poznania. Stała się jakaś taka ponura, drażliwa. Potrafiła się dąsać o byle co, a na dodatek zbrzydła. Potem jednak pomyślał, że zaczęła dojrzewać i stąd ta metamorfoza. A on wolał się trzymać z daleka od babskich spraw i nie dociekać zanadto. Niech lepiej Andzia zawraca sobie głowę dorastającą córką.

Jak już młoda poszła do swojego pokoju, wyjął z barku butelkę ciociosanu. Chociaż za wermutem nie przepadał, to jednak uznał, że godzi mu się napić jakiegoś elegantszego trunku niż prozaiczna żytnia. Bo jak już mu te biznesy wyjdą, to trzeba będzie przyzwyczać podniebienie do szlachetniejszych alkoholi.

Andzi jeszcze nic nie zamierzał wspominać, ale kto mu zabroni wypić ze ślubną po kieliszku? Pierwszy obydwójgu wszedł szybko i gładko, więc nalał jeszcze po jednym. A potem poprawili następną kolejką. I tak ich ten alkohol rozgrzał, rozochocił i rozkręcił, że Andzia nawet się nie obejrzała, jak leżała na kanapie w salonie, zadzierając w górę masywne uda, podczas gdy ślubny uwijał się między nimi, pojękując z rozkoszy. Raz po raz to ją głaskał po pulchnym ciałku, to dawał pieśzcotliwe klapsy w pośladek, aż mlaskało. Lubił tak na ostro, z pasją, bez zbędnych ceregieli. Wystarczyło mu tylko, że zanurzył twarz pomiędzy dwie mlecznobiałe półkule, wciągnął w płuca ekscytujący zapach, jaki wydzielało ciało żony w tamtym miejscu, a już był gotów do działania. Na szczęście połowica należała do tych, w których ogień szybko zaczyna płonąć. Nie musiał robić długich podchodów, by się do niej

dobrac. Jak ją złapał za pośladek, przydusił swoim ciałem, wsunął język pomiędzy wargi, to zaraz miękła w kolanach i wilgotniała w kroku.

Ech! Pyszna była jak ten pączus z różanym nadzieniem!



Tomasz Lorkowski odwrócił się na materacu, unoszonym drobnymi falami w Kryspinowie. Wcześniej leżał na plecach, teraz ułożył się na brzuchu. Obok pływały dziewczyny, z którymi przyjechał nad wodę. Robiły mnóstwo hałasu, piszczwały, chlapały na prawo i lewo. Dopisywały im dobre humory. Próbowwały wciągnąć go do zabawy, lecz jego to mierziło. To one zainicjowały ten wyjazd, on nie miał ochoty smażyć się w słońcu. Dotąd jednak wierciły mu dziurę w brzuchu, aż zmiękł. No i teraz żałował swojego braku asertywności, ponieważ co chwila wciągały go w swoje głupie figle. W końcu, by dały mu spokój, machnęły kilka razy ręką i skierowały materac w stronę brzegu.

– Hej, Lorek, a ty dokąd? – zaprotestowała Monika.

Wysoka, smukła brunetka robiła wszystko, aby jak najwięcej z nim przebywać. Uwodziła go, próbowała kusić. Sama wskakiwała do jego łóżka. Nawet mu się podobała, ponieważ fizycznie przypominała Wiolettę: miała zbliżoną figurę oraz tę samą długość włosów. Kiedy się z nią kochał, bez trudu mógł sobie wyobrazić, że jest z kobietą, której nie był w stanie wyrwać ze swoich myśli i serca nawet na jeden krótki moment. Nie zmieniał tego upływ czasu.

Pawłowska była tak blisko – niemalże na wyciągnięcie ręki. Wciąż się spotykali: na próbach, koncertach, w studio nagrań. Pozowali razem do zdjęć, udzielali wspólnych wywiadów. A jednocześnie była odleglejsza niż gwiazdy na niebie, gdyż

wciąż trzymała go na dystans. Nigdy ani jednym gestem nie zachęciła Tomka do tego, by ponownie podjął próbę zaproszenia jej na randkę.

– Idę na koc. Chłapiecie i piszczycie jak opętane wariatki – burknął do dziewczyny, nie odwracając nawet głowy. – Bawcie się dobrze – dodał łagodniejszym tonem.

Miał nadzieję, że Monika zostanie tam, gdzie jest. Chciał być sam ze swoimi myślami. Bez towarzystwa natrętnych pańienek, które, odkąd stał się sławny, lgnęły do niego niczym muchy do miodu. Na szczęście tym razem dziewczyny mu odpuściły. Gdy wychodził na brzeg, hałaśliwe towarzystwo nadal baraszkowało w wodzie – wystarczająco daleko od niego.

Ułożył się na wznak, sięgnął po walkmana i włączył ulubioną kasetę. Po chwili usłyszał w słuchawkach, jak Robert Gawliński śpiewa: „Zamykam oczy, ja pragnę / Zamykam oczy, ja płonę!”^[7]. Ta piosenka na zawsze mogła mu się kojarzyć tylko z jedną dziewczyną.

^[6] Fragment utworu *Jeszcze Polska* – słowa Kazik Staszewski, muzyka: Kazik Staszewski, Piotr Strembicki, wykonanie: Kazik Staszewski – album solowy, płyta *Spalam się, Zic Zac* 1991.

^[7] Fragment tekstu piosenki *Rachela* z repertuaru grupy Wilki, wydawnictwo MJM Music PL 1992 r.

Rozdział 4



Upał

*Słońce przez okno budzi mnie / Kocham cię
Twoje ręce obejmują mnie / Pragnę cię
Gorący dzień rozleniwia mnie / Pić mi się chce
Twoje włosy głaszczą mnie / Kocham cię*[8](#)

– Gosia. Gosia!

Nastolatka siedziała przy stole, udając, że odrabia lekcje. W rzeczywistości nudziła się, śniąc na jawie. Podniosła wzrok i spojrzała w stronę kuchennych drzwi. Babcia stała w nich z pustym talerzykiem w dłoni.

– Co? – zapytała opiekunkę.

– A poszłabyś na górę do Sadzidłowej i zaniósł jej talerzyk. Przyniosła mi wczoraj kawałek ciasta. Pamiętasz? Ten, cośmy go zjadły na deser. Idź, bo mnie ciężko włązić po schodach, oddaj i podziękuj.

Dziewczynka pokiwała głową. Lepsze to niż siedzenie w domu przed telewizorem. Na zewnątrz lało, więc nie mogła wyjść na podwórko, a w telewizji nie było nic ciekawego. Nie chciało jej się układać puzzli, lalki Barbie też ją znudziły. Do koleżanek

nie puszczała jej babcia, bo nie lubiła, gdy „szwenda się po cudzych chałupach”. Widać jednak odniesienie talerzyka nie zaliczało się do owego szwendania, choć z góry było wiadomo, że nie skończy się na zapukaniu do drzwi sąsiadki i zwrocie własności.

Barbara Sadzidło zawsze zapraszała gościa do środka, kazała siadać na wersalce w małym pokoju przylegającym do kuchni i wypytywała o różne sprawy. Bardzo się wszystkim interesowała i zasadniczo Gosia lubiła z nią gawędzić.

Gospodyni częstowała ją też zawsze jakimiś domowymi specjałami: a to sałatką, a to ciastem, a to zupą inną niż rosół. Nastolatka nigdy nie odmawiała, choć wiedziała, że po powrocie do babci pójdzie do toalety i włoży palce w gardło, aby zwrócić wszystko do muszli. Lubiała jednak te chwile, gdy po jej podniebieniu rozchodziły się wspaniałe smaki. Szkoda, że w drugą stronę nie było już tak przyjemnie, ale przykre doznanie można było po chwili stłumić, wsuwając w usta kostkę gumy Turbo. I choć mama także ją za to tępiła, mówiąc, że te gumy są ponoć rakotwórcze – zawsze miała je przy sobie.

Matka to w ogóle była nieznośna z tymi wszystkimi zasadami: co wolno, a czego nie wolno. Co wypada i z kim wypada. Gdzie należy się pokazywać, a gdzie nie można i z kim. Gummy do zucia nie tolerowała, „bo to wygląda nader nieelegancko, gdy młoda dama kręci buzią”. Gosia, za notorycznie obgryzane paznokcie, też wciąż dostawała od niej burę, choć dokładała starań, aby nie wygryzać ich do tego różowawego mięsa, gdyż to bardzo bolało.

Dziewczyna złapała talerzyk i ruszyła ku drzwiom wejściowym.

– Ino nie opowiadaj tej bojcorze wszystkiego, co ci ślina na język przyniesie – pouczyła ją babcia.

– Dobra – odparła ugodowo.

Cóż było złego w tym, że ktoś okazywał jej odrobinę uwagi?

Lubili ją obydwójce: i pan Bolek, i pani Basia. Zawsze gdy do nich zachodziła, traktowali ją jak kogoś wyjątkowego. Mówili, że uwielbiają przyjmować gości, byli bardzo serdeczni. Choć czasami pan Bolek trochę za bardzo się wygłupiał, zwłaszcza pod nieobecność żony. Na przykład siadał obok niej na wersalce, bardzo blisko, i mówił, że jest ładną kobietką. Albo nawet dotykał jej łydki i wodził po niej palcem. Czasami, gdy miała na sobie szmizjerkę, odpinał guzik i odsłaniał większy fragment jej uda.

– Będzie z ciebie rasowa dama – mawiał.

Czasami wygłupiał się tak przy swojej żonie, a ona wówczas śmiała się, że jest starym zbereźnikiem i żeby dał już spokój Małgosi, bo jeszcze się sąsiadeczka obrazi i więcej nie przyjdzie z wizytą. Raz nawet dostał za to ścierką po łbie – oczywiście dla żartów, bo on nie potraktował tego serio i nadal rozpinał dwa dolne guziki w jej ulubionej sukience.

Ta sukienka też była wyrazem buntu. Gosia otrzymała ją od ciotki Danuty i gdy pochwaliła się nią matce, to myślała, że ta dostanie zawału serca albo apopleksji.

– Powinnaś się jej pozbyć! Kto to widział, żeby panna z porządnego domu nosiła takie ohydne stare szmaty? Wstyd! Ciężki wstyd! – jęczała zbolalym tonem.

Córka nie pozwoliła wyrzucić sukienki, a dla świętego spokoju trzymała ją i wkładała wyłącznie u babci. Bo fatałaszek został nabyty w lumpeksie. Tak, w prawdziwym ciucholandzie! Wielkim, śmierdzącym stęchlizną i jakimiś środkami dezynfekującymi.

Ciotka zabrała ją tam chyba na przekór swojej bratowej. Zdaje się, że nieszczególnie za sobą przepadały, ale to nie było zmartwieniem dziewczynki.

– Matka ubiera cię jak starą malutką – oznajmiła Danusia. – Trzeba coś temu zaradzić.

Rzeczywiście, zdecydowana większość strojów Małgośki

pochodziła z atelier. Były to zazwyczaj falbaniaste sukienki, eleganckie koszulowe bluzki i sztywne spódnice. Albo spodnie z gumką w pasie, w których wyglądała nie za dobrze, bo były na nią zbyt obszerne. Marzyła o zwyczajnych jeansach i podkoszulkach. O bluzach od dresu. Sukienkach, które nie będą kopiami dorosłych kreacji. No i ciotka zadbała właśnie o to, aby przynajmniej w domu babci Sabiny bratanica mogła ubierać się jak przystało na dziewczynę w jej wieku. A Gosi ani trochę nie przeszkadzało, że te rzeczy były używane i nie wiadomo, kto nosił je przed nią. Po zrobieniu zakupów ciocia zabrała je ze sobą i obiecała, że przywiezie wszystko wyprane, pachnące czystością i wyprasowane. Ale potem młoda sama będzie musiała już dbać o swoją garderobę. Ona może jej w razie czego pokazać, jak się pierze.

Teraz nastolatka z dumą wchodziła na wyższe piętro, wygładzając nieistniejące fałdki na młodzieżowej sukience z mnóstwem kieszeni. Zatrzymała się przed drzwiami babcinych sąsiadów i nacisnęła przycisk dzwonka. Poczekała na zaproszenie, a następnie weszła do mieszkania.

– O, Małgonia przyszła! – Bolesław wyraźnie ucieszył się na jej widok.

– Dzień dobry. Zastałam panią Basię? Bo przyniosłam talerzyk – powiedziała.

– Tak, jest w kuchni – odparł mężczyzna, siedzący jak zwykle na wersalce. – Siadaj. – Poklepał miejsce obok siebie.

Gosia przycupnęła na krawędzi.

– Ależ usiądź sobie wygodnie, coś się tak skurczyła? – zganił ją łagodnie sąsiad, więc przesunęła się pupą głębiej i oparła plecy. – Jak się masz?

– Aa... Wszystko dobrze – odparła.

– Mamusia w pracy? – odgadł.

– Tak, w pracy.

– A co ona tak dużo pracuje?

– Takie czasy nastały, że nie da się inaczej – powtórzyła słowa, które często słyszała od dorosłych. – Żeby się czegoś dorobić, trzeba dużo pracować.

Bolek parsknął śmiechem, Baśka uśmiechnęła się z przekąsem.

– Ot, mądrała – skomentowała wypowiedź smarkuli.

– A nie przykrzy ci się, że ciągle siedzisz u babci? – zapytał, gładząc ją po udzie.

Dzień był ciepły, więc nie włożyła rajstop. Sąsiad miał suchą, pomarszczoną dłoń.

– Trochę. Wolałabym być u siebie, ale mama nie chce, żebym sama nudziła się w mieszkaniu.

– No i słusznie. Jeszcze stałoby się coś złego. Przyszedłby jakiś złodziej i jak zobaczyłby taką ładną kobietkę, toby ją ukradł – zażartował i przesunął dłoń nieco wyżej, w stronę guzików. – A i Sabina pewnie się cieszy, że ma ciebie w domu.

– Bolek, ty stary zbereźniku, znowu męczysz Małgonię? – Barbara spojrzała spode łba na męża.

Czasami żywiła obawy, czy ten gamoń nie posunie się zbyt daleko. Od dawna ze sobą nie sypiali, czuła się za stara na to, by zadzierać dla niego koszulę. On co prawda miewał jeszcze chęci, ale na szczęście szybko mu przechodziło. Czasami folgował sobie sam, wiedziała o tym, bo kilka razy, gdy korzystała w nocy z toalety, zwabiła ją poświata z sąsiedniego pokoju. A kiedy tam zaglądała, bardzo dyskretnie, to widziała, jak ślubny siedzi przed telewizorem i ogląda lejące z magnetowidu filmy z różnymi sprośnościami.

Gdy pierwszy raz go na tym przyłapała, z ciekawości przystanęła na chwilę za uchylonymi drzwiami i patrzyła, jak młoda, atrakcyjna dziewczyna wkłada sobie wibrujące cacko w intymności. Na filmie nie było żadnego mężczyzny, ot dzierlatka zabawiała się sama ze sobą. Widać Bolkowi to odpowiadało, gdyż nigdy nie oglądał filmów, w których

występowały pary mieszane. Kręciły go tylko baby, które robiły sobie dobrze na własną rękę lub w duetach.

Jak się Barbara napatrzyła na te jej jęki i podrygiwania, to nawet poczuła przyjemne ciepło w podbrzuszu i pomyślała sobie, że też by tak chciała. I też bez starego, bo sypianie z nim przez czterdzieści trzy lata małżeństwa wystarczy jej w zupełności.

W pierwszym odruchu miała zamiar zdzielić go po starym, siwym łbie za obrzydlistwa, na które tak się gapił. Ale w tej samej chwili przyszło jej na myśl, że może to i dobrze. Bo jak się tak napatrzy na te jędrne pupy i piersi, pomiętoli sobie sam przyrodzenie, to potem ona ma święty spokój. Po takich widokach jej zwiotczały biust na pewno nie stanowił dla męża żadnej atrakcji.

Ale atrakcją mogła być ta gówniara, którą tak lubił głaskać po nóżkach. Robił to, patrząc bezczelnie na żonę i wcale się z tym nie kryjąc. A ta mała albo była tak głupia, że nie wiedziała, o co chodzi staremu piernikowi, albo była małym kurwiszonkiem, jak te z kasety wideo. Tylko że Gośka była za smarkata na to, żeby mógł sobie z nią pofolgować, gdyby go naszła chcica. Toć to groziło kryminałem!

Chociaż, czemu nie? Jakby go tak wsadzili do ciupy na stare lata, to ona miałaby już całkowity spokój, bo wtedy Bolek nie łąziłby po domu, zrzedząc, robiąc bałagan i pierdząc. Nie musiałaby prać jego gaci, sprzątać po nim, podtykać pod nos wymyślnych obiadków, bo spust do jedzenia wciąż miał jak młody. Może nawet nie tyle spust, gdyż jadał ostatnio znacznie mniej, choć chłop był z niego jak byk i dopisywał mu apetyt. Bolek wciąż sobie wymyślał, a to, że zjadłby gołąbki, a to gulasz, a to zrazy. Różnorodność musiała być spora. A gdzieżby tam jaśnie pan zjadł dwa dni z rzędu to samo? Co to, to nie! Może więc lepiej byłoby mieć z głowy tę marudę?

Tak właściwie to nawet go nie lubiła. Pobrali się bez miłości,

bo wyswatali ich ze sobą rodzice. Żyli razem z przyzwyczajenia, bez większych wstrząsów, ale i bez większej sympatii. W ich małżeństwie nie dochodziło do poważnych swarów czy rękoczynów. Trudno było także mówić, by nawet w młodych latach łączył ich ogień namiętności. Była to zaledwie iskierka, która pozwoliła na spłodzenie dzieci i odrobinę chędożenia od czasu do czasu – zazwyczaj na potrzeby i wyraźne życzenie Bolka.

Dlatego nie karciała ślubnego zbyt ostro za te niewinne figielki z młodą podfruwajką. A smarkata jak jest głupia, że daje się macać po nogach, to jej sprawa. *Dzisiaj udo, jutro piersi, pojutrze cipka* – myślała bezdusznie Baśka, rozciągając usta w serdecznym uśmiechu.



Mieszkanie dziadków Pawłowskich było zaczarowanym miejscem, do którego Wiolka, niezależnie od upływu czasu, zawsze wracała z prawdziwą przyjemnością. Tam znajdowała ukojenie, gdy miała mętlik w głowie.

Jak dobrze, że tutaj nic się nie zmienia – odetchnęła z przyjemnością, siadając na fotelu w pokoju dziennym.

Z błogą miną zamknęła oczy i wsłuchiwała się w tykanie starego zegara w dębowej szafce, stojącego pomiędzy oknami. Ten zegar nie był żadną pamiątką. Rodzina dziadka utraciła wszystko w czasie wojny. Aktualnie toczyła się w sądzie sprawa o zwrot majątku zagrabionego przez władze PRL na potrzeby spółdzielni rolniczej. Nie zanosilo się jednak na jej rychłe zamknięcie, gdyż temat traktowany był z irytującą opieszałością. Wiola wiedziała, że stylowy antyk pochodzi z pchlego targu, gdzie przez przypadek wypatrzył go czujny wzrok Wawrzyńca Pawłowskiego. Ku jego radości okazało się, że uszkodzony

mechanizm da się naprawić. Czasami dziadek naciągał go specjalnym łańcuchem, by wybijał upływający czas. Jako mała dziewczynka Wioletta często o to prosiła. Miarowe tykanie zawsze ją odprężyło i dawało poczucie bezpieczeństwa. Podobnie jak głębokie, basowe bim-bam, bim-bam, bim-bam, które rozlegało się przemiennie: jedno uderzenie, by wskazać pół godziny, oraz odpowiednia liczba dla pełnych godzin.

Wciąż pamiętała te potworne dni, gdy w ciągu jednej nocy mamusia zginęła w jakimś okropnym wypadku komunikacyjnym, a tato został internowany. Nie było go przez kilka miesięcy. Wiola i jej dwaj starsi bracia zamieszkali wówczas u dziadków. Wokół działo się wiele zła, to był wyjątkowo niespokojny okres, trwał stan wojenny. Za oknami często można było zobaczyć czołgi, wozy bojowe Zmotoryzowanych Odwodów Milicji Obywatelskiej oraz mnóstwo ludzi w mundurach.

Czasami robiło się naprawdę strasznie, słychać było buntownicze okrzyki, gwizdy, a nawet strzały. W takie dni babcia Julia nie pozwalała wnukom opuszczać mieszkania i bardzo szczelnie zamykała wszystkie okna, lecz do środka i tak wdzierał się gaz łzawiący, który makabrycznie szczypał w oczy. Wiola bardzo tęskniła za rodzicami oraz mieszkaniem na osiedlu XX-lecia PRL i choć dokładała starań, aby być dzielną dziewczynką, nie zawsze jej się to udawało. Po jej policzkach płynęły łzy, lecz nawet bracia nie dokuczali siostrze z tego powodu, ponieważ im także było smutno. Babcia siadała wtedy na amerykańskiej amerykance i sadzała sobie wnuczkę na kolanach. Chłopcy zajmowali miejsca po bokach. I siedzieli tak, tęskniąc w ciszy za nieobecnym tatą oraz zmarłą mamusią. Albo, zamiast milczeć, Julia opowiadała im przepiękne bajki, w których zło i dobro staczały odwieczną walkę, lecz na ostatek i tak zwyciężało to, co piękne i szlachetne.

Czasami baśnie zastępowane były prawdziwymi historiami

rodzinnymi. Te płynęły z ust babci wtedy, gdy trójka wnuków zaczęła dorastać i była wystarczająco dojrzała, by w skupieniu i ze zrozumieniem wysłuchać opowieści. I tak dzieciaki dowiedziały się o prapraprababci Zenobii, którą na zabój pokochał pradziadek dziadka Wawrzyńca (och, jakież skomplikowane były te koligacje rodzinne!). Wówczas po raz pierwszy krew Pawłowskich zmieszała się z krwią Szymczaków. A ponownie doszło do tego, gdy po wielu latach obfitujących w dramatyczne wydarzenia, Wawrzyniec poznał babcię Julię. Byli wtedy młodzi i piękni. Pokochali się tak mocno, że postanowili już zawsze być razem.

Chłopcy uwielbiali słuchać o wujku Andrzeju, który w okrutny i wyjątkowo odważny sposób pomścił śmierć swojej ukochanej oraz inne krzywdy wyrządzone przez bardzo złego człowieka. A także o wujku Bronku, który został niesłusznie aresztowany w związku z tą sprawą, lecz był tak dzielny, że nawet słowem nie pisał, kto był prawdziwym mścicielem, choć śmierć zaglądała mu wówczas w oczy.

Wiele, wiele pięknych i wstrząsających opowieści płynęło z ust babci, a oni słuchali, słuchali, słuchali... I to było znacznie ciekawsze niż filmy z Arnoldem Schwarzeneggerem albo Sylvestrem Stallone'em, ponieważ wydarzyło się naprawdę. Zawsze można było też zapytać o interesujące szczegóły wuja Bronka albo ciocię Dorotę, czyli brata i siostrę babci Julii^[9].

Z zadumy wyrwało ją nieznaczące szuranie pantofli.

– Proszę, kochanie, poczęstuj się szarlotką. – To Julia przysłała, niosąc ze sobą tacę, a na niej ciasto o tak kuszącym zapachu, że Wiolka z góry oceniła, iż nie poprzestanie na jednej porcji.

– Czyżbym poczuł szarlotkę?

Jak na zawołanie w pokoju pojawił się również dziadek, który musiał przed momentem wrócić do mieszkania.

– No masz ci los! – Babcia przewróciła oczami, załamała ręce

i żartobliwie skomentowała: – Ten łasuch wyczuje ciasto na odległość. Wydawało mi się, że miałeś być u Bronka.

Wiola zachichotała. Wszyscy w rodzinie znali słabość dziadka do babcinych wypieków. Wystarczyło go na moment zostawić sam na sam z sernikiem lub cwibakiem, by w jednej chwili wymiółł wszystko do ostatniego okruszka.

– No i byłem. Obgadaliśmy już nasze sprawy. Co tam, Fasolko? – zwrócił się do wnuczki.

– Oj, dziadku! Nigdy mi nie zapomnisz tej Fasolki?

– Nie. Choćbyś urosła dodatkowe dziesięć centymetrów i włożyła jeszcze wyższe obcasy, dla mnie zawsze będziesz Wiolką-Fasolką. Tak powinni nazywać cię twoi fani – zachichotał. – No, to opowiadaj, co słysząc w wielkim świecie.

– Koncertujemy – odparła z uśmiechem. – Nigdy w życiu nie pomyślałabym, że możemy odnieść taki sukces. Stawia się nas na równi z Top One i Bayer Full. Nasze płyty rozchodzą się jak świeże bułeczki.

– Wiem, wiem. Cała Polska nuci wasz ostatni przebój. Nawet na przyjęciu ślubnym Karola nie słyszałem chyba zbyt wielu innych piosenek. – Wawrzek przypomniał o uroczystości sprzed pół roku, podczas której ojciec Wiolki ożenił się z Matyldą Struzik, pieczętując tym samym swój trzyletni związek z sympatyczną lekarką. – Wszyscy domagali się występów mojej Srebrnej Gwiazdeczki – przywołał żartobliwie sceniczną tożsamość wnuczki.

W kontaktach z fanami oraz mediami Wiola zawsze posługiwała się pseudonimem artystycznym, podobnie zresztą jak wszyscy członkowie zespołu. Tak im poradził na samym początku kariery muzycznej ich impresario. Teraz wiedziała, że to miało sens. Czasami spotykała się z innymi gwiazdami muzyki chodnikowej. Dziewczyny dzieliły się spostrzeżeniami na temat swoich karier i Pawłowska z zadowoleniem stwierdzała, że zdołała zachować przynajmniej namiastkę

anonimowości. Miała wielu fanów, lecz ich bezpośredni kontakt z nią był mocno utrudniony. Dzięki temu nie otrzymywała bezpośrednio do domu wyznań erotycznych, obrzydliwych propozycji listownych, prezentów wprowadzających ją w konsternację. Wszystko to wzięła na siebie agencja artystyczna, przy której utworzono fanklub gwiazd. Nawet jeśli do Pawłowskiej przychodziły jakieś dziwne przesyłki, to żyła w błogiej niewiedzy na ten temat.

– A jak studia? – zagadnęła babcia.

– Ciężko – sapnęła dziewczyna. – Coraz trudniej jest pogodzić koncerty, nagrania, sesje zdjęciowe, wywiady i naukę. Dobrze, że to koniec semestru – odetchnęła. – Mam przed sobą jeszcze tylko egzaminy, a potem już będzie luz. W najbliższych kilku dniach nie koncertujemy, więc myślę, że bez problemu dam sobie radę.

– Moje biedactwo. – Julia pogłaskała ją po policzku. – Może powinniście trochę zwolnić tempo? Nie brać na siebie aż tylu zobowiązań?

– Musimy, babciu. Według Adriana to konieczne teraz, na początku naszej kariery. Za kilka dni skończą się zajęcia na uczelni, więc będziemy mieli sporo występów. Obiecał mi, że to potrwa tylko do początku października. Zarobimy forszę na następny semestr i odpuścimy sobie wyjazdy jesienią oraz zimą.

– Ach, wnusiu... A kiedy będzie czas na życie? Na przyjaciół? Na... randki? – spytała babcia.

– Randki? – Wiola wzruszyła ramionami. – Zbędne zawracanie głowy.

– Nikt nie zawrócił jeszcze tej ślicznej główki? – zdziwił się Wawrzek.

– Nikt – odparła nie do końca zgodnie z prawdą, gdyż zasadniczo był ktoś, kto wywoływał żywsze bicie jej serca.

Sęk w tym, że Mirosław Brodnik sprawiał wrażenie zupełnie niezdecydowanego. Wciąż wysyłał jej sprzeczne sygnały. Widać

było, że Wiola wpadła mu w oko. Często przyłapywała go na tym, że wodzi za nią wzrokiem, gdy spotykali się na korytarzach Akademii Ekonomicznej. Zerkał na nią w czasie zajęć dydaktycznych. Posyłał dziewczynie zagadkowe uśmiechy w uczelnianej stołówce lub bibliotece.

Ale nigdy nie zaprosił jej na randkę, co było poniekąd oczywiste – był doktorantem na uczelni, wiązał swoją przyszłość z karierą naukową. Prowadził wiele zajęć ze studentami, a Wiola często w nich uczestniczyła. Zdystansowanie Brodnika było stosowne w relacjach uczeń–nauczyciel. Jeśli ze sobą rozmawiali, co zdarzało się nader często, to zwykle o sprawach związanych z zajęciami lub o jakichś błahostkach. Raz zagadnął w rozmowie, czy to ona jest Srebrną Gwiazdką. Przytaknęła i z miejsca poczuła zażenowanie, ponieważ tak naprawdę nie utożsamiała się ze światem disco polo. Doszła też do wniosku, że teraz już tym bardziej nie może liczyć na pogłębienie tej znajomości.

– A to szkoda – stwierdził dziadek, głaszcząc się po nieznacznie wysklepionym brzuchu i zezując na patere z ciastem.

Rzucił żonie błagalne spojrzenie, lecz ta pogroziła mężowi palcem wskazującym, gdyż ostatnio lekarz nakazał mu ograniczyć cukier. Julia upiekła ciasto z myślą o spodziewanej wizycie wnuczki. Z całą pewnością nie zrobiłaby tego tylko dla własnej przyjemności, by nie kusić ślubnego samym zapachem. To i tak cud, że przy jego uwielbieniu dla słodczy Wawrzyniec się nie roztył.

– Juliś... Litości. – Zaryzykował jeszcze jedno błagalne spojrzenie, rozbawiając wnuczkę niemalże do łez.

– Babciu, a zlitujże się nad biedakiem. Zobacz, jakie ma wielkie oczyska!

– Tak. Jak strach na wróble – prychnęła Pawłowska. – Cukier ci znowu skoczy – zwróciła się do łasucha.

– Juliś, skarbusiu mój najpiękniejszy! Kwiatuszku ty mój! Pączusiu różany...

– Babciu! – Wnuczka ponownie wstawiła się za dziadkiem, wzruszona jego słowami. – No nie masz chyba serca z kamienia? Nie odmówisz tak miłej prośbie?

– Ach! Co ja mam z tobą zrobić! Tylko żeby potem nie było narzekania, że źle się czujesz! – Wycelowwała w męża palec wskazujący, a następnie nałożyła mu na talerzyk jeszcze jeden kawałek ciasta. – I żebyś mi nie utyskiwał na zgagę!

– Pal lichy zgagę. – Wyszczrzył zęby. – Ta szarlotka warta jest i podniesionego cukru, i zgagi.

– Gorzej niż dziecko! Ech... Ci mężczyźni! Ty się dobrze zastanów, Wiola, jak już będziesz się wydawała za męża, bo nie wątpię, że z biegiem czasu znajdzie się ktoś, kto skradnie ci serduszko, czy potrzebujesz w domu takiego dużego chłopczyka.

– A weźże ty, Juliś, nie strasz dziewczyny. Jeszcze gotowa utknąć w staropanieństwie!

– A ja tam wierzę, że zatańczę na weselu najstarszej wnuczki – uśmiechnęła się Julia.

– No to jeszcze trochę będziesz musiała poczekać, babciu. I coś mi się wydaje, że prędzej zatańczysz u któregoś wnuka niż u mnie. Bo mnie nie pali się do małżeństwa. Wiele osób ostatnio mawia, że ta instytucja to przeżytek.

– Ach, cóż za głupoty! – zachnął się mężczyzna. – Jaki przeżytek? My z Julią jesteśmy razem od blisko czterdziestu szczęśliwych lat!

– Obawiam się, że wśród moich rówieśników trudno będzie o równą wytrwałość – westchnęła dziewczyna. – Jak się człowiek naogląda telewizji i prasy, to widzi, że nastąpił jakiś kryzys pod tym względem. Teraz zaczyna się moda na bycie singlem.

– Czym? – zdziwili się zgodnym chórem dziadkowie.

– No... Singlem. Czyli kimś niezależnym. Żyjącym w pojedynkę. To z angielskiego – objaśniła.

– Ach tak. No ja oczywiście znam to słowo, ale za naszych młodzińczych czasów nie stosowało się go w odniesieniu do ludzi – stwierdził Wawrzek.

– Bo ja też usłyszałam je po raz pierwszy kilka dni temu. Ale pasuje jak ulał. Teraz nam, młodym, mówi się o konieczności robienia kariery. Mamy skończyć studia i skupić się na pracy zawodowej. Trzeba napędzać gospodarkę – powtórzyła treść zasłyszaną niedawno na wykładzie z ekonomii.

– A rodziny jej nie napędzają? Przecież tacy młodzi ludzie, gdy zakładają rodzinę, to kupują pralki, lodówki i inne sprzęty. A to właśnie napędza gospodarkę – polemizował Wawrzyniec.

– Owszem. Uczyli nas na marketingu o potrzebach poszczególnych grup społecznych. I o cyklu życia rodziny, i o związanych z tym decyzjach zakupowych.

– Ha, ha, ha! Szkoda, że nie było o tym mowy czterdzieści lat temu, gdy wszystko było na kartki. Pamiętasz, Wawrzus, ile radości sprawiłeś mi, przynosząc z biura talon na Franię?

– No ba! I na telewizor – przypomniał z rozrzewnieniem. – Czułem się wtedy jak jakiś milioner.

– Milionerem to ty jesteś dzisiaj. – Julia poczochnęła dłonią włosy męża.

– Do czasu, kochanie. Do czasu. Coś mi się obilo o uszy, że już niedługo rząd nas zuboży, skreślając na banknotach zera. Pozostaje wierzyć, że gdy twój mąż przestanie być milionerem, to nie przestaniesz go kochać.

– Głuptas. – Zachichotała z czułością, a Wiolka po raz kolejny stwierdziła, że mimo wszystko małżeństwa mają być może przed sobą jakąś przyszłość. Bo skoro dziadkowie po tylu latach potrafią ze sobą rozmawiać w taki sposób, to znaczy, że są bardzo szczęśliwi. A skoro im się udało, to kto wie? Może i jej się uda?

Tylko pewnie nie z Mirkiem Brodnikiem, bo ten raczej nie wygląda na kogoś, kto byłby zainteresowany poważnym związkiem, skonstatowała z żalem.

Cóż za idiotyczne podejście do życia! – zachnęła się na samą myśl o tym. Dlaczego my, baby, jesteśmy tak beznadziejnie głupie, że jeśli jakiś facet porozmawia z nami przez pięć minut, obdarzy nas uśmiechem, komplementem lub choćby spojrzy jakoś przeciągle, to zaraz snujemy wizję siebie w sukni ślubnej, a jego w smokingu, jak stoimy u stopni ołtarza i ślubujemy sobie miłość po wsze czasy?

Tak właściwie Wioli wcale się nie spieszyło do zamążpójścia, choć wielu mężczyzn zapraszało ją na randki. Czasami korzystała z ofert spędzenia wspólnie kilku przyjemnych chwil. Ciągle jednak myślała o tym, że małżeństwo to pasmo niekończących się obowiązków, poświęcenie i kompromis. Nie chciała tego dla siebie. Z naciskiem na obowiązki, bo tych nie brakowało jej nigdy. Po śmierci matki to na jej wątłych ramionkach spoczęło wiele domowych spraw, chociaż była wówczas ośmioletnią dziewczynką. Przez następne lata wciąż musiała troszczyć się o ojca i braci. Nic więc dziwnego, że potrzebowała odrobiny luzu i swobody, nim znowu poczuje się zobligowana do troski o drugiego człowieka. A teraz zamierzała zapewnić sobie ten luz na całego, gdyż w ciągu dwóch lat odłożyła z koncertowania i z tantiem uzyskanych za sprzedane płyty dość pieniędzy, aby kupić mieszkanie.

Wioletta upatrzyła sobie już dwa i obecnie stanęła przed dylematem, które wybrać. Miała możliwość osiedlenia się w nowo wybudowanym bloku na obrzeżach miasta, lecz tam ceny były dość wysokie – jak to w nowym budownictwie, lub nabycia czegoś na rynku wtórnym. Ta opcja kusiła ją bardziej, zakup lokalu przy alei Róż nie przerastał jej możliwości finansowych. Osiedliłaby się w centrum dzielnicy, no i mogłaby być bliżej dziadków. Nie uśmiechała jej się wyprawdzka do

Bieżanowa, choć zapewne przyjemniej jest urządzać mieszkanie od zera niż remontować stare. Rozum podpowiadał, że racjonalniej byłoby dokonać transakcji z deweloperem. Ta część Krakowa dopiero się rozrastała i na pewno miała przed sobą perspektywy rozwojowe, choć na razie wydawała jej się trochę dzika.

Miała więc Wiola poważny problem, z którym pragnęła uporać się jak najszybciej. Zasadniczo decyzję powinna podjąć już teraz, ponieważ mieszkaniem w Nowej Hucie zainteresowany był jeszcze jeden klient, i pośrednik delikatnie naciskał Wiolettę, by jak najprędzej określiła, czy zamierza dokonać zakupu. Trochę drażniła ją ta presja, ale właściwie nie dziwiło jej, że szybko znalazł się dodatkowy nabywca. Różnica cenowa pomiędzy mieszkaniami na rynku wtórnym a nowymi była spora. Za te same pieniądze mogła kupić albo niewielką nową kłitkę, albo przestronne czteropokojowe lokum.

Dobrze byłoby się usamodzielnic. Tato i Matylda mieliby więcej przestrzeni dla siebie, wspominali bowiem o planach powiększenia rodziny. Na razie, zdaje się, badali grunt, być może chcieli sprawdzić, jak dorosłe dzieci zareagowałyby na pojawienie się rodzeństwa młodszego o ponad dwadzieścia lat. Wiola uważała, że to niezła koncepcja. Karol był wspaniałym ojcem. Świetnie nadawał się do tej roli, choć z wczesnego dzieciństwa zapamiętała, że niewiele się nimi zajmował. Wszystko zmieniło się po śmierci mamy. Z pomocą babci Julii oraz cioci Marty i Zosi jakoś sobie radzili. Tato poświęcał Wioli oraz bliźniakom cały swój wolny czas, choć niekiedy umawiał się na randki, gdyż brakowało mu kobiety. Raz omal się nie ożenił. Widać jednak tamta pani nie była ojcu przeznaczona. A Matylda tak. Koncepcja postarania się o wspólne potomstwo nie był nedorzeczna. Zwłaszcza że gdy ojciec poznał Matyldę, ta była bezdzietną wdową. Teraz liczyła blisko czterdzieści lat, lecz tryskała energią i nie dało się nie zauważyć, jak mocno pragnie

własnego potomka. Pasierbom okazywała mnóstwo serca i zrozumienia, ale oni byli już dorośli, nie nadawali się do tulenia i pieścizot na kolanach mamy. Traktowali ją raczej jak przyjaciółkę, a nie jak macochę. Chętnie opowiadali jej o swoich sprawach.

Zwolnienie przez Wiołę pokoju w mieszkaniu na osiedlu Oświecenia na pewno byłoby korzystne dla małżonków.



Ku przyjemnemu zaskoczeniu męża Andzia ucieszyła się, gdy usłyszała, że Paweł wpadł na pomysł zrobienia nowego biznesu. Stoisko z jeansem, które miał na Tomeksie, nie najlepiej funkcjonowało. Ale kiedy je zakładał, sam mówił, że zabierze się do handlu ciuchami przejściowo, byle coś robić. Jak mu się trafi coś lepszego, to wejdzie w inny interes. A na jeansie zostawi pracowników, bo dobrze by było, jakby mu i z tego skapnęło trochę grosza.

Z entuzjazmem opowiadał jej o wiecach, na których był kilkakrotnie.

– Żebyś wiedziała, Andzia! – Oczy lśniły mu z ekscytacji. – Jakie tam się zbiera eleganckie towarzystwo! Wszystkie kobitki w garsonkach i szpilkach. Odszykowane, że ho, ho! Nadałabyś się między te strojnisie, Andzia, oj nadałabyś się! A mężczyźni? Ech, mucha nie siada! Każdy w garniturze, pod krawatem, wyczesany. Ręce czyściutkie, zadbane, wymanikiurowane. Pod mankietami złote sikory, a w mankietach spinki z brylantami. A jakie fury zaparkowane były obok budynku! Ech... Andzia! Życ nie umierać. I marzyć, marzyć, marzyć! O tym, na co będziemy wydawali forszę. Bo na tych spotkaniach mówili, że człowiek musi mieć w życiu jakiś cel, żeby chciało mu się pracować.

Zaraz zaczęli snuć plany na wspianiałą przyszłość, suto wspierając się przy tym butelką ciociosanu. A Andzia tylko pęczniała z dumy, że od teraz mąż będzie „garniturowy”. Zawsze bowiem marzyła, aby nosił się elegancko nie tylko od święta czy na imieniny u któregoś z kumpli albo u Szymczaków, ale i na co dzień. No i tak się uraczyli ze ślubnym tym wermutem, że zapomnieli o bożym świecie i nie usłyszeli wyjącego alarmu, który po jakimś czasie sam zamilkł.

Rano, gdy kobieta wyszła przed blok, by jak zwykle objechać swoje stoiska i atelier, okazało się, że w nocy ktoś włamał się do samochodu.

– Co za podłość! – wrzeszczała Andzia na widok rozbitej szyby.
– To już drugi raz, jak mi jakiś złodziej ukradł radio! No przecież idzie zwariować! Zobacz, Paweł, co te skurwysyny narobiły – biadoliła do męża, który także wybierał się właśnie do swoich zajęć.

Mężczyzna zaklął szpetnie.

– Znowu zapierdolili radio, chuje!

– Żeby tylko radio! Przecież ja miałam na tylnej kanapie całą torbę sukni z mojego atelier. Miałam je zawieźć na stoisko do „Wandy”! Pomyślałam wczoraj, że zamiast jeździć tam i z powrotem, wezmę je od razu i w drodze do pracowni zostawię w sklepie! Dziadówką mnie zrobił, ten złamany kutas!
– rozpaczała, gdyż kreacje były sporo warte. Miały stanowić zatowarowanie sklepu na pół miesiąca.

– Aż takie straty? – zmartwił się Paweł. – Nie dość, kurwa, że buc rozbił szybę, sprzęt skroił, to jeszcze zajebał ci kiecki?

Kłęli obydwójce na przemian, nie bacząc na to, że stoi przy nich córka. Zatrzymała się z ciekawości, szła bowiem na lekcje.

– A ty co się gapisz z rozdziawionymi ustami? – Andzia przypomniała sobie naraz o obecności dziecka. – Jazda do szkoły! Ale już! Ino nikomu nie mów, że mnie obrobili, bo skurwysyńskie zazdrośniki będą miały uciechę – burczała. –

Ech... Zaś trzeba policję wzywać i spisywać protokół, bo inaczej nie wyszarpię forsy z ubezpieczalni – jęknęła pragmatycznie.

– Andzia, ja to se myślę, że trza nam garażu poszukać w okolicy. Dwa razy włamali ci się do samochodu, lakier też już miałaś porysowany przez jakiegoś gnojka. Przecież to dorobek twojego życia, a idzie na zniszczenie.

– Ale garaże drogie! I chodzić bym musiała daleko, bo tutaj pewnie nic się nie znajdzie.

– No to, do kurwy nędzy, chyba lepiej ruszyć dupsko i trochę się przejść – huknął na nią zniecierpliwiony mąż – niż ponosić wieczne straty! Nie musisz trzymać auta pod klatką schodową, skoro sama widzisz, że i tak nic ci to nie daje. Jak włącza się alarm, to za późno na wszystko, bo już wtedy szyba jest wybita, a radia nie ma!



Wioletta siedziała na korytarzu, powtarzając bezgłośnie materiał z marketingu. Miała akurat przerwę pomiędzy zajęciami. Zamiast lecieć z koleżankami na kawę, wołała zaszyć się samotnie w ustronnym miejscu. Za dwie godziny czekało ją zaliczenie u Mirosława Brodnika. Nie spodziewała się, by chciał ją oblać, do tej pory raczej gładko u niego zdawała. Nie chciała jednak wyjść na niedouczoną idiotkę przed mężczyzną, który zawsze imponował jej swoją elokwencją i wiedzą. Onegdaj nie miała czasu na naukę, gdyż w połowie maja podjęła ostateczną decyzję o zakupie mieszkania na osiedlu Centrum C. Z miejsca sfinalizowała transakcję u notariusza i teraz pochłaniały ją sprawy remontowe.

Z okien nowego lokum Wioli roztaczał się widok na aleję Róż z pustym miejscem, które zostało po usuniętym pomniku Lenina. Spełniła tym samym swoje marzenie, by tam

zamieszkać. Potrzeba serca wzięła górę nad głosem rozsądku, który podpowiadał zakup nowego lokalu.

Remont i urządzenie nabytku wypełniały każdą wolną chwilę szczęśliwej właścicielki. Wciąż jeszcze mieszkała u ojca, ponieważ trudno byłoby egzystować w kurzu i pyłe, wśród panującego rozgardiaszu. Aktualnie w mieszkaniu aktywnie działał człowiek, który podjął się skucia i położenia nowej glazury w kuchni oraz łazience. Przy okazji miał też ocenić, czy konieczna będzie wymiana rur wodociągowych.

Siłą rzeczy Wioletta przez cały czas była myślami w swoim wymarzonym gniazdku. Martwiła się o przebieg prac. Liczyła na to, że roboty, które związane są z kurzem, dobiegną końca jak najszybciej i będzie można przystąpić do odświeżania wnętrza. Miała już umówionego fachowca od malowania i tapet. Ten miał do niej zajrzeć pod koniec czerwca, gdyż najpierw należało wycyklinować parkiety.

Czy aby nie za szybko poleciałam z tym harmonogramem prac? – zastanawiała się, analizując w myślach terminy ustalone z poszczególnymi wykonawcami. A co, jeśli któryś nie zdąży ze swoją częścią roboty? Trudno będzie to wszystko poprzestawiać, jak już ruszymy z chłopakami w trasę koncertową.

Całe szczęście, że na podorędziu był dziadek Wawrzyniec, który czuwał nad wszystkim. Udzielał wnuczce życzliwych porad i obiecywał, że będzie miał oko na każdego specjalistę, który przewinie się przez mieszkanie w czasie, gdy ona będzie zdawała egzaminy, a następnie koncertowała po Polsce. Bardzo sumitowała się z tego powodu, ponieważ to oznaczało dla dziadka mnóstwo zachodu, lecz ten łagodnie ją skarcił i ze śmiechem stwierdził, że dla niego będzie to dodatkowa atrakcja, bo i tak nie ma nic lepszego do roboty. Odkąd jest na emeryturze, brak mu kreatywnych zajęć, a ileż można czytać książki lub spacerować? Przecież on, jak ten Dulski,

przechrząpał już niezliczone kilometry. Tyle że nie po mieszkaniu, lecz nowohuckimi alejkami.

– Dzień dobry. A nad czym to tak intensywnie rozmyśla moja ulubiona studentka?

Wioletta podniosła spojrzenie znad podręcznika, który trzymała rozłożony na kolanach, lecz w rzeczywistości zamiast z niego korzystać, zastanawiała się, czy marmurkowe płytki w odcieniach kości słoniowej są dobrym wyborem do łazienki. Bo może trzeba było zdecydować się na coś ciemniejszego? Wiśnię lub granat? Znajomy głos sprawił, że w mgnieniu oka zapomniała i o kafelkach, i o łazience.

– Ach, to pan? Dzień dobry. – Uśmiechnęła się do mężczyzny, który przysiadł na ławce obok niej. – Udaję, że powtarzam materiał z marketingu – odparła rezolutnie, pokazując okładkę książki.

– Udaje pani? A co powiedziałyby na to autor podręcznika?

– Myślę, że nie byłby zachwycony, gdyż niebawem mam zaliczenie u pewnego doktoranta.

– Wymagający ten doktorant? – Mirosław puścił oko do dziewczyny, która zrobiła zabawną minę i spojrzała na niego filuternie.

– Trochę.

– Ach, znając życie, na pewno zaliczy pani ten materiał... koncertowo. – Zachichotał.

– Dobrze, że nie śpiewajaco. – Uniosła brwi.

– A wie pani, że to mogłoby być interesujące?

– Popisy wokalne podczas zaliczenia? – parsknęła śmiechem. – Obawiam się, że wielu spośród moich kolegów i koleżanek nie zniosłoby tego. Skończyłoby się groźbami karalnymi, a w najgorszym razie zakneblowaniem.

– Aż tak? Nie wydaje mi się! Mam w domu kasetę z nagraniami Silver Star, mówi to pani coś? No więc mam i słucham od czasu do czasu. I tak sobie myślę, że wokalistka

ma piękny głos, talent i duży potencjał. I zastanawia mnie jedno: dlaczego wybrała akurat disco polo? Nie wygląda na fankę takiej muzyki – obrzucił Wiołę uważnym spojrzeniem.

Dziewczyna poczuła, jak pieką ją policzki. Nie rumieniła się – na szczęście przy jej karnacji było to rzadkim zjawiskiem.

– Traktuję to jak pracę, sposób zarabiania na życie. Gdy wchodzę do studia nagrań lub na estradę, staję się Srebrną Gwiazdką. Wkładam kostium, robię makijaż, występuję pod pseudonimem. Nigdy w wywiadach nie pozwalam na upublicznianie mojego prawdziwego nazwiska.

– Dlaczego?

– Tak naprawdę nie utożsamiam się z tą muzyką. Mój brat wpadł na pomysł zorganizowania zespołu i choć początkowo mnie to nie interesowało, dałam mu się przekonać. Bliższe mojemu sercu są zupełnie inne klimaty muzyczne – wyjaśniła.

– Tak? A czego pani słucha na co dzień?

– Uśmieje się pan.

– Mirek. – Zaskoczył ją, wyciągając rękę. – Żaden pan.

– Wioletta.

– No to czym mnie zamierzasz rozbawić?

– Jestem wielką fanką polskiego rocka. Ze szczególnym uwzględnieniem Kazika Staszewskiego i Kultu. Brat mnie tym zaraził.

– Brat? Zaraz, zaraz, bo czegoś tu nie rozumiem. Pani brat słucha polskiego rocka a gracie disco polo? Dość, hm... hardcorowy przeskok.

Wiolka z uśmiechem pokręciła głową.

– Mam dwóch braci. Adrian, lider zespołu Silver Star, to typowy miłośnik disco. Jego bliźniak Marek stanowi całkowite przeciwieństwo Adka: nosi glany, czarną odzież i nabijane ćwiekami bransoletki. Słucha ciężkiej muzyki oraz polskiego rocka. Rocka oczywiście jako odskocznię po tych wszystkich ostrych śpiewach wykonanych zdartym gardłem. – Tym razem

to ona puściła oko do Mirka.

– Czyli można powiedzieć, że stanowisz wypadkową pomiędzy kontrastującymi ze sobą naturami i stylami braci.

– Otóż to.

Gawędzili aż do momentu, gdy okazało się, że obydwójce muszą pójść na ten sam egzamin, choć w zupełnie innych rolach.

– Ach, chętnie posiedziałbym dłużej. Strasznie szybko zleciał mi czas – westchnął mężczyzna, wstając. – Przyjemnie się z tobą konwersuje. Słuchaj... Ja wiem, że może to niewłaściwe z mojej strony, i masz pełne prawo odmówić bez słowa wyjaśnienia, ale... – zająknął się. – Co byś powiedziała na to, abyśmy kontynuowali tę rozmowę wieczorem? W kawiarni?

Wiola znowu poczuła, jak jej serce zaczyna łomotać z dziwnym przyspieszeniem. Spojrzała na stojącego przed nią mężczyznę. Bardzo ją pociągał, choć na pozór nie wyróżniał się niczym szczególnym. Był przeciętnym piwnookim szatynem. Miał owalną, gładko ogoloną twarz i krótko ostrzyżone włosy. Żadnej ekstrawagancji ani w wizerunku, ani tym bardziej w ubiorze. Na uczelnię zwykle przychodził w garniturze. Nosił starannie wyczyszczone półbuty. Jego koszule były zawsze świeże i dokładnie wyprasowane. Nigdy nie zauważyła obrączki na serdecznym palcu prawej ręki – taki szczegół na pewno by jej nie umknął.

– W kawiarni? – powtórzyła. – A właściwie dlaczego nie?



Brak matury nie sprzyjał poszukiwaniu zatrudnienia, które dawałoby jeśli nie satysfakcję finansową, to przynajmniej poczucie własnej wartości. Marek kilkakrotnie poszedł na rozmowę w sprawie pracy. Potencjalni pracodawcy na ogół nie

informowali zbyt szczegółowo o tym, jaki dokładnie ma być charakter stanowiska. Chłopak wiedział tylko tyle, że chodzi o hurtownię, handel lub zajęcia biurowe. Interesowały go wszystkie trzy możliwości, szczególnie zaś ostatnia. Bo gdyby jakimś cudem dostał się do biura bez świadectwa dojrzałości, to utarłby nosa wszystkim krewnym, którzy załamywali ręce nad tym, że rzucając szkołę, przekreślił swoją przyszłość.

Dopisało mu szczęście, ponieważ już za pierwszym razem zdołał przejść przez rekrutacyjne sito, choć jego rozmówcy podkreślali, że jest wielu chętnych na ten wakat i w związku z tym ma ogromną konkurencję. Ale potem okazało się, że on doskonale spełnia kryteria i już nazajutrz może stawić się w wyznaczonym miejscu. Tylko musi mieć przy sobie trochę pieniędzy na opłatę manipulacyjną, która później zostaje rozliczona.

Za pierwszym razem skierowano go do Bronowic, gdzie faktycznie znalazł rzeczoną hurtownię. Na miejscu okazało się jednak, że jego praca nie będzie polegała na przekładaniu towaru na półkach i wydawaniu go klientom. Ani nawet na rozwożeniu go do sklepów, choć miał samochód. Polecono mu pójść do magazyniera, który wydał Markowi średnich rozmiarów karton pełen jakiegoś towaru. Pawłowski pokwitował odbiór, wpłacił kaucję i dowiedział się, że ma chodzić po prywatnych mieszkaniach i sprzedawać ludziom długopisy. Nie były to jakieś cuda, ot zwyczajny produkt, jaki można nabyć w wielu sklepach. Tyle że on miał go sprzedawać w dość wygórowanej cenie. No, chyba że ktoś kupi komplet dwunastu sztuk, to wówczas cena jednostkowa miała być znacznie niższa.

– Ludzie są z natury leniwi – tłumaczył kierownik hurtowni, nim Marek wyjechał na przydzielony mu rewir. – Jak im coś podetkniesz pod nos, to się ucieszą i kupią. No i nie potrafią odmawiać. Bo jak zastukasz do drzwi i oferujesz kupno jakiegoś niedrogiego drobiazgu, to na pewno go wezmą. Każdy

nosi przy sobie jakieś niewielkie kwoty, więc nikt cię nie spławi. Wróć, jak wszystko sprzedasz, a wtedy wydam ci następny karton. Możesz to robić nieskończoną ilość razy. To, co zarobisz na długopisach, jest wtedy twoje, a kaucja zostaje u nas. Tylko zawsze musisz mieć odliczoną forszę na nową kaucję. Rozumiesz?

– No... Tak. A co będzie, jak nie sprzedam?

– Co masz nie sprzedać? – Kierownik wzruszył ramionami i podrapał się po szczęce porośniętej rzadką, ryżą brodą.

– No ale jakby się tak złożyło?

– To wrócisz tutaj z długopisami i rozliczysz się z niesprzedanego towaru. A my zwrócimy ci częściowo kaucję.

Uspokojony tymi słowami mężczyzna zgarnął z lady karton i poszedł do auta. Cieszył się, że przyjechał samochodem. Niby na rozmowie rekrutacyjnej pytano go o prawo jazdy i o to, czy posiada własny środek transportu, ale nie przypuszczał, że to aż tak ważna sprawa. Zasadniczo wieczorem planował dojeżdżanie do pracy komunikacją miejską, przynajmniej do pierwszej wypłaty, ponieważ na razie krucho było u niego z forszą. A paliwo niestety kosztuje. Jednak rano spanikował, że może nie zdążyć, a nie chciał się spóźnić już pierwszego dnia. Zależało mu na tej pracy. Postanowił więc pojechać fiatem. No i teraz stwierdził, że to była bardzo dobra decyzja, ponieważ nie musiał dźwigać cholernego pudła, które choć stosunkowo lekkie, było bardzo nieporęczne. A przydzielony mu rejon znajdował się w sporym oddaleniu od hurtowni. Gdy Marek zapytał, czemu nie może skoczyć gdzieś bliżej, albo chociażby w okolicę swojego miejsca zamieszkania, to usłyszał, że logistyk czuwa nad tym, aby sprzedawcy trafiali w różne punkty i się nie dublowali. Bo jeśli już któreś z osiedli lub ulic zostały odwiedzone przez sprzedawców, to wiadomo, że nie ma sensu tam wracać w ciągu najbliższych kilku tygodni. Przynajmniej do czasu, aż ludzie zużyją nabyty towar.

Tego dnia sprzedał tylko trzy długopisy. Jeden kupił jakiś smarkacz, a dwa poczciwa staruszka, której zrobiło się żal zmęczonego domokrażcy. W pozostałych mieszkaniach nie miał tyle szczęścia. Na ogół nie zastawał nikogo, kilka razy poszczuto go psem, to znowuż zatrzaśnięto drzwi, zanim zdążył zaprezentować swoją ofertę. Ludzie nie byli takimi naiwniakami, jak wydawało się kierownikowi z rudą brodą.

Dotarło też do Marka, że jeżeli całym jego zarobkiem ma być różnica pomiędzy wniesioną kaucją a wartością sprzedanych długopisów, to jest to naprawdę marne wynagrodzenie za pracę. By wyjść na swoje, musiałby upłynnić w ciągu jednego dnia przynajmniej pięć, sześć kartonów. A problem był nawet z pozbyciem się jednego kompletu. Co gorsza, nie mógł oferować towaru w żadnych biurach, instytucjach czy choćby szkołach, ponieważ nie miał upoważnienia do wystawiania faktur.

– No ja pierdołę! – klął, wracając do hurtowni po ośmiu godzinach tej absurdalnej tułaczki. – Dzień stracony. Nic nie zarobiłem, spaliłem niepotrzebnie benzynę. Chrzanić taką parszywą robotę. Gównu mi przyjdzie z łażenia po domach.

Mimo wszystko postanowił się nie zrażać i dalej szukać pracy na etacie. Wprawdzie mógłby zwrócić się po pomoc do Pawła, lecz nie pozwalał mu na to honor. Zresztą z tym naciągaczem już raz wszedł w układy i nie zamierzał powielać błędu.



Po kilku dniach wertowania ogłoszeń w prasie i wydzwaniania Marek został zaproszony na kolejną rozmowę. Tym razem oferowano mu pracę w handlu.

– Ale to nie jest żadna akwizycja? – wolał się upewnić, by znowu nie stracić całego dnia na głupoty.

– Ależ skąd – zapewnił go rekruter. – To uczciwy handel. Proszę przyjechać jutro.

Nazajutrz próbowano mu wcisnąć w ręce karton z tandetnymi breloczkami na baterię. Posłał kierownika hurtowni do diabła i jak niepyszny wrócił na osiedle Oświecenia.

W mieszkaniu nie zastał nikogo. Wiolka i Adrian byli w jakiejś trasie koncertowej po pipidówkach, o których nikt nigdy nie słyszał i które ciężko było zlokalizować na mapie. Ojciec pewnie siedział na uczelni, egzaminując kolejnych kandydatów na inżynierów, a macocha miała, zdaje się, dyżur w szpitalu.

Marek zajrzał do lodówki i ku swej radości zobaczył pierogi, które dzień wcześniej ugotowała Matylda. Walcząc ze skrupułami, gdyż nie dokładał się do domowego budżetu, wziął kilka sztuk i zjadł na zimno. By nie czuć się jak darmozjad, odkurzył całe mieszkanie, wyniósł śmieci i podlał kwiatki.

– Trzeba było, kurwa mać, podpisać ten jebany kontrakt i jechać na wojnę do Jugosławii – burknął, przeglądając dziennik w poszukiwaniu ofert pracy. – Tam przynajmniej dawali konkretne zarobki. Żołd za misję ustawiłby mnie na jakiś czas. Albo zyskałbym możliwość ruszenia z własnym interesem.

A potem pomyślał, że to przecież nie była jego wojna i jego sprawa. Nie chciał nawet iść do wojska. Wrócił stamtąd z poczuciem zmarnowanego czasu i postanowieniem, że nigdy więcej nie włoży munduru, by wypełniać jakieś durne rozkazy.

Kumpel z osiedla zdecydował się na wyjazd do Jugosławii. Wrócił parę tygodni temu. Opowiadał straszne rzeczy o rzeziach, bombardowaniach i gwałtach. O zmasakrowanych, spalonych trupach. O żołnierzach, którzy najechali na minę albo zostali ustrzeleni przez snajperów.

Miałby wrócić stamtąd w drewnianej skrzyni? Albo na wózku inwalidzkim? Albo jako bezrozumne warzywo pogrążone w szoku pourazowym?

O nie! Nic z tego. Był pacyfistą, którego wcielono na siłę. Dlatego spławił jakiegoś podejrzanego frajera, który tydzień wcześniej próbował zwerbować go do Legii Cudzoziemskiej. Dobrze wiedział, czym pachnie służba w siłach zbrojnych obcego kraju – do pierdła się nie spieszył.



Kilka dni później, w piątek, znowu poszczęściło mu się w poszukiwaniu zatrudnienia. Tym razem chodziło o zajęcie biurowe. Od kandydata nie oczekiwano szczególnych umiejętności. Wystarczyło, aby był dyspozycyjny, operatywny i chętny do pracy w młodym, dynamicznie rozwijającym się zespole. Dyspozycyjność miała największe znaczenie, ponieważ właśnie zaczynał się sezon urlopowy, a oni na gwałt potrzebowali ludzi.

– Może w końcu będzie to coś konkretnego – pochwalił się wieczorem ojcu. Wierzył, że obejdzie się bez nieprzyjemnych niespodzianek. Podobno prócz Marka zatrudnili tam jeszcze jakąś dziewczynę, z którą miał współpracować. A to pozwalało zaufać, że wszystko będzie tak, jak należy.

– Kiedy zaczynasz? – zapytał Karol.

– W poniedziałek. Szkoda czasu na siedzenie w domu.

– No to ładnie.

Pawłowski cieszył się, że syna nie zniechęcały kolejne próby, choć zdecydowanie wolałby, aby Marek zdał w końcu maturę i rozpoczął naukę na studiach. Adrian i Wiola dawali sobie radę, więc czemu on nie miałby temu podołać? Może gdyby mniej czasu spędzał z jakimiś szemranymi koleśkami, to w końcu wzięłby się za życie?

Wiedział jednak, że dyskusowanie na ten temat z dorosłym chłopakiem nie ma sensu. Dobrze pamiętał, jak sam, będąc

niewiele młodszy od syna, uważał się za najmądrzejszego na świecie i postanowił postąpić wbrew rodzicom. Przez całe lato włóczył się z hippisami, a na ostatek wylądował w areszcie podejrzany o obrabowanie jakiegoś sklepu. Groził mu wyrok i tylko dzięki wspaniałomyślnej pomocy ojczyrna wykaraskał się z tarapatów. A raczej to Wawrzyniec go z nich wyciągnął. Przez następne pół roku Karol w ogóle nie gadał z rodzicami, choć mieszkał u nich i jadł ich chleb. A potem dotarło do niego, że nikt nie chciał mu zrobić na złość i sam napytał sobie biedy swoim idiotycznym uporem. Być może teraz Marek potrzebował, aby nalało mu się wody do uszu.

Nie omieszkał jednak nadmienić, że gdyby syn postanowił skupić się na przygotowaniu do matury, to on by mu w tym pomógł.

– Daj spokój, tato. Mam już dwadzieścia trzy lata. Stary chłop ze mnie. Godność mi nie pozwala, żebyś łożył na moje utrzymanie. Ty w moim wieku miałeś żonę i trójkę dzieci – przypomniał.

– Fakt, szybko nam poszło. – Pawłowski uśmiechnął się na myśl o pierwszym małżeństwie, które z perspektywy czasu uważał za udane. Upiływające lata przytępiły ostre kanty wspomnień, wyrwały z jego umysłu pamięć o jakichś drobnych niesnaskach i problemach dnia codziennego. I choć teraz był szczęśliwy z Matyldą, nie mógł zaprzeczyć, że i z Gabrysią było mu dobrze. – Wam, młodym, nie pali się tak do żeniaczki. Widzę to po moich studentach. Mniej osób bierze urlopy dziekańskie, mniej studentów nosi obrączki. Ludzie są skupieni na nauce i karierze.



W poniedziałek o szóstej Marek obudził się z nieprzyjemnym

łupaniem w skroniach i mdłościami.

– Ja pierdolę – westchnął ciężko, wygrzebując się z pościeli. – I na co mi to było?

Z kuchni dolatywały go odgłosy zwyczajnej domowej krzątanimy. Ktoś sobie robił śniadanie, okrutnie trzaskając drzwiami szafek. Każde trzaśnięcie odczuwał, jakby zgniatano mu skronie potężną prasą.

W sobotę ostro zabalował. Poszedł na imprezę do kumpla, któremu wpadła niespodziewanie jakaś większa kasa. Ponoć trafił los na loterii. Postanowił to solidnie uczcić, więc wódka w najlepszych gatunkach do wyboru lała się zacnymi strumieniami. Na stołach, jak chyba nigdy i nigdzie, poniewierały się prochy. Kto tylko miał ochotę, mógł się uraczyć crackiem.

Głupi by był, gdyby nie skorzystał. Normalnie taki towar słono kosztował, a on nie śmierdział groszem. Ponadto miał w perspektywie pańszczyznę na etacie, bo tak się na to zapatrywał. Postanowił więc solidnie się zabawić.

Wrócił do domu w niedzielę po południu tylko dlatego, że jakiś ostatni przebłysk świadomości przypomniał mu o czekającej go nazajutrz robocie. I o tym, że powinien przed nią złapać choć trochę snu.

A teraz spoglądał w lustro na swoją zmiętą twarz. Istny potępieniec: nieogolony, z przekrwionymi oczami, rozczochrany. Od powrotu z wojska włosy zdążyły mu trochę odrosnąć. Jeszcze nie dało się ich związać w kitę, ale były już na tyle długie, aby nie wyglądał jak fan dyskotekowej rąbanki. Zwykle układały się w miękkie fale i wyglądały nieźle. Tego poranka prezentował się tak, jakby wróble urządziły sobie gniazdo na jego głowie. Pogrzebał więc trochę po szafkach i znalazł u siostry piankę do stylizacji fryzur. Udało mu się nieco przylizać niesforną czuprynę. Z ogolenia się zrezygnował. Pewnie poderznąłby sobie gardło przy tej okazji, gdyż ręce

trzęsy mu się jak staremu delirykowi.

Wrócił do pokoju i włożył garnitur, który przezornie przygotował jeszcze w piątkowy wieczór. Skoro czekała go praca biurowa, powinien wyglądać jak człowiek. Ojciec poradził mu, by zadbał o odpowiedni wizerunek. Normalnie nie chodził w takich rzeczach, i pewnie miałby dzisiaj problem, lecz z okazji ślubu taty z Matyldą sprawił sobie eleganckie ubranie, które teraz było jak znalazł. Drżącą dłonią pozapinał guziki koszuli, lecz odpuścił sobie wkładanie jej do spodni. Przełożył przez głowę krawat, którego nie zaciskał, by nie dusić się w nim bez potrzeby, na to wszystko narzucił marynarkę. Postanowił, że nim wejdzie do biura, poprawi niechlujne odzienie. Jeszcze dość się w nim wycierpi przez cały dzień. Już teraz czuł, że zaczyna się pocić w dość mocnym, czerwcowym upale. Do wieczora będzie pewnie cuchnął jak wieprz.

– Matko, ale kanał – jęknął, wlokąc się do kuchni.

– Cześć, Marek. A coś ty taki sponiewierany?

– Cześć, młoda. Jest aspiryna? – zapytał, a potem zamiast poszukać leku, klapnął ciężko na taboret.

Siostra podała mu tabletkę i szklankę wody. Obrzuciła go rozbawionym spojrzeniem.

– Serio zamierzasz tak wyjść do pracy? – zagadnęła.

– Czemu nie?

– Jakoś nie pasuje do ciebie gajer. Dziwnie wyglądasz. Chyba wolę cię w głanach i ramonesce.

– Poczekaj, za kilka miesięcy zmienisz zdanie – burknął. – Zrobi się ze mnie jeszcze większy picuś-glancuś niż z Adka. Masz kawę? – Zerknął w stronę ekspresu przelewowego. Ku jego radości pojemnik wypełniony był brunatnym płynem. – Świeża?

– Świeża. Nie czujesz, jak pachnie?

Tego dnia z przyjemnością wlały w siebie całą zawartość dzbanka. Najlepiej dożylnie.



– To jest Renata Kołodziej, poznajcie się. – Człowiek, do którego polecono mu się zgłosić, przedstawił Markowi siedzącą na kanapie dziewczynę. – Będziecie dzisiaj razem pracować.

Wymienili uścisk dłoni. Marek, który doszedł już nieco do siebie, spojrzał uważnie na potencjalną współpracownicę. Miała proste, jasne włosy obcięte na pazia i niebieskie tęczęwki. Jej uroda była nieco mdła, nie przyciągała uwagi. Być może gdyby dziewczyna włożyła w swój wizerunek odrobinę wysiłku, to z bezbarwnej myszki przedzierzgnęłaby się w atrakcyjną pannę. Brakowało jej odrobiny makijażu dla podkreślenia rysów twarzy, zwłaszcza pełnych, zmysłowych ust. Strój też miała nijaki: włożyła koszulową bluzkę i ciemną spódnicę. Wyglądała jak uczennica na szkolnej akademii. Ale było w niej coś urzekającego – jakaś kruchość i delikatność, której brakowało koleżankom Marka.

Ona też obrzuciła go uważnym spojrzeniem. Być może dostrzegła cienie pod przekrwionymi oczami, lecz ogólna ocena wypadła raczej korzystnie, gdyż obdarzyła Pawłowskiego przyjemnym uśmiechem, ukazując najpiękniejsze zęby, jakie widział w całym swoim życiu: równiutkie i nieskazitelnie białe.

– Mogłabyś reklamować pastę do zębów – wyrwało mu się głupio, lecz na szczęście Renata okazała się miłą dziewczyną, a nie nadętą pannicą.

– Dzięki. Często o tym słyszę. – Puściła do niego oko.

– Dobra, szanowni państwo, czas na przeszkolenie. – Pracownik biura przerwał konwersację, by wdrożyć ich w nowe obowiązki.

Okazało się, że ich praca ma polegać na handlu bezpośrednim. Mają chodzić we dwoje po mieszkaniach

prywatnych, by sprzedawać ludziom małe latarki na baterie. Ostatnie badania wykazały taką prawidłowość, że gdy do drzwi pukają dwie osoby, to mają przewagę liczebną nad lokatorem i łatwiej idzie im handel. No i oczywiście we dwoje mogą wziąć więcej towaru. Niech więc teraz wpłacą kaucję za latarki, a potem jadą do Biezanowa, gdzie wyznaczono im rewir.

– Noż kurwa mać! – zaklął Pawłowski. – Ja się nie godziłem na jebanego akwizytora! A ty? – zapytał Renatę, która, nie mniej zaskoczona, pokręciła głową. – Miałem dostać pracę w biurze. Co wy sobie jaja z ludzi robicie? – ryknął.

– Nie ma żadnej pomyłki. To jest praca biurowa – odparł mężczyzna. – Codziennie rano i na koniec dnia musicie się tutaj zameldować, aby wypełnić parę dokumentów.

– Nie pierdol, gościu! Jak chcesz, to sam zapyłaj po domach z tym badziewiem! – burknął, a następnie zerwał się ze składanego drewnianego krzesła i ruszył w stronę drzwi. – Idziesz, Renata? – zwrócił się do dziewczyny, która także nie wyglądała na kogoś, kto ma chęć zostać.

Na pożegnanie kopnął w krzesło. To złożyło się i z hukiem upadło na betonową posadzkę. Potem jeszcze trzasnął drzwiami.

Przed odrapanym biurowcem znajdującym się na peryferiach rozluźnił i zdjął przez głowę krawat. Wcisnął go do kieszeni marynarki, którą zdjął i przerzucił sobie przez ramię. Na tym skończyła się elegancka prezencja.

Z wściekłością myślał o tym, że od przystanku tramwajowego dzieli go jakiś kilometr. Musi przejść ten odcinek w pieprzonych półbutach na cienkich podszwach, przez które poczuje każdy kamyczek na drodze, w niewygodnej, pijącej pod pachami koszuli ze sztywnym kołnierzykiem oraz spodniach w kant. Nie dość, że czuł się jak jakiś pajac przebieraniec, to jeszcze doskwierał mu kac potęgowany upalnym dniem.

Przez chwilę kłął jak szewc, potem się zreflektował, że idzie

z nim ta dziewczyna, którą zbajerowali tak samo jak jego.

– Sorry za słownictwo – rzucił. – Wkurzyłem się, bo od jakiegoś czasu szukam roboty i za każdym razem trafiam równie głupio. Zawsze jak się upewniam, czy nie chodzi przypadkiem o akwizycję, to słyszę inne gładkie kłamstwo.

– Ja też dałam się parę razy wkręcić. Ech... A tak się cieszyłam! Myślałam, że zarobię na studia. W tym roku zdałam maturę. Złożyłam papiery na filologię, ale chcę się uczyć zaocznie – szczebiotała.

Akurat przechodzili obok jakiegoś obskurnego baru, funkcjonującego zapewne z myślą o robotnikach.

– Napijesz się czegoś? – zapytał dziewczynę. – Ja muszę sobie łyknąć mineralną, bo zaraz wyschnę na wiór z tego upału. No chodź – dodał, widząc, że się waha. – Na przystanek jeszcze kawał drogi, tramwaj pewnie kursuje na tym zadupiu dwa razy na godzinę. Nim dotrzemy do cywilizacji, zdechniemy z pragnienia. Z daleka przyjechałaś?

– Z alei Róż. To w Nowej Hucie – wyjaśniła.

– Wiem, gdzie jest aleja Róż – odparł, otwierając przed nią drzwi do lokalu. – Też jestem z Nowej Huty.

– O! A skąd dokładnie? – Wyraźnie się ucieszyła.

Zajęli miejsca przy stoliku nakrytym ceratą.

– Z Oświecienia. Wiem, wiem – uprzedził ewentualne poprawki.

– Teraz to podobno nie jest już Nowa Huta, ale jakoś siłą przyzwyczajenia tak mówię. Moi dziadkowie mieszkają przy placu Centralnym. Zresztą większość rodziny osiedlona jest w okolicy.

Marek rozejrzył się po wnętrzu. W lokalu obowiązywała samoobsługa.

– Na co masz ochotę? – zapytał towarzyszącą mu dziewczynę.

– Może być sprite.

Z każdym łykiem zimnej gazowanej wody w zmęczone ciało Marka wstępowały siły vitalne. Rozmowa z Renatą toczyła się

gładko i przyjemnie. Nawet się nie obejrzał, gdy byli umówieni na wieczorny spacer aleją Róż. O kinie czy kawiarni na razie nie mógł pomarzyć. Trudno o szastanie kasą, gdy pochodzi ona z zasiłku dla bezrobotnych.



W dość chłodny jak na schyłek czerwca poranek Andzia wędrowała w stronę garażu. Po ostatnich upałach z ulgą przyjęła spadek temperatury. Nie lubiła gorąca, ponieważ wtedy człowiek robił się ospały, ociekał potem, a ubranie nieprzyjemnie przylegało do ciała. Ona nie mogła sobie pozwolić na to, by wzorem innych kobiet włożyć jakąś podfruwajkę na szelkach. No bo jakże by to wyglądało? Wielka bizneswoman, a chodzi ubrana jak własna szwaczka? Musiała więc na letnią sukienkę narzucić choć bolerko, by nie świecić gołymi ramionami. A i z gołymi nogami też nie wypadało chodzić. Która kobieta interesu nosi sandały, pokazując ludziom paluchy? Przecież jak się wejdzie do jakiegoś banku czy urzędu, to tam wszystko, co siedzi w okienkach, zawsze jest wyubierane, zapięte i schludne. A ona stała wyżej niż jakieś tam biurwy. Andzia była jak te damy z programów telewizyjnych – jej wspaniałe prawie imienniczki: Hanna Suchocka z Unii Demokratycznej czy Hanna Gronkiewicz-Waltz, prezes Narodowego Banku Polskiego – dla niej dwa wzory niedoścignione, ucieleśnienia sukcesu. Ona zamierzała być znaczącą personą w biznesowym świecie, bo przecież jej atelier wciąż się rozwijało. Kto wie? Może któregoś dnia suknie i garsonki z jej pracowni będą nosiły kobiety z wysokiego szczebla drabiny społecznej?

Ech... Słodkie marzenia, do których droga wciąż jeszcze była daleka!

Andzia i tak uważała, że osiągnęła bardzo dużo. Miała piękne mieszkanie, drogi samochód i wyraźnie wybiła się ponad klan Szymczaków czy Pawłowskich. Żadna z jej koleżanek nie dokonała w życiu tak wiele. Co więcej, wciąż czekały na nią świetlane dni. A na razie z ciężkim westchnieniem zaczęła po kolei odmykać trzy kłódki zawieszane na bramie garażu, który od ponad miesiąca dzierżawiła na sąsiednim osiedlu. Złościło ją, że musi tyle przejść, by dostać się do własnego samochodu. Ale straty, których ostatnio przysporzyli jej złodzieje, były znacznie dotkliwsze niż konieczność blisko kilometrowej wędrówki.

Dobrze, że dzisiaj wieje taki przyjemnie chłodny wietrzyk. Przynajmniej się nie spociłam – odetchnęła, zdejmując ostatnią kłódkę. Odblokowała alarm w samochodzie, otworzyła drzwi i wsiadła do środka. A ponieważ swoją przyciężkawą pupą klapnęła dość mocno, leżący na fotelu przedmiot nieprzyjemnie wbił jej się w pośladek.

– A ki pieron! – wrzasnęła.

Była zbyt puszysta, by sięgnąć dłonią po to, co nieprzyjemnie ją uwierało, więc po prostu wysiadła z samochodu. Jeden rzut oka na siedzenie wystarczył, by mogła stwierdzić, że onegdaj dopadł ją atak sklerozy. Zobaczyła podłużną metalową sztabę służącą do blokowania kierownicy, a obok urządzenie do unieruchamiania skrzyni biegów – obydwie te cacka kupił dla niej Paweł i wciąż ją napominał, aby je zakładała. Miały uchronić drogi samochód przed kradzieżą, te stały się bowiem tak nagminne, że strach było spuścić pojazd z oczu choć na moment.

– Nie założyłabym? – wyraziła na głos zdziwienie. – Niemożliwe! – stwierdziła, gdyż zawsze wszystko sprawdzała po wielokroć, by któregoś dnia nie spotkała jej przykra niespodzianka.

A potem dostrzegła jakiś świstek leżący pod sprzętami

zabezpieczającymi. Chwyciła go i odczytała wzrokiem treść: *Jak będę miał zamówienie na taką furę, to i tak ci ją zapierdolę. Dzięki za radio.*

Pod kratkami nawiewu znowu zionęła pusta komora, z której złodziej wyjął radioodtwarzacz.



W połowie lipca w mieszkaniu przy alei Róż pachniało nowością. W ostatnich tygodniach Wioletta nie miała zbyt wiele czasu, by do niego zaglądać, ponieważ wciąż koncertowała z zespołem Silver Star. Podróżowali po całym kraju, niemalże bez chwili przerwy, ale za to pieniądze szerokim strumieniem spływały na ich konta bankowe. Łatwo więc było czerpać z tego źródła i zaspokajać kolejne zachcianki. Kiedy tylko dziewczyna pojawiała się w Nowej Hucie, od razu pędziła najpierw do dziadków, a później do swojego remontowanego lokum, by podziwiać postępy prac. Później jeździła z Wawrzyńcem oraz Julią po sklepach, wybierając lampy, firany, zasłony oraz meble. Na dobrym smaku dziadków zawsze mogła polegać. Ponadto mieli mnóstwo czasu i cierpliwości, czego nie mogła powiedzieć o ojcu i Matyldzie, którzy byli wciąż zapracowani.

Chociaż nadal brakowało części mebli oraz wielu drobiazgow, Wioletta postanowiła, że nie będzie zwlekała z przeprowadzką. Pragnęła zamieszkać u siebie i do woli korzystać z uroków samotności. Bez szturmowania rano łazienki, potrącania się w ciasnej kuchni i ciągłego pamiętania o tym, że nie jest sama, więc nie może zbyt głośno słuchać radia, a gdy ma ochotę pooglądać telewizję, to wybór programu musi być kompromisem wszystkich, którzy w danej chwili przebywają w pokoju dziennym – takie tam drobiazgi wspólnej egzystencji.

Z ekscytacją myślała o długich kąpielach w pianie, które

będzie sobie fundowała po powrocie z tras koncertowych bądź wykładów. W spokoju, samotności, z ulubioną muzyką w tle, lampką wina i bez ograniczeń czasowych. O dzbanku kawy, który nie zniknie w magiczny sposób, gdy Wiola na chwilę opuści kuchnię i pójdzie po coś do swojego pokoju. Bo od tej pory nie miała mieć swojego pokoju, lecz własną sypialnię, salon oraz pracownię, jak nazwała nieduże pomieszczenie, które zagospodarowała na domowe studio muzyczne oraz kąpiel do nauki. Prócz tego dysponowała jeszcze pokojem gościnnym, przestronną kuchnią oraz łazienką.

Dużo jak na jedną dziewczynę – myślała z zadowoleniem.

A potem rozgrzeszała tę rozrzutność – bo przecież mogła kupić mniejsze mieszkanie – że to nabytek na całe życie. I że pewnie z biegiem czasu pusta przestrzeń zaludni się mężem oraz dziećmi, a może nawet kotem i psem. Na razie do szczęścia wystarczał jej Tuptuś III, godny następca dwóch wcześniejszych chomików. Siedział sobie gryzoń w dużym akwarium, to gonił w kołowrotku, to napychał worki policzkowe karmą, którą prznosił z miejsca na miejsce.

Szaleństwo przy wyborze lokum było także pewnego rodzaju rekompensatą za trudne warunki, w jakich dorastała: jeden niewielki pokój dzielony z dwoma starszymi braćmi. Niełatwo egzystowało się w takim tłoku. Było im ciasno i duszno, znosili wiele niewygód. Rzeczy osobiste ograniczali do niezbędnego minimum. To wymagało także pewnej dyscypliny w ubiorze: nie wypadało łaźnić po pokoju w samej bieliźnie, a odrobina intymności była wyjątkowym priorytetem.

Pierwszy wieczór po przeprowadzce, który mogła w końcu spędzić na leniuchowaniu – bez rozpakowywania się, układania, przestawiania i innych czynności, przesiedziała w fotelu, słuchając, jak zegar odmierza upływający czas.

Fotel wypatrzyła w desie. Był dębowy, miał skórzaną tapicerkę w karmelowym kolorze. Zapłaciła za niego nieprzyzwoicie dużo.

Dziadek początkowo odradzał jej zakup, perswadując, że mogłaby za to nabyć cały komplet wypoczynkowy. Ale kiedy przywieziono mebel ze sklepu i Wiola ustawiła go w kącie obok okna na grubym, wełnianym dywanie, Wawrzyniec stwierdził, że idealnie pasuje do pozostałego wystroju. Jeszcze tego samego dnia poprosił syna sąsiadów o pomoc w przyniesieniu do mieszkania wnuczki prezentu.

– Zawsze się nim zachwycałaś – oznajmił, gdy ustawili w salonie masywny zegar szafkowy. Ten sam, który niegdyś kupił na pchlim targu. Przez lata cieszył się jego posiadaniem, a teraz postanowił oddać go swojej ukochanej Faszolce.

Wnuczka z radości rzuciła mu się na szyję.

– Och dziadku! Nawet nie wiesz, jak wielką radość mi sprawiłeś! – powiedziała głosem zdławionym emocjami. W tym samym momencie zegar zaczął wybijać osiemnastą. Serce Wioletty zdawało się uderzać do wtóru z nim.

Tak więc, gdy już oficjalnie zakończyła chaotyczny etap zwany przeprowadzką, usiadła z kieliszkiem wina na swoim wspaniałym fotelu, podwijając nogi pod pośladki, i resztę popołudnia spędziła, nasłuchując, jak stara maszyna odmierza minuty, wybija połówki, a następnie pełne godziny.

– Boże, ależ mi dobrze – wzdychała co jakiś czas.

W tej chwili niczego więcej nie trzeba jej było do szczęścia.

No, może jeszcze piwnookiego mężczyzny, z którym spotykała się od czasu do czasu na mieście, gdy nie była zajęta koncertowaniem lub urządzaniem się na nowych włościach. To jednak było możliwe do realizacji. Wcześniej umawiali się w kawiarniach lub pubach, potem szli na spacer w blasku księżycy, ze splecionymi dłońmi, szepcząc i przystając co jakiś czas, by się całować. Mirek nigdy nie zapraszał jej do siebie, gdyż w wieku trzydziestu lat nadal mieszkał z rodzicami, więc byłby skrupowany. Ona zapewne także, ponieważ to bardzo staroświeccy ludzie, traktujący życie serio. Nie stać go było na

zakup własnego „M”. Ponadto nie odczuwał takiej potrzeby, skoro w przyszłości miał odziedziczyć po nich to mieszkanie.

Teraz przynajmniej ona miała go dokąd zaprosić, choć miała świadomość, jaki może być tego finał.

Była na to gotowa.

Chociaż niewiele wiedziała na temat Mirosława, a ten sprawiał wrażenie dość tajemniczego człowieka, była w nim zakochana nieprzytomnie. Wydawał jej się jednocześnie kimś wyjątkowo bliskim i wyjątkowo ważnym oraz niezwykle skrytym i odległym.



Tego dnia Szymczakowa przyjechała do atelier w wyjątkowo podłym nastroju. Kolejne włamanie do auta – tym razem wyjątkowo perfidne, bo choć złodziej nie rozbił szyby, to jednak utarł jej nosa, kradnąc trzeci z kolei radioodbiornik – przyprawiło ją o wściekłość.

– Nic się nie uchroni przed tym skurwysyńskim motłochem – pomstowała.

W pracowni jej humor uległ jeszcze drastyczniejszemu pogorszeniu, ponieważ okazało się, że szwaczki mają niezaplanowaną przerwę.

– A co to ma znaczyć? – huknęła szefowa, widząc, że zamiast terkotać maszynami do szycia, oddają się plotkom.

– Nie ma fazy, pani szefowo – bąknęła Iwona, która jako jedyna przynajmniej stwarzała pozory pracy, doszywając ręcznie guziki do garsonek. – W gniazdkach nie ma prądu, maszyny nie działają.

– A to nie ma innej roboty? Nie da się fastrygować sukienek? Kroić? Przyszywać guzików lub falban?

– Ale szefowo, kto by to dał radę szyć ręcznie? – jęknęła

Monika, szara myszka, która zwykle siedziała cicho, robiąc swoje i drżąc ze strachu przed utratą pracy.

– No chyba lepiej szyć w rękach, niż siedzieć beczynnie! – oburzyła się właścicielka.

– Ale to bardzo długo trwa i nie jest tak staranne jak szycie maszynowe. Włączą prąd, to nadgonimy – zapewniła inna szwaczka.

– Lepiej by było, gdybyście zrobiły choć parę sztuk, zamiast siedzieć na darmo. Proszę mi tu się nie mądrzyć, że to długo trwa, tylko zaraz brać się do roboty. A sukienka dla mojej córki gotowa? – zagadnęła Monikę, która miała wykończyć najnowszą kreację koronkami i kokardkami.

– Jeszcze nie – odparła szwaczka. – Nie było kiedy. Szyłam zamówienia do domu towarowego.

– A to ty jeszcze nie wiesz, że ubrania Małgorzatki są najważniejsze? Przecież mówiłam ci, że to pilne, bo potrzebujemy tej sukni na wesele mojej przyjaciółki, a to już jutro! I co ja mam teraz zrobić? Dużo ci jeszcze zostało?

Pracownica spojrzała z przestraszeniem na szefową. Nie spieszyła się z pracą, bo nie wiedziała, na kiedy ma dokończyć kreację. Z dnia na dzień przekładała robotę, ponieważ tkanina, z której miała szyć te wszystkie kokardy, była śliska i wciąż się zaciągała od igieł, w ogóle nie poddając się maszynie. Dzieło rozpoczęła Iwona, która uszyła sukienkę, ale wykończenia należały do Moniki.

Monika nie po raz pierwszy pomyślała, że ulubienica szefowej jest cwana kombinatorką. Tak naprawdę marna z niej była krawcowa. Dobrze jej wychodziły proste ścięgi. Szyła bardzo szybko i chytrze – byle zrobić jak najwięcej sztuk – a przez to niezbyt starannie. Czasami trzeba było po niej poprawiać, gdyż nie liczyła się jakość, lecz ilość, którą skrzętnie wpisywała do dziennika pracy założonego przez właścicielkę atelier. Ale ile miała za to do powiedzenia na temat tego, jak pracowały inne

dziewczyny! Oj... W gębie była mocna jak mała kto. A Szymczakowa oczywiście we wszystkim wierzyła tej lizusce i wyraźnie ją faworyzowała, nie widząc, jak Iwona stwarza pozory. Monika pracowała znacznie wolniej, ale za to nieporównywalnie starannie. Jej wyroby nie wymagały poprawiania i wyjątkowo rzadko zdarzały się jakieś reklamacje. Może właśnie z tegoż względu zostało jej przydzielone robienie wykończeniówki, ponieważ to wymagało cierpliwości i dokładności, a niejednokrotnie sprytu, by zamaskować niedociągnięcia zrobione przez inne szwaczki.

Monika rozłożyła przed szefową suknię uszytą dla Małgorzaty.

Andzia spojrzała krytycznie na dzieło. Nie spodobało jej się, że materiał marszczy się na szwach, a ściegi idą krzywo. Co prawda część niedoróbek można było zamaskować czy to paskiem, czy kokardą, czy falbaną, ale na to nie było już czasu. Osobiście bowiem zaprojektowała suknię dla córki, by ta wyglądała na weselu jak księżniczka i przyćmiła prezencją inne dziewczęta.

– Co to ma być, do jasnej cholery? – wykrzyknęła z oburzeniem. – Jak ja mam ubrać w to córkę? Jak ona będzie w tym wyglądać? No jak?

Monika spojrzała bezradnie na szefową. Właściwie cisnęło jej się na usta, że ten projekt jest do kitu i w ogóle nie pasuje do nastoletniej pannicy, ale do dziewczynki w wieku przedszkolnym. Albo jakiejś zwariowanej rusałki. Także miała córkę i nigdy w życiu nie przyszłoby jej do głowy, aby ubrać ją w coś tak koszmarnie przeładowanego ozdobami. Już sam materiał: kwiecisty i dość pstrokaty, był wystarczająco dekoracyjny, by uszyć z niego coś o zupełnie prostym kroju. Każda falbana czy kokarda była zbędnym detalem. A jakby tego było mało, to jeszcze wszystkie falbanki miała wykończyć koronką. I doszyć do tego cuda złote guziczki z kolorowymi oczkami. Ohyda! O-hy-da! Zamiast jednak skomentować

ambitny projekt, milczała, wbijając pokornie wzrok w paskudztwo ze sztucznego jedwabiu.

Nagle skurczyła się jeszcze bardziej, ponieważ z ust szefowej padły przerażające słowa. Takie, przed którymi drżała od zawsze.

– Wywalam cię z roboty. Mam na twoje miejsce dość chętnych. Możesz wracać do domu – powiedziała Szymczakowa, a potem odwróciła się i odeszła do pomieszczenia socjalnego.

Monika zamarła.

Z czego zapłacę rachunki? Za co wykarmię dzieci? – pomyślała z przerażeniem.

Chciała pobiec za szefową i błagać ją, by wycofała się ze swoich słów, lecz stała jak wmurowana. W tym samym czasie Andzia piekliła się na zapleczu, hałasując jakimiś kłopotami.

– A cóż to za chlew? Czy ktoś w ogóle sprząta pomieszczenie socjalne? Leniuchujecie, języki strzępicie po próżnicy, a tutaj wszystko aż się lepi! Żeby choć któraś z was ruszyła dupę i zrobiła porządek! Toż to jest jeden syf i malaria! Straszne z was paparuchy! Jak wam nie wstyd siedzieć w takim brudzie?

Monika zamknęła oczy i lekko odetchnęła.

A może to i lepiej, że nie muszę już pracować dla tej diablicy? Nigdy więcej nie będę jeść śniadania, spoglądając na kibel! Jakoś sobie poradzę bez jej łaski. Znajdę lepszą posadę.



Przez cały dzień słońce niemiłosiernie prażyło. Nad rozgrzаныmi ulicami wibrowało gorące i suche powietrze. Ludzie spoglądali w bezchmurne niebo, marząc o tym, by choć na moment pojawiły się na nim obłoki. Nawet wieczór nie przyniósł upragnionej ulgi, ponieważ ospałe miasto oddawało ze swoich bruków i murów ciepło zgromadzone w ciągu całego dnia.

Wioletta i Mirosław umawiali się zazwyczaj w Nowej Hucie. Wypijali kawę w Stylowej lub Mozaice. Chadzali nad zalew albo do któregoś z parków. Później Mirek odwoził ją tramwajem bądź autobusem na Oświecenia, odprowadzał niemalże pod drzwi i, dopiero gdy upewnił się, że bezpiecznie dotarła do siebie, wracał na Dębniki. Troska mężczyzny o jej bezpieczeństwo była wzruszająca.

– Może wstąpisz do mnie na drinka? – zaproponowała Wioletta pewnego upalnego wieczoru, gdy wraz z Mirkiem zbłądzili w pobliże placu Centralnego.

– No... Nie wiem, czy to dobry pomysł. – Brodnik się zawahał.
– Przepraszam cię, ale chyba nie jestem jeszcze gotów na to, by poznać twoją rodzinę. Według mnie potrzebujemy jeszcze trochę czasu – uzupełnił.

– Och, nie martw się moją rodziną. Nie rzucę cię w paszczę lwa. Zapraszam do mnie. Tutaj, na alei Róż.

– Przeprowadziłaś się wreszcie?

– Tak. Teraz już mogę cię do siebie zaprosić.

– Wspaniale! – ucieszył się i mocniej uścisnął jej dłoń. – No to chodźmy! Prowadź!

Weszli, a raczej wbiegli po schodach na drugie piętro. Mirek wyjął z jej dłoni klucze i otworzył dwa zamki. Już w przedpokoju całowali się z ogromnym żarem. Nawet nie włączyli światła, po omacku dotarli do łóżka, zrywając z siebie skąpe odzienie.

Ich spocone ciała splotły się w namiętym uścisku. Zapiekleń skóra przyszczypnięta niechcący wilgotnym udem mężczyzny.

Mało komfortowe warunki jak na pierwszy raz – przemknęła jej przez głowę myśl pozbawiona choćby odrobiny romantyzmu.

Nie lubiła tego uczucia, gdy wszystko klei się do siebie po to, by po chwili oderwać się z cichym mlaśnięciem. A jednak pożądanie wzięło górę nad drobnymi niedogodnościami.

Wystarczyło tylko, że znowu poczuła w ustach natarczywy język Mirka.

Oddychali zgodnym rytmem, zwarci w miłosnym uścisku.

Nie było czasu na pieszczoty, grę wstępną, subtelne uwodzenie. Było pragnienie, które należało ugasić teraz, zaraz, natychmiast. Na łóżku przykrytym przyjemnie chłodną, atłasową narzutą. W zaciszu sypialni, której okno wychodziło na podwórze, a nie na aleję Róż.

– Tak bardzo cię pragnę, Gwiazdeczko – szeptał gorączkowo mężczyzna z ustami przy jej drżących wargach. – Tak cię pragnę, maleńka.

Wyjątkowo nie odpowiedział mu śmiech, lecz stłumione westchnienie. Zwykle, gdy mówił do niej „maleńka”, odpowiadała chichotaniem, gdyż byli równego wzrostu. Przy nim unikała wysokich obcasów, choć bardzo je lubiła.

– Ja też cię chcę, Mirku – wyszeptała, ośmielona przytulnym mrokiem pomieszczenia.

Mężczyzna tylko przez krótką chwilę wodził dłońmi wzdłuż jej bioder i zabłądził ustami do piersi. Skóra Wioletty była wilgotna. Oblizał usta, poczuł lekko słonawy smak. Był zbyt rozpalony zarówno upałem, jak i sprzyjającymi okolicznościami, by przedłużać pieszczoty. Odsunął się nieznacznie, a potem zdecydowanym gestem rozchylił opalone na brąz smukłe uda. Natarł na nią z całą namiętnością, która wrzała w jego żyłach.

Krzyknęła, zaskoczona nagłym bólem, gdy wszedł w nią po raz pierwszy.

– Co się stało? – zapytał szeptem. – Zabolało cię? – zmartwił się Mirek.

– To nic, nie przestawaj – odparła, przyciągając go do siebie mocniej i wbijając paznokcie w jego skórę. – Podobno za pierwszym razem musi boleć.

– To twój pierwszy raz? – wyraził zdziwienie.

Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiał, ale przyjął za

pewnik, że dziewczyna taka jak ona: atrakcyjna i seksowna gwiazda muzyki chodnikowej, musi być otoczona wianuszkami adoratorów. I że na pewno z niejednym już się przespała; być może w nadziei na przyspieszenie kariery, być może dla przyjemności. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że Wioletta może być dziewicą.

– Tak – szepnęła. – Marzyłam o tym, aby zrobić to z tobą.

– Moja maleńka – odpowiedział czule i pocałunkiem zamknął jej usta. – Moja kochana.

– Ja też cię kocham, Mirku – oznajmiła, a potem zatoneła w jego ramionach, unoszona falami namiętności.

Jakże przyjemny był chłód atłasowej narzuty na łóżko, gdy dotykali jej rozpalonymi ciałami. Spleceni tak ściśle, jak nigdy wcześniej, poruszali się zgodnym rytmem. W końcu obydwójkiem wstrząsnął ostatni spazm rozkoszy. Mirek opadł na plecy i odnotował z przyjemnością, że natrafił na skrawek materiału, który nie zdążył się zagrzać bijącym od nich żarem. Przekręcił się na bok, wsparł na łokciu i pocałował dziewczynę w zroszone czoło.

– Bardzo bolało?

– Nie. Jak widzisz: przeżyłam.

– Szkoda, że nie wiedziałem wcześniej.

– Czy to by coś zmieniło?

– Byłbym delikatniejszy. Uf... Ależ mi gorąco. Potworny jest ten upał – sapnął.

– Możemy wziąć kąpiel – rzuciła propozycję.

– Razem?

– Oczywiście. Poczekaj moment, zaraz wszystko przygotuję.

Z żalem zostawiła Mirka samego, lecz wiedziała, że za chwilę znów zatonie w jego objęciach. Mieli przed sobą całą noc, może również cały dzień. Na razie nic ich nie ograniczało. W następną trasę koncertową wyjeżdżała pojutrze.

Nie chciała myśleć o chwili, gdy on wyjdzie, a ona będzie

musiała wsiąść do furgonetki, którą podróżowała grupa Silver Star. Woliała skupić się na swoim małym tu i teraz. Smakować każdą minutę, którą mogła spędzić z ukochanym.

Napuściła do wanny wodę, dołała trochę pachnącego płynu, by powstała aromatyczna, mieniąca się tęczowymi bańkami piana. Potem zapaliła parę świeczek i wróciła do pokoju. Zgasiła światło, by nie odczuwać skrępowania nagością. Jeszcze nie miała dość odwagi, by pokazać mu się w pełnej krasie, choć migotliwe płomienie dość dobrze rozświetlały wnętrze.

– Już – wyszeptała.

Mirek wstał. Podszedł do Wioletty i na rękach zaniósł ją w kierunku, z którego płynęła delikatna poświata. Włożył dziewczynę do wody, a potem wszedł w ślad za nią do sporej, narożnej wanny. Przytulił kochankę do siebie.

Przez chwilę siedzieli w ciszy, rozkoszując się letnią kąpielą.

– Ach... Jak mi dobrze – westchnęła Pawłowska, gdy mężczyzna nabierał garścią wodę i polewał jej ramię.

– Jesteś śliczna – powiedział, spoglądając z zachwytem na strużki płynące po jej smagłej skórze, migoczące w świetle świec, rozlewające się na krągłych piersiach. – Czy powinienem teraz zaśpiewać, że „Mógłbym cię mydlić mydełkiem Fa / Byłoby fajnie, szabadabada^[10]”?

Wioletta odwróciła się do niego. Zapluskała woda, wydzielając aromat płynu do kąpieli.

– Nie. Zdecydowanie nie. Jeśli już chcesz śpiewać, to raczej *Upał Kazika Staszewskiego*. – Puściła doń oko.

– Chyba spasuję. W zestawieniu z twoim, mój talent muzyczny wypada marnie.

– Wystarczy, że masz inne talenty – odparła dziewczyna.

– Tak? A jakie?

– Na przykład nikt nie całuje tak jak ty – szepnęła.

Przyciągnął ją do siebie, by usiadła okrakiem na jego udach.

Pieścił opuszkami dziewicze piersi, które do tej pory nie poznały męskiego dotyku. Całował je z zachłannością, to znów wracał ustami do jej warg. Badał dłońmi linię smukłych ud, krągłość pośladków, delikatność skóry. Potem znowu wypełnił jej wnętrze swoją męskością. Już bez bólu i bez pośpiechu. Zmysłowo i namiętnie. Z cichym pluskiem wody, która chwilami przelewała się nad krawędzią wanny, chlustając na miękkie, kudłate dywaniki. W końcu, gdy po raz drugi ich ciałem wstrząsnęły rozkoszne dreszcze, do cna wyczerpani postanowili zakończyć kąpiel.

Pomógł jej się wytrzeć, gdy stała, dygocząc z zimna.

– Nareszcie zmarzłam – zaśmiała się. – Choć jeszcze przed momentem było mi nieprawdopodobnie gorąco.

– I pomarszczyła ci się skóra – zauważył, a potem ucałował delikatnie jej opuszki.

Otulił dziewczynę puchatym szlafrokiem i zaniósł z powrotem do sypialni.

– Możesz włączyć lampkę nocną? – poprosił, gdy już leżała na łóżku.

Rozbłysło światło.

– Zostaniesz na noc? – zapytała Wiola, walcząc z sennością, która nagle nią zawładnęła.

– Nie mogę – odparł z żalem. – Nie dzisiaj. Może innym razem – rzucił obietnicę, widząc smutek w jej oczach. W pośpiechu włożył bieliznę, spodnie i koszulę. – Przepraszam, skarbie. Naprawdę muszę już jechać do domu.

– Kiedy się zobaczymy? – zapytała.

– Jak najszybciej.

– Może przyjedziesz jutro na kolację? A właściwie to dzisiaj – stwierdziła, spoglądając na budzik.

– Będiesz jeszcze? – upewnił się, ponieważ wspominała, że miała wkrótce wyjechać.

– Tak, jeszcze będę.

– W takim razie przyjdę pod wieczór. Przyniosę szampana – obiecał.

[8] Fragment utworu *Upał* – słowa: Kazik Staszewski, muzyka: Jacek Kufirski, wykonanie: Kazik Staszewski – album solowy, płyta *Spalaj się!*, Wydawnictwo Muzyczne Eska 1993 r.

[9] Czytelników niniejszej powieści, którzy nie czytali sagi *Spacer Aleją Róż*, zachęcam w tym miejscu do sięgnięcia po ten cykl.

[10] Fragment piosenki *Mydełko Fa*, tekst: Andrzej Korzyński, muzyka: Mikołaj Korzyński, wykonanie: Marlena Drozdowska i Marek Kondrat.

Rozdział 5



Strach ma wielkie oczy

*Znam twoją drogę dobrze, nawet za dobrze
Na pamięć każdy ruch twój. Wiele spojrzeń
Poświęciłem, by cię zgnębić, abyś szans nie miała
Gdy cię dopadnę i gdy będziesz umierała*[\[11\]](#)

Paweł zatrzymał samochód na parkingu przyległym do Tomeksu. Z trudem wyjął z bagażnika wielką kraciastą torbę wypełnioną po brzegi jeansową odzieżą. Właśnie zaliczył wizytę w hurtowni, gdzie zostawił ładnych kilkanaście milionów, by nabyć towar na handel. Zamierzał zostawić ciuchy chłopakowi zatrudnionemu do pomocy, a potem wrócić do siebie. Musiał przebrać się w elegancki garnitur i pojechać do NCK-u na spotkanie motywacyjne dla członków Amwaya.

Potrzebował tych wieców, ponieważ dodawały mu skrzydeł do pracy. Mozolnie budował swoją sieć sprzedawców. Niezadowolony, gdyż dość opornie to szło. Ludzie byli cholernie leniwi z natury. Wszyscy marzyli o bogactwie, ale nikomu nie chciało się nic robić w tym kierunku. Namówił jednak kilku znajomków, by przystali do organizacji. W każdej wolnej chwili

latał po krewnych i kolegach, robił prezentacje, kuśli, demonstrował produkty. Zawsze nienagannie ubrany, uśmiechnięty – człowiek sukcesu. Na temat właściwości oferowanego przez siebie towaru wiedział niemalże wszystko, ponieważ był stuprocentowym użytkownikiem.

Pewnego dnia pojechał do magazynu Amwaya i zakupił każdą rzecz, która znajdowała się w asortymencie firmy. Po powrocie do domu spakował dotychczas używane środki czystości do kartonowego pudła i polecił Andzi, aby zabrała to swoim brudasom do atelier, niech zrobią tam w końcu porządek. Od tamtej pory w domu używano tylko tych produktów, które on przywiózł. Przy każdej okazji wychwalał je pod niebiosa. Mydło, które choć było drogie, bardzo ładnie pachniało i nie „wymydlało się” tak szybko, jak inne środki oferowane w sprzedaży. Pianka do mycia szyb to była prawdziwa rewelacja! Alicja nie mogła się jej nachwalić i teraz myłaby okna choćby i co tydzień. Podobnie było z preparatem do czyszczenia piekarnika. I z dezodorantem do ust. I z innymi chemikaliami. Dzięki temu, że tak dobrze je poznał, łatwiej mu przychodził handel, choć nabywcy bardzo często narzekali, że to wszystko jest zatrważająco drogie. On jednak nie dawał za wygraną.

Przedzierał się pomiędzy tłumem chodzącym po bazarze, dźwigając ciężką torbę. Klął pod nosem na samego siebie, że zamiast nadłożyć parę kroków i przejść na miejsce chodnikiem okalającym plac, wybrał krótszą drogę poprzez targowisko. Krótszą, nie oznaczało w tym przypadku szybszą.

Jak na złość w pobliżu jego szczęki stało mnóstwo osób.

– Co jest? – zapytał pracownika. – Skąd tyle ludzi? Na co się tak gapią?

– A bo przyleciała jakaś kobita i zaczęła szarpać tę Rumunkę, która klęczy zawsze przy wejściu. Darła się, żeby wezwać szybko policję, bo Cyganicha ukradła jej dziecko. No i ktoś chyba w końcu zadzwonił. – Kiwnął głową, wskazując

migoczące niebiesko światła radiowozu.

Zaintrygowany Paweł zaczął się przepychać pomiędzy gapiami. Rzeczywiście koło Eleny zrobiło się niemałe zamieszanie. Rumunka, zamiast klęczeć, stała z maluchem w objęciach i wszelkimi sposobami usiłowała go uchronić przed wyciągniętymi rękami policjantów oraz jakiejś desperatki, która wrzeszczała wniebogłosy, że kilka tygodni temu ktoś uprowadził dziecko z wózka. Na moment zostawiła je przed sklepem spożywczym. I że właśnie rozpoznała swoją kruszynę w maleństwie, które spało na kartonie obok Eleny.

– To moja córeczka! – wołała rozpaczliwie. – Nawet ubrana jest w ten sam pajacyk, co tego dnia, gdy mi ją zabrano! Aresztujcie tę kidnaperkę i oddajcie mi moje dziecko! – domagała się sprawiedliwości.

W końcu policjanci zdołali wyjąć niemowlę z rąk Eleny. Pokazali je domniemanej matce, która z miejsca zaczęła bić się w piersi i przysięgać na wszystkie świętości, że to jej malutka. A potem dało się słyszeć zawołanie, że dzieciątko jest takie brudne i zaniedbane. Pewnie ma odparzoną pupkę. I dlaczego jest takie spokojne, choć wokół panuje straszny jazgot?

– A pewnie wódką go napoiły te Rumuny! – podsunął jakiś domyślny jegomość, na co matka znowu uderzyła w płacz.

Zamieszanie wciąż przyciągało nowych gapiów. Elena chciała wyrwać się stróżom prawa, którzy na siłę próbowali ją wepchnąć do radiowozu. Ostatecznie całe towarzystwo: Rumunka, Polka i nieszczęsna dziecina zostało zapakowane do samochodu policyjnego i na sygnale odjechało w stronę posterunku. Ludzie jeszcze przez chwilę stali, komentując wydarzenie.

– Tak mi się wydawało – bąknął Paweł ni to do siebie, ni to do innych – że to nie był dzieciak tej zebraczki. Jestem tutaj codziennie, ona też. I jak mi Bóg miły, nie widziałem, aby chodziła z brzuchem.

– A gdzie byś pan dopatrył się brzucha u takiego chuchra w łachmanach? – Jakaś kobieta wzruszyła ramionami.



Lato w mieście było okropne. Dni dłużyły się wśród koszmarnego gorąca, smrodu spoconych ciał i rozmaitych wyziewów, przybierających na intensywności z nastaniem ciepłych dni. Małgosia nienawidziła tej części wakacji, którą musiała spędzać u babci Sabiny. Na szczęście rodzice wykupywali dla niej przynajmniej dwa turnusy kolonijne, więc nie była skazana wyłącznie na przebywanie w Nowej Hucie. Najgorszy był jednak czas pomiędzy wyjazdami, ponieważ wtedy bardzo często nocowała w mieszkaniu na osiedlu Centrum A. Ach! Jakie to było straszne przeżycie!

Babcia źle znosiła upał. Wciąż sapała, jęczała i włączała wentylatorek. Ubranie kleiło się do jej otyłych kształtów i, co tu dużo mówić: wydzielało niezbyt przyjemną woń. W niewielkim, jednopokojowym mieszkaniu była to okropna uciążliwość, lecz Gosia znalazła w końcu sposób na to, by zapewnić sobie minimalny komfort. Przekonała babcię, że lepiej będzie im obu, jeśli będzie sypiała na rozstawionej w kuchni polówce. Sabina, która bardzo ceniła sobie własną wygodę, bez wahania zgodziła się na jej propozycję. Wprawdzie żal jej było dzieciny śpiącej w tak spartańskich warunkach, lecz Gosia zapewniała, że wszystko jest w porządku, i przypominała babci, jak to kilka lat temu w tej samej kuchni na wążutkim tapczaniku sypiała ciocia Danusia z mężem. Im to dopiero musiało być ciasno, choć kuchnia była dość przestronna.

Paweł, gdy usłyszał o tym, że jego ukochane dziewczątko – oczko w głowie i najśliczniejszy pączuś – nocuje w tak opłakanych warunkach, urządził Andzi awanturę i dobitnie

zapowiedział, że choćby się paliło i waliło, zawsze któreś z nich: czy to on, czy żona, musi znaleźć czas, by odwozić rano i przywozić popołudniami Małgosię. Bo jakże to, aby dziecko w okresie intensywnego wzrastania krzywiło sobie kręgosłup na łóżku polowym? Jeszcze wyrośnie im na jakąś pokrakę i tyle dorobią! Co prawda takie jeżdżenie tam i z powrotem jest uciążliwe, ale trzeba jakoś pogodzić ogrom obowiązków. Bo skoro córka ma własny pokój z wygodnym łóżkiem, to zbrodnią jest dopuszczanie, by nocowała jak jakaś bidula z patologicznej rodziny.

Tym oto sposobem, ku zadowoleniu Gosi, okazało się, że nie musi spędzać całych dni w towarzystwie zręcznej babci, choć i tak wciąż przebywała u niej stanowczo zbyt długo, swoim skromnym zdaniem. A wszystko dlatego, że mama bardzo się bała zostawiać ją w domu samopas. Jeśli tylko wracała do siebie dość wcześnie, to znowu mogła spotykać się z przyjaciółką. Wprawdzie matka nadal krzywo spoglądała na tę znajomość, lecz w końcu przestała zabraniać córce zabaw z rówieśnicą.

Kiedy rodzice odwozili ją do babci, z nudów Gosia zaglądała do państwa Sadzidłów tak często, jak tylko nadarzała się okazja. W przeciwieństwie do babci oraz rodziców, którzy wciąż mieli ją za małą nieodpowiedzialną dziewczynkę, pan Bolek zawsze traktował nastolatkę jak dorosłą panią. Siadał z nią na wersalce i rozmawiał o różnych ciekawych sprawach. Prawił jej komplementy, głaskał ją po nodze, to znowu podszczypywał w talii, użalając się nad tym, że jest chudzieńka jak ptasie skrzydełko.

– A co ty, panienczko, nic nie jadasz? – dopytywał, częstując nastolatkę ciastem upieczonym przez żonę.

– Jadam – kłamała, gdyż większość jej posiłków trafiała do klozetu.

– A to może jesteś zakochana, moja panno? – dociekał. –

W główce amory, to i apetyt nie dopisuje.

Małgosia zaczerwieniła się po czubki uszu i nie za bardzo wiedziała, co odpowiedzieć. Bo tak właściwie czasami myślała, że nadal kocha się w starszym bracie Julity. Ale Marcin nigdy nie zaproponował jej „chodzenia” i chyba niespecjalnie ją lubił, ponieważ ostatnio, gdy zagłądała do Małków, wcale nie chciał z nią gadać. Czerwienił się na twarzy, a potem zniknął jak kamfora. A jeśli już coś mówił, to głupio i nieskładnie, więc lepiej, żeby się nie odzywał.

– Ej, Małgonia, Małgonia! Jak się będziesz tak czerwienić, to chłopcy pomyślą, żeś jest wstydliva, i nie będą chcieli mieć z tobą do czynienia – nader domyślnie stwierdził Bolek. – A mama rozmawia z tobą o chłopcach i *tych* sprawach?

Zażenowana pokręciła przecząco głową.

– No jakże to? Toć mamy koniec dwudziestego wieku, a Andzia chowa cię na dzikuskę? – oburzył się mężczyzna.

– Mama nie ma czasu na bzdury. – Gosia uznała, że wypada ją usprawiedliwić.

– Jakie bzdury, dziewczyno! Powinna ci wszystko wyłożyć, żebyś potem wiedziała, co i jak. I żebyś w razie czego umiała sobie ulżyć, gdy cię najdzie potrzeba.

Nie bardzo rozumiała, o co mu chodzi, lecz on wstał z wersalki i pogrzebał w szafce. Spod sterty różnych rupieci wyciągnął kasetę VHS, którą wręczył Małgoście.

– Masz, pooglądaj sobie w domu. Ino niech cię nie skusi, byś pokazała to rodzicom lub babci. Dopiero by się gorszyli, bo skoro chowają cię na taką cnotliwą Zuzię, to znaczy, że nie rozumieją twoich potrzeb. A przecież panna w twoim wieku ma różne potrzeby, nie?

Gosia obejrzała kasetę, lecz trudno jej było wywnioskować, co na niej może być, gdyż to nie była oryginalna taśma. Na naklejce napisano „Kociaki w akcji”.

– To o zwierzątkach? – wyraziła zdziwienie.

– Nie. To nie film o zwierzątkach. Ale jest bardzo mądry i pouczający dla kogoś takiego jak ty. Będiesz miała możliwość, aby go spokojnie obejrzeć?

– Tak. Mam u siebie w pokoju magnetowid i telewizor. Mama i tato pozwalają mi oglądać filmy do późna, o ile nie chodzę do szkoły. Tatko często przynosi mi różne komedie.

– No to fajnie. Tylko pilnuj tej kasety, dobra?

– Oczywiście, panie Bolku – odparła.

– Nie musisz spieszyć się ze zwrotem. Mam jeszcze inne. Jak ta ci się spodoba, to tamte też ci pożyczę. – Poklepał ją po udzie. Jego dłonie były spocone i lepkie.



Następnego dnia Wiola w radosnym nastroju od rana kręciła się po mieszkaniu. Zniknął gdzieś smutek, który pojawił się w nocy po wyjściu Mirka. W tamtej chwili poczuła osamotnienie. Marzyła o tym, aby mężczyzna z nią zostać, mocno ją do siebie przytulił i zapewnił, że jest kobietą jego życia. Wszak po tym, co im się przytrafiło, nie mogło być inaczej. Leżała więc, nie mogąc zasnąć, gdyż jego wyjście ją rozbudziło. Wspominała minione chwile, nie dowierzając własnemu szczęściu. Wybrał właśnie ją – spośród tylu innych.

Później zapadła w lekki sen, wystarczająco krzepiący jednak, by wrócił optymizm.

Rozkoszowała się wolnym przedpołudniem. Spakowała torbę na wyjazd w kolejną trasę, a potem słuchała muzyki.

– „Gdy trzymam cię w ramionach / Kocham cię / Gdy paznokcie swoje wbijasz we mnie / Kocham cię”^[12] – śpiewał z wieży stereo Staszewski, a ona wszystkimi zmysłami odczuwała moc jego słów i nuciła do wtóru.

Czy Mirek także czuł tę samą ekscytację?

Zgodnie z obietnicą mężczyzna pojawił się o szóstej wieczorem. Przyniósł zapowiadzaną butelkę wina musującego.

Z ciekawością rozglądał się po mieszkaniu Wioletty. Nocą nie było ku temu okazji.

– Ładnie tutaj. Dużo miejsca i bardzo elegancko – stwierdził.

– Dziękuję – odparła. – Włożyłam w to mnóstwo serca, choć nie ukrywam, że gdyby nie pomoc krewnych, to pewnie pokoje wciąż straszyłyby odrapanymi ścianami z obłazącą farbą i porysowanym parkietem. Dziadek nadzorował kolejnych fachowców i sam coś dłubał, a babcia zleciła krawcowej uszycie tych wszystkich zasłon i firanek. – Machnęła ręką w stronę okna.

Mężczyzna rozsiadł się w jej ulubionym fotelu.

Spojrzała na niego z czułością. Mirek idealnie pasował do tego miejsca i do jej wizji przyszłości. Pomyślała o tym, jak cudownie mogłoby być, gdyby kiedyś zamieszkał razem z nią. Przypatrywała się, jak ukochany wodzi wzrokiem po wysmakowanym salonie. Wyglądał na zamyślonego.

– Co jest? – zagadnęła, podchodząc bliżej, by pogłodzić go po twarzy.

– Nic takiego. Jestem szczęśliwy – odparł i pocałował jej dłoń. W jego głosie usłyszała jakieś niedopowiedzenie. Spojrzała na niego wyczekująco.

– Ale? – odpowiedziała mu, by kontynuował.

Objął ją dłońmi w pasie i posadził sobie na kolanach. Delikatnie cmoknął jej usta, później pociągnął z kieliszka łyk alkoholu.

– Ale boję się, że to minie jak piękny sen, bo nie stać mnie na taką dziewczynę jak ty.

– Głupstwa gadasz – zachnęła się. – Jaką według ciebie jestem dziewczyną?

– Zamożną, przyzwyczajoną do luksusu i wszystkiego, co najlepsze.

– Tak ci się tylko wydaje. Nie zawsze byłam Srebrną Gwiazdką. Do niedawna mieszkałam z ojcem i braćmi...

– W dużym mieszkaniu na nowoczesnym osiedlu – wszedł jej w słowo.

– Tak, ale kilka lat wcześniej gnietliśmy się we czwórkę w dwóch pokojach. To był dopiero *hard core* – zachichotała. – Chłopcy spali na łóżku piętrowym, ja na półkotapczanie. Pomiedzy naszymi posłaniami był niecały metr przejścia.

– O kurczę!

– No właśnie. – Pokiwała głową. – Zanim zostałam gwiazdą disco, przez lata chodziłam w ciuchach poprzerabianych z garderoby po mojej mamie. Tato ledwo wiązał koniec z końcem, żeby nas utrzymać. Dopiero gdy podrośliśmy i staliśmy się samodzielniejsi, mógł sobie pozwolić na to, by prowadzić więcej zajęć ze studentami. Wtedy dopiero odżyliśmy. Adek złapał fuchę DJ-a w klubie, Marek zaczął handlować kasetami, a ja dorabiałam sobie jako kelnerka. Początkowo na czarno, bo nie miałam nawet osiemnastu lat. Potem szef dał mi umowę o pracę. Jak widzisz, wcale nie jestem rozpieszczoną lalunią, która nawykła do luksusów. Szybko zaczęłam zarabiać na własne potrzeby, bo taka była konieczność.

– Nie do wiary! Podziwiam cię, Wiolu – odparł mocno zaskoczony. – Dałaś sobie radę z pracą i studiami, a teraz jeszcze kariera w branży muzycznej. Jesteś niesamowita i wyjątkowa.

– Dla mnie to ty jesteś niesamowity – powiedziała. – Zauważyłam twoją charyzmę już na pierwszych zajęciach.

– To miłe, że docenia mnie przynajmniej jedna ze studentek.

– Wcale nie jedna, możesz być pewny.



Niełatwo było Wioli rozstać się z Mirkiem, by wyruszyć w kolejną trasę, lecz poczucie obowiązku musiało wziąć górę nad przyjemnościami.

– Jeszcze zdążę się nim nacieszyć – obiecywała sobie w duchu, idąc po schodach.

Cała ekipa już na nią czekała na parkingu pod blokiem. Dziewczyna wsiadła do auta, przywitała się z chłopakami z zespołu. Za kierownicą siedział Królik.

Uwadze nowej pasażerki nie uszły grobowe miny brata oraz kolegów. Zaskoczyło ją to, że nie ruszyli z miejsca, lecz tkwili w samochodzie mimo dotkliwego skwaru.

– Co jest? – zapytała. – Nie chce wam się jechać? Za bogato wczoraj było z wódką i panienkami?

– Nie chrzań – burknął Adrian. – Myślisz, że mamy w głowie tylko jedno?

– Właściwie chyba tak – zachichotała.

Nie opuszczał jej dobry nastrój.

– Była u mnie dzisiaj Marlena – oznajmił brat. Marlena Dyrwa pracowała dla wytwórni fonograficznej, z którą byli związani. Odpowiadała za koordynację działań fanklubu, na bieżąco pilnowała korespondencji oraz innych drobnych spraw zespołu. – Myślała, że cię zastanie.

– No tak, nie pochwaliłam się Dyrwie, że od kilku dni mieszkam tutaj – odparła Wiolka. – Skoro chciała czegoś ode mnie, trzeba było ją do mnie podrzucić. Albo mogła zadzwonić.

– Nie mogła zadzwonić. Przyjechała ze sprawą, która zdecydowanie nie nadawała się na telefon. I nie miała czasu, żeby jechać do ciebie, bo spieszyła się na pociąg powrotny.

– No to czego chciała, skoro fatygowała się osobiście?

– Przywiozła pakiet anonimów, które od jakiegoś czasu z dużą częstotliwością przychodzą na adres fanklubu.

Wiolka wzruszyła ramionami.

– I co z tego? To normalne w tej branży, że niektórzy fani

przysyłają anonimy.

– No tak, ale te zawierają groźby skierowane pod twoim adresem. Dyrwa powiedziała, że to się zaczęło już jakiś czas temu, a listy nie miały tak radykalnej wymowy. Ale ostatnio pojawiają się ze znacznie większą częstotliwością, a ich adresat zaczyna precyzować swoje wizje. To prawdziwy zbok – oznajmił brat.

– Aż tak źle?

Przygnębione miny chłopaków mówiły same za siebie.

– Dobrze wiesz, że nie zwracano by nam głowy z byle powodu. Kolesi wypisuje ohydne rzeczy na temat tego, co chciałby z tobą zrobić, a później w jaki sposób zamierza cię wykończyć.

– Jesteś pewien, że chodzi mu o mnie?

– Tak. Te groźby są ewidentnie pod twoim adresem. Zresztą masz. – Podał jej plik kartek, które trzymał na kolanach. – To są kserokopie tych świństw. Oryginały trafiły na policję. Dyrwa powiadomiła nas, że impresario złożył oficjalne doniesienie w tej sprawie. Prawdopodobnie będziesz musiała złożyć jakieś zeznania. Oczywiście Marlina zapewniła mnie, że tak wszystko zorganizuje, żeby nie stanowiło to dla ciebie uciążliwości.

– No to po problemie. – Wiolka machnęła ręką. Nawet nie zajrzała do papierów. Nie zamierzała psuć sobie humoru jakimiś dyrdymałami.

– Nie. Obawiam się, że samo doniesienie na policję nic nie da. Ten psychol nieźle orientuje się w naszych poczynaniach i jest dość mobilny. Listy wysyłane były z różnych regionów.

– Skąd wiadomo, że pochodzą od tej samej osoby?

– Mają wspólne cechy. Musisz to zobaczyć – powiedział z naciskiem. – Wolę, żebyś miała świadomość zagrożenia, które na ciebie czyha. Zastanawiałem się nawet, czy nie odwołać występów. Boję się o ciebie. To ja wciągnąłem cię w to wszystko. Czuję się odpowiedzialny i nie mogę cię narażać.

Powiedz tylko słowo, a pojedziemy sami. Lorek nieźle śpiewa, robiliście nawet razem parę duetów. Jeśli zajdzie taka konieczność, pociągnie wokół w pojedynek.

– Wiesz, Wiolka, jakby co, nie ma problemu, mogę cię zastępować – wtrącił się Lorkowski. W jego oczach dostrzegła troskę. – Wprawdzie bez ciebie to nie jest to samo, ale najważniejsze jest twoje bezpieczeństwo.

– Pogięło was? – Tym razem dziewczyna mocno się zirytowała. – Mam tkwić w domu i drzeć ze strachu? Dygotać za każdym razem, gdy usłyszę kroki na klatce schodowej? Bez jaj! Nie dam się zastraszyć jakiemuś zbokowi!

Chociaż starała się nadrabiać miną, dobry humor przysła niczym bańka mydlana.

– Ja pierdolę! Wiola! – Adrian nie wytrzymał napięcia. – Masz w tej chwili przeczytać te jebane listy, rozumiesz?

Spojrzała na niego zaskoczona. Taki ryzostok nie był do niego podobny. Brat nie zwykł przeklinać. Prędezej mogłoby się to wyrwać Markowi. Posłusznie opuściła wzrok na kartki, które Adrian położył na jej udach. Pobieźnie zapoznała się z treścią pierwszej z brzegu, potem następnej i kolejnych. W miarę jak odkładała przejrane paszkwile, żołądek coraz wyżej podchodził jej do gardła. Czytała ohydne wynurzenia jakiegoś psychopaty, który chciał dla niej wszystkiego, co najgorsze. Jej twarz stała się blada jak płótno.

– Nie rozumiem – wyszeptała w końcu. – Nic z tego nie rozumiem. Dlaczego on tak bardzo mnie nienawidzi?

– Bo zdobyłaś sławę? Zarabiasz mnóstwo pieniędzy? Może jest jakimś zerem i wie, że nigdy nie zwróciłabyś uwagi na kogoś takiego jak on? Mógłbym tak gdybać w nieskończoność – powiedział Lorek.

– I co teraz? – zapytał Adrian. – Jeśli chcesz zostać w domu, to w porządku. Nikt nie będzie miał do ciebie pretensji.

– Czy w domu będę bezpieczniejsza niż z wami?

– Trudno powiedzieć. Zapewne tak. On przecież nie zna twojego adresu. Pisywał do fanklubu – stwierdził Tomasz.

Wioletta nie pierwszy raz odczuła jego zawołaną niechęć. Odkąd go odtrąciła, starał się zachowywać profesjonalnie, lecz miała wrażenie, że najchętniej by się jej pozbył z grupy. Zwłaszcza że disco polo nie było jej życiową pasją, co dość często podkreślała. Kiedyś wspomniał, że inne wokalistki są bardziej sexy i wykazują więcej zaangażowania w budowę marki swego zespołu.

– Ja tam nie jestem do końca przekonany. – Adrian nie omieszkał wyjawic swoich wątpliwości. – Przecież nikt nie będzie do niej strzelał. On nie pisze o czymś takim. Według mnie znacznie bezpieczniejsza jest z nami podczas koncertów niż tutaj, gdy jest zupełnie sama. Wystarczy tylko, byśmy nie odstępowali Wiołki na krok.

– I co: do kibla oraz garderoby też zamierzasz z nią łączyć? – burknął Lorkowski.

– No bez jaj! Panowie! – zdenerwowała się Wioletta. – Ta rozmowa jest niedorzeczna. Jedziemy!

– Serio? – upewnił się milczący do tej pory Daniel.

– Serio. Pamiętasz ten film z Kevinem Costnerem?

– *Bodyguard*?

– Otóż to! *Bodyguard*. Ja myślę, że to jakiś kretyń, któremu za bardzo spodobał się tamten film. Jakoś wcześniej nie było pogroźek pod moim adresem. Zresztą nikomu nie dałam powodu do takiego zachowania. Nie epatuję seksem, nie jestem wyzywająca. Mój wizerunek sceniczny jest wyjątkowo powściągliwy jak na tę branżę. Nie dam się zastraszyć. Jedziemy w trasę i realizujemy cały program. Żaden z was nie będzie łąził za mną do garderoby – wyciągnęła palec wskazujący w stronę brata – ani tym bardziej do kibla.



Pierwszy dzień koncertowania minął bez problemów. Adrian posiadał od niedawna telefon komórkowy – wielki i dość nieporęczny aparat marki Motorola DynaTAC o wadze dwóch kilogramów stanowił prawdziwe udogodnienie, gdyż można było wozić go w trasy koncertowe. Mężczyzna poprosił więc Marlenę, aby w razie czego dzwoniła i informowała o kolejnych pogroźkach. Mógł też w każdej chwili skontaktować się z policją, a to dawało przynajmniej namiastkę poczucia bezpieczeństwa. Uzgodnił z siostrą, że natychmiast po powrocie do Nowej Huty ona także zaopatrzy się w komórkę. Nieważne, że jest to zawrotnie drogie urządzenie, a połączenia kosztują majątek. Przecież stać ich na opłacanie rachunków. Będzie znacznie spokojniejszy, gdy pozostaną w stałym kontakcie.

Następnego dnia występowali w jakiejś większej miejscowości na Suwalszczyźnie. Przyszło bardzo dużo ludzi, a po koncercie ustawiała się cała kolejka fanów, którzy pragnęli otrzymać autografy artystów na okładkach kaset i płyt. Oczywiście najdłuższy ogonek był do Wioletty. Dziewczyna ze stoicką cierpliwością podpisywała się na podsuwanych jej kartkach bądź pudełkach. Każdy pragnął zamienić z nią choć słowo. Niektórzy ludzie przynosili jakieś drobne upominki: maskotki, kwiaty, czekoladki – standard, była przyzwyczajona do takich gestów. Kwiaty zabierała zazwyczaj do domu – o ile przetrwały trudy podróży, maskotki także, lecz te oddawała później do domu dziecka, podobnie zresztą jak słodycze. Tym razem jednak słodycze miały trafić do kosza na śmieci. Po obgadaniu tematu z chłopakami doszli bowiem do wspólnego wniosku, że lepiej nie ryzykować otrucia niewinnej osoby. W jednym z listów zostało wspomniane, że prześladowca Wioletki wepchnie jej w gardło czekoladę nasączoną roztworem strychniny.

Adrian poprosił firmę, która odpowiedzialna była za bezpieczeństwo na koncercie, aby podczas spotkania z fanami zwrócili szczególną uwagę na Srebrną Gwiazdkę. Doskonale wiedział, że sami członkowie zespołu nie będą w stanie ochronić jej przed ewentualnym atakiem psychopaty.

W końcu, gdy fani się rozeszli, Wiola z naręczem kwiatów wróciła do przydzielonej jej garderoby. Ku swemu zaskoczeniu na toalecie zobaczyła leżącą zwiędłą wiązankę. Spod niej wystawała turkusowa koperta.

Pewnie od organizatorów – przemknęło przez myśl wokalistce, gdy obejrzała kopertę, na której ktoś wydrukował jej imię oraz nazwisko. Mało kto wiedział bowiem, jak w rzeczywistości się nazywa.

W kopercie był list sporządzony pismem maszynowym. Maszyna była zapewne stara i mocno wyeksploatowana, ponieważ niektóre czcionki wybiły się z cieniem, a litera „w” trochę się wykoślawiła. W taki sam sposób napisane były pozostałe listy od jej prześladowcy – te, które otrzymywała na adres fanklubu. Wiolka przebiegła wzrokiem po kilku liniach tekstu – steku plugawych bzdur napisanych pod jej adresem. Idiotyzmów, które mogły się zrodzić jedynie w chorym umyśle psychopatycznego zboczeńca. Opisów wyuzdanych scen erotycznych, w których ona jest uległą zabawką spełniającą wolę swojego kata. Ukaraną za każde „przewinienie”, a na ostatek i tak brutalnie zamordowaną.

Chciała wyrzucić to paskudztwo, lecz uświadomiła sobie dwie istotne sprawy. Przede wszystkim to nie był jeszcze jeden anonim wysłany na adres fanklubu. Prześladowca wszedł podczas koncertu do garderoby – miejsca, do którego teoretycznie nikt poza nią nie powinien mieć dostępu. Mógł dotykać swoimi obmierzłymi łapskami należących do niej rzeczy. Na samą myśl o tym zrobiło jej się gorąco. A potem ogarnął ją paraliżujący strach. Rozejrzała się nerwowo po

niewielkim pokoju, lecz nie dostrzegła już nic, co mogłoby wzbudzić podejrzenia.

Z kartką w dłoni wybiegła na korytarz i zastukała do sąsiednich drzwi. Mężczyźni przebierali się we wspólnym pomieszczeniu, więc spodziewała się, że zastanie cały zespół w komplecie. Pokazała im list i powiedziała o zwiędłych kwiatach. O ile wcześniej przyszło jej na myśl, że bukiet oklapł z braku wody, to teraz była pewna, że ktoś celowo podrzucił jej wiązanekę w takim stanie.

Adrian przeczytał maszynopis, krzywiąc się z obrzydzenia.

– Fuj! Co za debil mógł wymyślić takie ohydztwa?

– Najgorsze jest to, że ten debil wie już, kim jest Silver – odparł Lorkowski.

Dla ułatwienia sobie życia członkowie zespołu nazywali Wiołkę Silver. Tak było krócej i wygodniej niż Srebrna Gwiazdka.

– Trzeba się dowiedzieć, kto wlaźł do garderoby pod twoją nieobecność – stwierdził Królik.

– Zamknęłaś drzwi przed wyjściem? – upewnił się Adrian.

– Tak. Sprawdziłam nawet, czy rzeczywiście są zamknięte. I po powrocie też zastałam przekręcony zamek.

– To musiał być ktoś tutejszy. Prócz ciebie i obsługi nikt więcej nie ma dostępu do kluczy. Zaraz tam pójde – dodał, wkładając podkoszulek. – Przypuszczam, że twój prześladowca jest człowiekiem stąd. Zapewne pracował przy organizacji koncertu. Może nawet sam zainicjował zaproszenie nas tutaj.

– Tak, to ma sens! – ucieszyła się siostra. – Za moment wyjaśnimy tę sprawę i raz na zawsze pozbędę się dręczyciela.

Koledzy podzielali jej entuzjazm.

– Dobrze, że Marlena dała nam o wszystkim znać – zauważył Tomek. – Pojawiła się w odpowiednim momencie. Dzięki temu obyło się bez nieprzyjemnego elementu zaskoczenia.

Czym prędzej poszukali koordynatora imprezy. Poprosili o chwilę rozmowy, z której niewiele wyniknęło. Okazało się

także, że dostęp do kluczy był banalnie łatwy. Wiele osób mogło z nich skorzystać, gdyż wisiały na portierni, a portiera po prostu nie było. Mężczyzna prosił, by mimo wszystko nie zgłaszali zdarzenia na policji. Nie dowierzał, aby prześladowca należał do ekipy obsługującej koncert. Usiłował nawet obrócić sprawę w jakiś niesmaczny żart. Proponował członkom zespołu spokojne udanie się na nocleg do hotelu. Przepraszał za wszystkie nieprzyjemności i prosił, żeby cała sprawa została zapomniana.

Wrócili na naradę do męskiej garderoby.

– Chyba faktycznie nie ma sensu angażowanie w to policji. Przez cały czas łąziło tutaj mnóstwo ludzi i mogę się założyć, że nikt niczego nie widział – westchnął zrezygnowany Adek.

– Słusznie. Uważam, że to tylko niepotrzebny kłopot. Zrobiło się bardzo późno. Padam na twarz ze zmęczenia. Mam za sobą dzień pełen wrażeń i nie czuję się na siłach, żeby składać zeznania przed jakimś lokalnym aspirantem. Jesteśmy na końcu Polski. Nie wyobrażam sobie, że miałabym przyjeżdżać tutaj na kolejne przesłuchania czy coś. Za daleko. Mogłoby się też okazać, że musimy zabawić w tej dziurze jeszcze kilka dni albo ciągle wracać w to cholerne miejsce. To zbędne zawracanie głowy.

– Wiolka! To chyba nie jest dobry pomysł, żebyś odpuściła. Wszystko wskazuje na to, że jesteś blisko złapania tego zboka.

– Król miał inne zdanie na ten temat. – Ja na twoim miejscu próbowałbym go teraz przyskrzynieć. Zgłoś sprawę i niech policja się tym zajmuje. Wszystko wskazuje na to, że koleś jest z tego terenu, więc sprawa powinna być do załatwienia.

– No nie wiem. – Dziewczyna pozostała sceptyczna. – Moim zdaniem powinniśmy odpuścić. Za dużo kłopotu. Policja i tak go nie złapie. Jutro nas tu nie będzie.

– Dzisiaj – oznajmił Adrian, zerkając na zegarek. – Jeśli nie zamierzasz tego zgłaszać, powinniśmy natychmiast wyruszyć.

– A nocleg?

– Prześpijemy się w Sejnach. Skoro jutro tam gramy, możemy od razu jechać na miejsce. Myślę, że nie będzie problemu z kwaterą. Zawsze znajdzie się jakiś pensjonat, na wypadek gdyby nie było miejsca w tym, który mamy zarezerwowany na jutro.

– Dobra – westchnęła dziewczyna. – Masz rację. Zwijajmy się stąd jak najszybciej. Nie podoba mi się to miejsce. Jestem już wykończona.



Dwa dni później grali ostatni lipcowy koncert w małej miejscowości nieopodal granicy z Litwą. I właśnie tam doszło do kolejnego paskudnego incydentu. Ktoś rzucił na scenę zawiniątko, z którego wysypały się obrzydliwe larwy. Robaki wprawdzie szybko posprzątano i muzycy mogli kontynuować imprezę, lecz cały zespół nie miał wątpliwości, że za „upominkiem” stoi ten sam osobnik, który podrzucił Wiolece kwiaty oraz list. Także i teraz zamierzali zrezygnować z noclegu. Mimo bardzo późnej pory zespół chciał wyruszyć w kierunku Krakowa i przespać się gdzieś w drodze, lecz jak na złość, gdy przyszedli do samochodu, zauważyli, że wszystkie koła mają przebite opony. Tego nie mogli puścić płazem i złożyli zawiadomienie na policję. Stracili pół nocy na składanie zeznań.

Wrócili do hotelu nieładnie zmęczeni i w podłych nastrojach. Ze względów bezpieczeństwa postanowili, że Adrian będzie spał w pokoju razem z Wioletką, choć w tej sytuacji trudno było mówić o relaksie. Żadne z nich nie było w stanie choćby zmrużyć oka, gdy zboczeniec deptał im po piętach. Próbowali złapać przynajmniej chwilę snu, lecz i tak nie zdołali wypocząć.

Do białego rana dyskutowali o tym, co się wydarzyło, i próbowali przewidzieć dalsze kroki prześladowcy.

– Jak dobrze, że to już koniec tej trasy. Chyba ciążyła nad nią jakaś klątwa – stwierdził Adrian, moszcząc się na fotelu.

– Po prostu pech – powiedziała siostra z zadziwiającym spokojem.

– Ty się nie boisz? – wyraził zdziwienie.

– Boję się. Każdy by się bał. Ale przecież nie siądę na ulicy i nie zacznę rwać włosów z głowy.

– Słusznie. Musimy zachować spokój. Właściwie nie wiadomo, o co naprawdę chodzi temu człowiekowi. I jak daleko gotów się posunąć. Mam nadzieję, że te anonimy to tylko czcze pogrożki – stwierdził grobowym głosem.

– Wątpię. On jest coraz odważniejszy. Podchodzi stanowczo zbyt blisko. Robale, upominki, pocięte opony... Co jeszcze? Może powinnam wycofać się z zespołu?

– Nie! Wiolka! Nie wygłupiaj się! Chcesz odpuścić z powodu jednego psychola? Zobaczysz, że policja złapie tego człowieka lada moment!

– A jeśli on wcześniej mnie dorwie i zrobi coś strasznego? – Jej głos nadal nawet nie drgnął strachem.

– Nie dopuścimy do tego, aby coś ci się przydarzyło. Będę nad tobą czuwał. Nie możesz nas zostawić. Silver Star bez ciebie? – Pokręcił głową. – To po prostu niemożliwe!

– Daj spokój. Poradzilibyście sobie. Ja tylko śpiewam. Każdy z was może to robić prócz gry na instrumencie. Nie jestem niezastąpiona.

– Owszem, jesteś! Wiolka, nie łam się. Wracamy do domu. Odpoczniesz kilka dni, ochłoniesz, a w czwartek wyruszymy w kolejną trasę. Dzwoniłem do Marleny, żeby przycisnęła organizatorów poszczególnych imprez w sprawie lepszej ochrony. Zapewniła mnie, że dopilnuje twojego bezpieczeństwa. Nie możesz się tak łatwo poddać!

- Okej, pomyślę jeszcze – odparła, ziewając.
- Przez chwilę wierciła się w pościeli, szukając dogodnej pozycji.
- Ty się nie kładziesz? – zagadnęła brata.
- Nie. Odeśpię po drodze. Jutro Lorek siada za kółko.
- Taa... O ile ktoś załata nam dziury w oponach. Może być z tym problem.



Nazajutrz wypadła niedziela i wszystkie zakłady wulkanizacyjne były nieczynne, co spotęgowało złe humory gwiazd. Wszystko wskazywało na to, że muszą zostać w tym miejscu jeszcze jeden dzień. Bardzo tego nie chcieli. Wiola była skrajnie przerażona i marzyła o powrocie do swojego ukochanego, bezpiecznego mieszkania na alei Róż. Tęskniła także za tatą oraz dziadkami. Przebywanie z nimi zawsze przynosiło dziewczynie ukojenie. Potrzebowała teraz ich towarzystwa jak niczego innego. Z dala od brudu, który zaczął ją oblepiać.

Na szczęście Adrian znalazł prywatny przydomowy warsztat, którego właściciel zgodził się wykonać usługę ekspresowo. Gdy usłyszał, że chodzi o zespół Silver Star, odmówił nawet przyjęcia zapłaty za naprawę. Stwierdził, że jest wielkim fanem kapeli i choć tak chciałby zatrzeć nieprzyjemne wrażenie, jakie wywarł na nich pobyt na Suwalszczyźnie. Nie wzbraniał się jednak przed przyjęciem kilku plakatów oraz płyt, które oczywiście wszyscy dla niego podpisali.

– Kamień spadł mi z serca – stwierdził Adrian, lokując się obok Lorca, który usiadł za kierownicą furgonetki. – Nie uśmiechało mi się pozostawanie tutaj na kolejną noc. W drogę!

[\[11\]](#) Fragment utworu *Wampir z Bytomia* – słowa: Kazik Staszewski, muzyka: Jacek Kufirski, wykonanie: Kazik Staszewski – album solowy, płyta *Spalaj się!*, Wydawnictwo Muzyczne Eska 1993 r.

[\[12\]](#) Fragment piosenki *Upał*, słowa: Kazik Staszewski, muzyka: J. Kufirski.

Rozdział 6



Niebezpieczne zabawy

*Pieniądze przecież leżą na ulicy
Tylko schyl się i zbieraj, znaczy miej dobre pomysły
Dobre pomysły są najbardziej banalne
Co jest nielegalne, jest bardziej opłacalne*[\[13\]](#)

– O święty Jacku z pierogami – jęczała Sabina, wachlując się gazetą. – Kiedyż skończy się ten upał?

Gosia nie odpowiedziała, ponieważ nie uważała za konieczne wysilanie się na konwersację o pogodzie. Ostatnio w ogóle nie chciało jej się gadać z babcią, która pochłonięta była wyłącznie jedzeniem i niedogodnościami związanymi z aurą. Tak, jakby cały świat skupiał się wyłącznie wokół tych dwóch kwestii. Nie dało się z nią porozmawiać o niczym innym. Nie to, co z panem Bolkiem, który wciąż żartował, opowiadał o różnych ciekawych sprawach i interesował się problemami nastolatki.

Tego dnia babcia była niemożliwa. Złościła się o niezjedzony obiad. Stała nad wnuczką jak sęp, czekając, aż ta opróżni talerz. A Małgorzacie jedzenie po prostu rosło w ustach. Choćby chciała, nie była w stanie nic w siebie wcisnąć. Nawet mając

w głowie myśl, że potem może zwrócić nadmiar do klozetu. Było po prostu zbyt ciepło, by męczyć się z mielonymi kotletami i ciężkim, zawiesistym sosem.

W końcu rozdrażniona dziewczyna rzuciła z brzdękiem widelec na stół i, spoglądając hardo w oczy Sabiny, powiedziała, że ma dość. I że zaraz pójdzie rzygać. I w ogóle już dawno obmierzła jej ta tłusta, tuczająca kuchnia, smród oleju oraz przypalonej bułki tartej.

– W dupie ci się przewraca! – zdenerwowała się opiekunka. – Czekaj, czekaj! Niech no tylko matka lub ojciec po ciebie przyjadą! Już ja im powiem, jakie z ciebie rozwydrzone dziewczuszyko i jak mi ostatnio ciągle pyszczysz! – zagroziła w akcie desperacji.

– A mów sobie, mów – odcięła się smarkula.

Miała już po dziurki w nosie tej głupiej nadopiekuńczości i nudy. Tak sobie ostatnio wymyśliła, że jak będzie niegrzeczna i zacznie opryskliwie odpowiadać, to babcia nie będzie już chciała się nią zajmować. A wtedy będzie mogła zostawać w domu.

Oczywiście Sabina nie omieszkała wieczorem poutyskiwać do syna:

– Nie do pomyślenia, co się dzieje z tą dziewczuchą!

– Cielęcy wiek, mamó. Zaczyna dojrzewać, wydaje jej się, że jest najważniejsza. Tak to już jest z nastolatkami.

– Nie byłoby tego, gdyby Andzia poświęciła jej trochę więcej czasu. Bo do matki dziecko zawsze ma większy respekt, a do babci nie. Czy twoja żona naprawdę musi całymi dniami gonić? Nie mogłaby se w końcu siąść na dupie i zająć się domem? Kto to widział, żeby baba tak zaniedbywała rodzinę? Za moich czasów tak nie bywało! – Sabina spojrzała z wyrzutem na syna.

– Oj mamuś. A dajże spokój. Wiesz, jaka jest Andzia. Atelier to cały jej żywot.

– Cały żywot, też coś! Całym żywotem kobiety powinien być

maż, dzieciaki i dom. Co z niej za kobieta? Urodziła jedno i dosyć na tym? Kto to widział, by chować w domu jedynaczkę? Przecież to niezdrowo dla Gośki, bo się robi z niej rozkapryszony pępek świata. Ciągłe na wszystko kręci nosem. Nic jej się nie podoba. Tego nie zje, tamtego też nie. Wiecznie toto znudzone i ziewające. Powinna mieć rodzeństwo. Miałyby się z kim bawić – wysunęła niezbyt rozsądny argument. Gdyby teraz synowa powiła drugiego potomka, między dziećmi byłaby zbyt duża różnica wieku, by mogły mieć ze sobą wspólne sprawy. Zaraz więc się poprawiła: – Nie byłaby wtedy taka rozkapryszona. A i mogłaby popilnować czasami maleństwa. Nauczyłyby się wtedy troszczyć o innych, a nie tylko o siebie. Bo ostatnio ciągle słyhać tylko: ja i ja, i ja! A ja już jestem zmęczona tym wszystkim! Człowiek się nadrepcze na obolałych nogach, nastoi przy garach, a to tylko nos zmarszczy i powie, że nie zje kotleta. Kotleta! – powiedziała z naciskiem. – Dasz wiarę? Ino by cukierkami żyła albo powietrzem! Tyś widział, jakie to się z niej zrobiło chuchro? – nadawała bez chwili przerwy, choć Paweł też chciał wtrącić do rozmowy swoje trzy grosze. – Blade, wyschnięte i wiecznie zblazowane.

– Obiecuję, mamó, że omówię ten temat z Andzią – zapewnił syn, zezując na córkę.

Nastolatka w tym samym czasie oglądała w telewizji zagraniczny kanał muzyczny, który można było odbierać wyłącznie dzięki antenie satelitarnej. Jakiś czas temu ojciec spełnił zachciankę Gośki i kupił, a następnie zainstalował w mieszkaniu Sabiny odpowiedni sprzęt. Wszystko po to, by jedynaczka nie kręciła nosem i nie narzekała na nudę. Niekiedy Paweł odnosił wrażenie, że młoda stanowi zadziwiającą mieszaninę egoistki z ofermą. W ogóle nie wzruszyły jej słowa babci. Nawet nie próbowała powiedzieć nic na swoją obronę.

Mężczyzna pokręcił głową z niedowierzaniem. *A po kimże wyrosło z tego takie ciele?* Ani to do tańca, ani do rózańca –

stwierdził zaskoczony. Pierwszy raz od niepamiętnych czasów spojrział z uwagą na dziewczynę. Zauważył sterczące nieładnie obojczyki, kościste ramiona i patykowate kończyny. *Wyrosła nader szybko, to i schudła* – przeszło mu przez myśl, lecz czuł, że coś jest na rzeczy. Niemożliwe bowiem, by z ładnej, pulchniutkiej dziewczynki wyrosła taka szkarada. Bo teraz nie dość, że wyglądała jak przerośnięty pająk, to jeszcze i na buzi zbrzydła. Od bladej cery mocno odcinały się piegi. Duże, szare, mocno podkrążone oczy spoglądały na świat z jakąś dziwną niechęcią. Nos Gosi był zdecydowanie zbyt długi. Jej włosy w mysim kolorze: ni to rudym, ni płowym, stroszyły się niczym druty – sztywne, niepokorne, a na domiar złego cienkie i łamliwe. Nastolatka nosiła fryzurę na pazia. Często wiązała swe niepozorne kosmyki w żalostną kitkę i odsłaniała tym samym wysokie, wypukłe czoło obsypane krostami trądziku. W niczym nie przypominała ani Szymczaków: smagłych, ciemnookich i ciemnowłosych, ani tym bardziej Andzi, która urzekła Pawła urodą. Do tej pory żona swą wdzięczną buzią i apetycznymi krągłościami przywodziła na myśl maślaną bułeczkę. Córka wyglądała przy niej jak wyschnięty ułomek razowego chleba.



– Andziu, musimy inaczej zorganizować nasze życie – oznajmił żonie po powrocie do domu.

Córka od razu poszła do swojego pokoju i tam się zamknęła. Nawet był temu rad, wolał, by nie uczestniczyła w tej delikatnej rozmowie. Na pewno było jej u babci przykro. Nie wierzył, że faktycznie zdolna jest do tego, aby być opryskliwą, gdyż na nim zawsze sprawiała wrażenie cielątka, które wszystko przyjmuje z pokorą.

Połowica leżała na kanapie w salonie, oglądając jakiś film lecący z magnetowidu.

– A co z naszym życiem jest nie tak, że chcesz je zmieniać? – powiedziała, nawet nie odwracając głowy.

– Trzeba trochę ulżyć babci. Nie ma już tyle sił co kiedyś, żeby zajmować się Gosią – oznajmił dyplomatycznie.

– Ale cóż to za zajmowanie się? – wyraziła zdziwienie. – To raczej Małgonia dotrzymuje jej towarzystwa, więc powinna się cieszyć, że nie jest sama. Przynajmniej nie powie, że na stare lata wszyscyśmy się od niej odsunęli. Wystarczy, że Danka uciekła na drugi koniec Krakowa. My też ciągle jesteśmy zapracowani. Takie czasy, że trzeba coś robić, by godnie żyć. Przecież ja nie zrezygnuję z atelier, żeby niańczyć teściową. Nie mogę też dla jej fanaberii spuścić z oczu tych nierobów. France tylko patrzą, żeby się opierniczać – westchnęła ciężko. – Zrobię sobie dzień luzu, to zaraz robota stanie. A i w niedzielę trzeba zajrzeć na Tandetę, bo jak się człowiek pokaże na stoisku, to zaraz handel lepiej idzie i utarg jest lepszy.

– Ale nie chodzi o to, żeby dotrzymywać mamie towarzystwa – zdenerwował się Paweł – lecz o to, że przy Goście przybywa jej obowiązków. Bo i prania więcej, i gotowania. A i Gosia ostatnio zrobiła się opryskliwa. Może czas, by zaczęła zostawać sama w domu? Przecież to już duża dziewczucha. Zaczyna się buntować, jak to nastolatka.

– Też coś! – Andzia wcisnęła przycisk „Stop” na pilocie i zaczęła się gramolić, by usiąść. Z oglądania filmu i tak na razie nici. – To chyba dobrze, że nie rośnie z niej cielę i nie da sobie w kaszę dmuchać?

– Sprzeczałbym się. Jak mama się na nią skarżyła, to nawet nie pisnęła.

– Bo ułożona jak należy. Dobrze ją wychowaliśmy. A twoja matka pewnie przesadza.

– Nie sędzę. Ona jest chyba zmęczona tym wszystkim. Gośka

to duża dziewczyna i, według mnie, nie potrzebuje ciągłego nadzoru. Ja w jej wieku nie raz siedziałem sam, na dodatek niańcząc Danke.

– Ach, bo to były inne czasy! Ale ja nie pozwolę, aby moje rodzone dziecko siedziało samotnie. A co, jeśli stanie jej się jakaś krzywda? Niechże mama nie przesadza, bo Małgonia nie jest maleńkim dzidziusiem, przy którym trzeba mieć oczy dookoła głowy. Biedactwo nudziłoby się w domu długie godziny, a tak jest pod okiem babci, która i dogładnie, by nie była głodna, i zagada, by jej nie było przykro. A i koleżanki też ma w Centrum jakieś lepsze niż tutaj. Bo tu jest tylko Julita od tej mały, co robi u mnie w atelier. Albo nie tyle robi, co baki zbija – zachnęła się Andzia.



W tym samym czasie, gdy rodzice sprzeczali się, czy ich córka powinna mieć odrobinę więcej swobody i jak dużym ryzykiem byłoby pozwolenie na to, aby ostatni tydzień wakacji spędziła we własnym mieszkaniu, sprawczyni zamieszania leżała w łóżku, oglądając nagranie z kasety wideo, którą pożyczył jej pan Bolesław.

Kiedy przed dwoma dniami włączyła ją po raz pierwszy, przeżyła prawdziwy szok. Chciała wyłączyć film i zwrócić taśmę sąsiadowi babci, ponieważ przyszło jej na myśl, że po prostu się pomylił. Potem jednak przypomniała sobie ich rozmowę i zrozumiała, o co mu chodziło.

Teraz w każdej wolnej chwili z wypiekami na twarzy patrzyła na ekran telewizora. Na szczęście odbiornik ustawiony był na tej samej ścianie co drzwi, więc osoba zaglądająca do jej pokoju nie mogła od razu zauważyć, co jest wyświetlane. I dobrze, gdyż to dawało Małgosi czas na przeskoczenie pilotem na inny kanał.

Przypuszczała bowiem, że mama i tato nie byliby zachwyceni, wiedząc, jaka treść dostała się w ręce ich córki.

Dziwnie było spoglądać na kolejne skąpo odziane panie, które obnażały się przed kamerą, ukazując dokładnie wszystkie intymne części ciała. O budowie człowieka Gośka uczyła się już wcześniej, na lekcjach biologii. Wiedziała, skąd się biorą dzieci. Słyszała także dość od rówieśników o masturbacji i innych sprośnościach. Czasami koledzy przynosili do szkoły jakiś „świerszczyk” i na przerwach między lekcjami oglądali gołe baby. Koleżanki podczytywały książki należące do starszych sióstr lub rodziców i także zdarzało się, że jak w ich ręce wpadał jakiś gorący kąsek, to przemycały go do szkoły, by podzielić się nim z koleżankami. Kiedyś na dużej przerwie Julita czytała półgłosem fragment, a dziewczyny zachłannie słuchały, nawet tego nie komentując. Ale gdy koleżanka przerwała czytanie, to z miejsca zaczęły się ustawiać w kolejce do wypożyczenia powieści *Wyznania chińskiej kurtyzany*. Podobnie było z osławionymi *Pamiętnikami Fanny Hill*. Ale żeby któreś z nich oglądało prawdziwy film pornograficzny? Nie, o tym nigdy nie słyszała.

I choć jedna część natury podpowiadała, że powinna zwrócić tę taśmę panu Sadzidło, a najlepiej jeszcze opowiedzieć o wszystkim ojcu, to jakiś inny głos w jej głowie mówił, aby tego nie robiła. Oglądała więc, choć za każdym razem czuła dziwaczne mrowienie w podbrzuszu, jakby chciało jej się skorzystać z toalety. Ale gdy już szła do ubikacji, to wcale nie robiła siku. Czasami miała ochotę dotknąć się tam, na dole, tak jak te panie nagrane na kasecie.



Nazajutrz, ku przyjemnemu zaskoczeniu Małgosi, rodzice nie

odwieźli jej do babci. Oznajmili, że może zostać w mieszkaniu sama, ale musi przystać na pewne warunki. Po pierwsze nie wolno jej wpuszczać absolutnie nikogo obcego. Po drugie jeśli chciałyby wyjść na podwórko, to ma bardzo dokładnie zamknąć drzwi, choć najlepiej byłoby, gdyby w ogóle nie opuszczała mieszkania. Jak już koniecznie musi, to niech sobie zaprosi Julitę. Ale tylko ją. I ma nawet na moment nie zostawiać jej samej. A gdyby cokolwiek się działo, to natychmiast ma dzwonić albo do atelier, albo do tatusia na telefon komórkowy. Choć lepiej będzie, jeśli zadzwoni do mamy, bo na komórkę jest bardzo drogo. Poza tym mówili jeszcze o tym, co zostawiają jej do odgrzania w mikrofalówce na obiad. I że ma udowodnić im w ten sposób swoją odpowiedzialność. Jeżeli zawiedzie – resztę wakacji spędzi u babci, nie wracając do domu nawet na noc, bo to będzie oznaczało, że jest jeszcze malutką dziewczynką, która wymaga stałej opieki.

Nie ma takiej możliwości, bym spędziła tam choćby jedną noc – stwierdziła Małgośka. Choć kochała babcię na swój sposób, to jednak nie lubiła spędzać z nią zbyt dużo czasu. Nie znosiła jej mieszkania, które mimo przestronnej kuchni było dość ciasne i niemiłosiernie zagracone. Babcia nie lubiła pozbywać się starych rzeczy, choć Paweł nie raz prosił, by wyrzuciła jakiś rupieć, a wtedy on sprawi jej coś nowego. Ona upierała się, że nie i już. Bo on ma własne wydatki, a jej, starej, nic już nie potrzeba do szczęścia. Byle brzuch był napełniony. Tak więc straszła u babci stara meblościanka politurowana na wysoki połysk. Okropny mebel, na którym widać było każdy odbity palec i dlatego wciąż trzeba było polerować go szmatkami z flaneli. Fotele miały obrzydliwą rdzawą tapicerkę. Do tego ta straszna wersalka, całkowicie już wyleżana, z powygniatanymi sprężynami. Pewnie jeszcze pamiętająca czasy świętej pamięci dziadka Andrzeja, który zmarł kilka dni po tym, jak urodziła się ciocia Danusia. Czyli bardzo, bardzo dawno temu. No i jeszcze

stół, którego blat był w jednym miejscu dziwnie zmatowiały. Babcia zawsze nakrywała go starymi obrusami z lnu, ale Gosia i tak wiedziała, że pod nimi jest brzydki. Nad wersalką wisiało monidło, na którym widać było babcię i jej męża. Gdy Gosia była małą dziewczynką, to myślała, że obrazek przedstawia portret ślubny taty z jakąś obcą kobietą. Dopiero potem wyjaśniono jej, że ten mężczyzna to dziadek. Babcia często zarzekała się, że wyrzuci to straszdyło ze ściany, ale jakoś tego nie robiła. Może tęskniła za mężem, którego teraz do złudzenia przypominał jej syn? A może po prostu nie robiła tego, bo jej się nie chciało? Tak czy owak portret wciąż tam wisiał, niczym echo przeszłości. Pasował do dusznego mieszkania, w którym skumulowały się zatęchłe zapachy minionych lat.

I co? Miałaby pójść tam na wygnanie z własnej, nieprzymuszonej woli? Miałaby dać się przyłapać rodzicom na jakimś głupstwie, by potem zmarnować sobie ostatni tydzień wakacji przez utknięcie w tym okropnym skansenie?

Nie! Nic z tego!

Nie wpuści do domu żadnych obcych. Nie będzie w ogóle wychodziła, a jak już, to starannie poprzekręca zamki w drzwiach. Wyrzuci jedzenie do muszli albo nakarmi nim wiecznie głodną Julitę, by rodzice pomyśleli, że wszystko grzecznie zjadła. Będzie trzymała się z dala od gazu. I w ogóle będzie bardzo, bardzo ostrożna. Ale Julitę oczywiście zaprosi – choćby przez okno, bo Małkowie nie posiadali aparatu telefonicznego – aby pochwalić się kasetą od Sadzidły.

Taka kasetka to prawdziwy rarytas! To nie książka z naderwaną i wybrudzoną okładką, która przeszła przez dziesiątki rąk. To nie czasopismo ze sprośnymi fotkami ani erotyk, który późną nocą można obejrzeć z anteny satelitarnej na kanale RTL. Bo na filmach w telewizji niewiele widać. Ot, trochę golizny i parę stęknień. Całość tak pokazana, jakby para kochanków uprawiała zapasy.

Dziewczęta z wypiekami na twarzy spoglądały na ekran.

– Ojej! Przecież to musi okropnie boleć – stwierdziła Gosia, widząc, jak aktorka wkłada sobie w intymne miejsca wibrator.

– No. Na pewno! Jak można sobie tam cokolwiek włożyć? – zdziwiła się Julita.

– Ja to nigdy nie mogłabym uprawiać seksu.

– Ja też nie – stwierdziła zgodnie koleżanka. Spojrzały po sobie z niepewnymi minami. Obydwie czuły się dość dziwnie, ale nie wyłączyły kasety. Ciekawe były wszystkiego, choć Gosia wiedziała, że niewiele więcej zobaczy. Jeszcze trochę podrygów z tym cackiem pomiędzy nogami, trochę stęknęć i tyle.

– Nie wygląda, jakby ją bolało, choć jęczy – powiedziała po chwili Julita.

– No. Ma taką minę jak moja mama, gdy interesy jej dobrze wychodzą.



Ostatnie dni wakacji minęły Gosi nad wyraz przyjemnie. Rodzice pozwolili jej spędzić ten czas w domu, nadmieniając jednakże, że w trakcie roku szkolnego będzie musiała koniecznie zaglądać do babci przynajmniej dwa razy na tydzień. Już nie po to, by siedzieć tam całe popołudnia, lecz dla sprawienia przyjemności samotnej kobiecie.

– Jeszcze gotowa się obrazić – utyskiwała Andzia.

A ponieważ słowa krytyki ze strony teściowej mocno rozsierdziły synową, w duchu poprzysięgła sobie koniec dobroci. Już nie poczuwała się do obowiązku zaopatrywania Sabiny w żywność. Wszak Małgorzata nie jadła tam teraz posiłków, niech więc mama sama sobie robi zakupy.

Gosia na ogół jeździła do babci tramwajem, choć zdarzało się,

że tato ją tam podrzucał albo, częściej, przyjeżdżał po córkę, gdy wracał do Mistrzejowic po całym dniu robienia różnych interesów. Znosił wtedy matce sprawunki, które z reguły wystarczały Sabinie na kilka dni. Troszczył się o nią, ponieważ ostatnio wciąż narzekała na bolące nogi i trudności z wchodzeniem po schodach na piętro. Wnoszenie siatki ze sprawunkami stanowiło dla niej prawdziwą uciążliwość. Na dodatek większość emerytury musiała wydawać na leki i z tego powodu ledwo wiązała koniec z końcem. Gdyby nie pomoc ukochanego synusia, to pewnie umarłaby z głodu. Albo wyrzucono by ją na bruk za nieopłacony czynsz i inne rachunki. Albo musiałaby sobie odmówić wykupienia recept, a jak tu żyć, gdy człowiekowi wciąż coś doskwiera?

A ta franca, Danką (w kogo się toto wdało?), musiała wynieść się aż tak daleko! Nic pożytku dla starej matki!

Gosia miała teraz znacznie mniej możliwości, aby zaglądać do państwa Sadzidłów, a raczej do pana Bolka. Chciała mu zwrócić kasetę. Kiedy w końcu tam dotarła, mężczyzna bardzo ucieszył się na jej widok. Zaprosił ją, by jak zwykle usiadła obok niego na wersalce. Poczęstował nastolatkę herbatnikami i pogłaskał po udzie. A że akurat nie było w domu żony, zagadnął o nagranie.

– No i jak? Obejrzałaś sobie?

– Tak.

– Nie musiałaś spieszyć się ze zwrotem kasety. Mam jeszcze inne. Mogłaś pokazać to jakiejś fajnej koleżance.

– Tak właśnie zrobiłam – odparła. Czowała się teraz trochę nieswojo w towarzystwie pana Bolka. Zastanawiała się nawet, czy gdy on na nią patrzy, to widzi te panie z filmu. Po jej plecach przeskokczył dziwny dreszcz.

– No i bardzo dobrze. I jak? Podobało jej się? – zapytał.

– W sumie chyba tak.

Zasadniczo żadna z nich nie przyznałaby tego na głos, lecz

w ostatnim tygodniu sierpnia obejrzały film kilkakrotnie, za każdym razem dociekając, czy to, co robiły sobie tamte kobiety, jest bolesne. Obydwie odczuły nawet pokusę, aby się o tym przekonać. Przed czynami powstrzymywał je strach i wstyd. Dorastały bowiem w przekonaniu, że takich rzeczy nie wolno robić pod żadnym pozorem.

– No to przyjdź kiedyś do mnie z koleżanką. Dam jej czekoladę. – Puścił oko do nastolatki. – Tobie pewnie nie brakuje słodyczy w domu, co? Baśka będzie chodziła teraz na zabiegi rehabilitacyjne. Możecie więc śmiało zaglądać popołudniami, pogadamy sobie spokojnie i pożyczę wam inne filmy dla dorosłych.



Alosza miał dla Pawła propozycję nowej, jeszcze korzystniejszej współpracy. Rosjanin już od dłuższego czasu mieszkał w Polsce, choć nie zamierzał ubiegać się o obywatelstwo. Porzucił handel na Tomeksie, gdyż przestał mu się kalkulować. Były lepsze sposoby na zarobienie pieniędzy. Wprawdzie nieco ryzykowne, ale jakże popłatne! Zresztą jak za człowiekiem stali odpowiedni ludzie, to z każdego tarapatów dało się wykaraskać. Taki gliniarz też człowiek. Na ogół ma żonę i dzieci, on także potrzebuje jakoś wyżyć.

– Oszalałeś? – oburzył się Szymczak, gdy pewnego dnia znajomy złożył mu swoją ofertę. – Przecież za to grozi kryminal.

– Da. Wasz bard o tym śpiewa – zaśmiał się Iwanowicz, a następnie zanucił fałszywie bardzo popularną piosenkę. – „Pięć lat za posiadanie, dziesięć używanie”^[14].

Co jest nielegalne, jest bardziej opłacalne. – Paweł z miejsca przypomniał sobie wcześniejszy wers utworu, lecz pominął go milczeniem.

Trzy dni później siedział na ławce w pobliżu Zespołu Szkół Mechanicznych z trefnym towarem w kieszeni. Trochę się denerwował, lecz Alosza uspokajał go, że nie ma się czego bać. Nie wzbudzał szczególnego zainteresowania ze strony nauczycieli. Był znacznie starszy od innych dilerów. Wyglądał raczej jak rodzic oczekujący na ucznia. Dla niepoznaki miał przy sobie gazetę, którą ostentacyjnie przeglądał. W tym czasie na stoisku z jeansem urzędował jego pracownik.

Towar poszedł zadziwiająco szybko.

W ciągu kilku godzin Paweł zarobił więcej niż po całym tygodniu handlowania na bazarze. Nie dał się długo namawiać na rozprowadzenie kolejnej partii cracku.



Zespół Silver Star kończył właśnie ostatnią letnią trasę koncertową. Za kilka dni rozpoczynały się wykłady i, zgodnie z zapowiedziami lidera, członkowie grupy nie umawiali się na razie na żadne występy, choć brali pod uwagę możliwość pokazania się na jakiejś zabawie andrzejkowej lub sylwestrowej. Zwłaszcza że stawki za takie terminy były naprawdę kuszące.

Ze zdarzeniami, do których doszło na Suwalszczyźnie, wiązało się sporo niedogodności, ponieważ musieli jeszcze dwukrotnie fatygować się na drugi koniec kraju celem składania jakichś zeznań.

Nie dali się zastraszyć prześladowcy i mimo pogroźek pod adresem wokalistki przebrnęli przez wszystkie zaplanowane koncerty, wykorzystując przy tym maksimum środków ostrożności. Już nie korzystali z noclegów rezerwowanych przez organizatorów lokalnych, tylko zaraz po zakończeniu swojej pracy wyruszali w dalszą podróż. Nigdy nie sypiali w tych

miejsowościach, w których grali, lecz zatrzymywali się gdzieś w połowie drogi pomiędzy jednym a drugim punktem. Gdy przemieszczali się w kolejne miejsca, z uwagą zerkali w lusterka wsteczne, by sprawdzić, czy nikt za nimi nie podąża. Od organizatorów imprez domagali się, by zawsze wtedy, gdy są na estradzie, ich samochodu pilnował konkretny człowiek, który będzie ponosił pełną odpowiedzialność za jego stan. Ta daleko posunięta ostrożność pozwoliła im zapewne uniknąć kolejnych incydentów z przebitymi oponami, nie musieli także drżeć o swoje bezpieczeństwo w porze snu.

Wiedzieli jednak, że prześladowca Srebrnej Gwiazdki podąża w ślad za nimi albo nawet ich wyprzedza, gdyż na adres fanklubu wciąż napływała anonimowa korespondencja z odrażającą treścią.

Pawłowska z ulgą powitała definitywny koniec tegorocznej trasy koncertowej. W Nowej Hucie była całkowicie wolna od swego dręczyciela. A ponieważ policja prowadziła tę sprawę od dwóch miesięcy, złapanie zbrojcy stało się kwestią czasu.

Kraków powitał ich nerwową atmosferą. Od kilku dni mieszkańców terroryzował niezidentyfikowany sprawca, który określał się mianem Gumisia. Mężczyzna ten, dzwoniąc do „Gazety Krakowskiej”, informował o podłożonych w różnych punktach miasta ładunkach wybuchowych. W zamian za zaprzestanie procederu domagał się niebagatelnego okupu.

– Świat jest pełen wariatów – westchnęła Wioletta, słuchając relacji dziadka o ewakuacji Dworca Głównego, a kilka dni później kilku krakowskich kościołów.

Pominęła milczeniem swojego prywatnego wariata. Nie chciała przysparzać dziadkom zmartwień.



Koniec lata stanowił doskonałą okazję do tego, by członkowie zespołu Silver Star też się wreszcie zabawili i oderwali myśli od szaleństwa ostatnich tygodni. Prócz stałego składu zespół miał jeszcze kilku wynajętych tancerzy oraz dziewczyny śpiewające jako chórek. Należało wziąć również pod uwagę chłopaków, którzy odpowiadali za sprzęt i oświetlenie, oraz impresaria. A jak do tego doliczyli osoby towarzyszące oraz jakichś przyjaciół i ludzi, którzy przyczynili się do sukcesu grupy, to nagle okazało się, że może być kilkadziesiąt osób, co zupełnie przeczyło pierwotnej idei zorganizowania kameralnej prywatki. Zwłaszcza że w pewnym momencie na listę gości trafili także przedstawiciele prasy kolorowej oraz reporter jednej z liczących się rozgłośni radiowych.

– A miało to być nasze prywatne święto – westchnęła Wioletta, pochylając się nad planem imprezy.

– Nie da się inaczej – tłumaczył Adrian siostrze. – Kameralnie możemy świętować tylko z okazji Bożego Narodzenia. Przestaliśmy być anonimowi z chwilą, gdy nasz krążek trafił do pierwszej dziesiątki najlepiej sprzedających się płyt.

– Tak. Od tamtej pory nie ma ani chwili spokoju. Człowiek nie może wyjść po bułki do sklepu, bo wszyscy wlepiają we mnie spojrzenia albo, co gorsza, dopytują, czy to ja jestem Srebrną Gwiazdką.

Tak czy inaczej coś, co miało być kameralnym spotkaniem, urosło do rangi ważnego wydarzenia w show-biznesie. Parę dni po rozmowie z bratem Wiola dopisała do listy zaproszonych gości kilka gwiazd muzyki chodnikowej. Westchnęła, nanosząc setne nazwisko. Ostatnie ustalenia były takie, że zorganizują bankiet połączony z dyskoteką. Członkowie zespołu uznali jednomyślnie, że najrozsądniej będzie, jeśli wynajmą salę w jakimś hotelu.

Trochę martwili się względami bezpieczeństwa, ponieważ nadal na adres fanklubu napływały anonimy. Na domiar złego

miasto sterroryzowane zostało przez Gumisia i zachodziła obawa, czy przestępca nie znajdzie naśladowców, którzy zaczną nękać spokojnych obywateli. Adrian zastanawiał się nawet, czy nie nająć na ten wieczór ochroniarzy, ale Królik i Lorek wybili mu ten pomysł z głowy, tłumacząc, że przecież to będzie impreza z zamkniętą listą gości. I nikt nie czułby się swobodnie, gdyby wszędzie kręcili się panowie z bronią.



Wieczór był zadziwiająco ciepły jak na początek października. Przyjęcie trwało w najlepsze, gdy Wiola wymknęła się z zatłoczonej sali. Było jej gorąco, poza tym chciała choć na chwilę umknąć dość natrętnym adoratorom. Alkohol, który spożywany był w zdecydowanie nadmiernych ilościach, w wielu osobach wyzwał irytującą pewność siebie. Dobrze, że przynajmniej na razie nie pojawiły się prochy. Wiolka wiedziała, że na wielu imprezach z branży można się nieźle naćpać. Ona nie brała narkotyków, budziły w niej wstręt. Dawała sobie radę ze wszystkim bez pomocy dragów. Nie potrzebowała także odlatywać w nierealny świat urojeń. Była osobą wyjątkowo twardo stąpającą po ziemi.

Tego wieczoru niejedyn facet uznał, że może próbować podrywu. Wszystkich bez wyjątku udawało jej się spławić. Było jej przykro, ponieważ Mirosław nie przyjechał na zabawę, choć obiecywał, że dołoży starań, aby wpaść choć na chwilę. Bardzo go o to prosiła, a on wciąż podawał bzdurne wymówki, nie udzielając jednoznacznej odpowiedzi. Nawet nie próbował sensownie wytłumaczyć, co jest tak ważne, że przeszkadza mu w spędzeniu z nią odrobiny czasu. Twierdził, że to nie jest jego klimat i nie czułby się dobrze wśród gwiazdorów. Był tylko skromnym doktorem ekonomii. Nie wykazywał zainteresowania

poznaniem jej przyjaciół i, jak przypuszczała, rodziny również. Tłumaczyła mu, że nie ma racji oraz że na pewno odnalazłby się w gronie bliskich jej osób. Wspomniała, że jej ojciec wykłada w Akademii Górniczo-Hutniczej, lecz i to nie pomogło.

Kiedyś delikatnie zasugerowała, że chciałyby, aby dla odmiany zaprosił ją do siebie. Odparł wtedy, że jego rodzice są bardzo konserwatywnymi ludźmi w podeszłym wieku. Zanim ją przedstawi w rodzinnym domu, on i Wiola powinni pobyć ze sobą jakiś czas i jeszcze lepiej się poznać. Zyskać pewność, że mają przed sobą wspólną przyszłość. Nie mógł przecież robić matce i ojcu nadziei na synową, jeśli sam nie będzie przekonany, czy rzeczywiście spotkał kobietę swojego życia.

Dla Wioletty było to szczególnie bolesne, zważywszy, że ich intymna zażyłość trwała już dobrze ponad dwa miesiące. Ona była pewna swoich uczuć, a z jego słów wynikało, że dręczą go wątpliwości. Gdyby nie kochała go tak bardzo i gdyby w innych aspektach nie był dla niej idealnym mężczyzną, to zapewne uniosłaby się honorem i zerwałaby znajomość. Była to na szczęście jedyna przykrość, jaką jej sprawił, cała reszta pozostawała bez zarzutu.

Mirosław zaglądał do niej mniej więcej dwa razy w tygodniu. Zapraszał ją na obiad lub kawę do Stylowej, później szli na krótki spacer aleją Róż albo do pobliskiego parku Ratuszowego. Większość czasu spędzali w jej mieszkaniu, kochając się do utraty tchu. Owładnął nimi zmysłowy szal, którego nie byli w stanie stłumić.

Dlaczego więc, skoro wszystko tak dobrze się układało i nigdy się nie kłócili, Mirek unikał zacieśniania łączącej ich relacji? Nie przekonywały jej argumenty, że pozostają w stosunku uczeń–nauczyciel i pewne rzeczy po prostu nie powinny mieć miejsca. Wszak byli dorosłymi ludźmi! Oczywiście nie musieli afiszować się na uczelni, ale poza nią nic nie stało na przeszkodzie, by mogli cieszyć się swoim towarzystwem.

Czasami Wioletta odnosiła ulotne wrażenie, że tak naprawdę Mirosław wstydzi się związku z gwiazdą tandetnej muzyki chodnikowej. Nie życzył sobie skandalu, bał się przecieków do prasy. Nie chciał zaistnieć w mediach jako kochanek kogoś takiego jak ona. Poniekąd go rozumiała – każdy ma prawo do prywatności, a upublicznienie ich znajomości na pewno znacząco naruszyłoby intymną sferę życia.

Przez chwilę Wioletta stała samotnie na tarasie przylegającym do sali bankietowej, lecz dokuczał jej wieczorny chłód. Potarła dłońmi obnażone ramiona, które zdążyła już pokryć gęsia skórka. Zrezygnowana rozejrzała się i pomyślała, że może francuskie drzwi prowadzące do sąsiedniej sali bilardowej są otwarte – panował za nimi przyjemny półmrok, a pomieszczenie było puste. Postanowiła to sprawdzić. Ku swej radości dostała się tam bez trudu.



Niełatwo jest się odkochać, gdy obiekt uczuć wciąż przebywa w pobliżu i na domiar złego zawsze wygląda tak atrakcyjnie. Tomasz Lorkowski wciąż jeszcze nie mógł uleczyć złamanego serca. Właściwie nie czuł żalu do Wioletty, że nie chciała umówić się z nim na kolejną randkę. Faktycznie nie miała na to czasu, wciąż pochłaniała ją nauka i praca. Chociaż nie kryła się z tym, że z muzyką chodnikową nie jest jej po drodze, podchodziła do zespołu z pełnym profesjonalizmem. Nie strzelała fochów, gdy nie spodobała się jej jakaś piosenka, znosiła cierpliwie godziny prób, całe tygodnie tras koncertowych i związane z tym niedogodności.

A teraz jeszcze przyplątał się ten cholerny prześladowca!

Na adres fanklubu nieustannie napływały obrzydliwe listy oraz budzące konsternację upominki. Policja niewiele mogła

działać, gdyż wysyłano je z różnych regionów Polski. Z całą pewnością pochodziły od tego samego osobnika: pisane były zawsze na tej samej maszynie. Różniły się kopertami i miejscowościami nadania. Wszystko wskazywało na to, że człowiek ten jest wyjątkowo mobilny. Może był zawodowym kierowcą jeżdżącym po kraju? To by wiele tłumaczyło.

Tomek podziwiał Wiolettę, która podchodziła do tematu zboczeńca ze stoickim spokojem. Owszem, bała się, lecz robiła, co mogła, by nie okazywać lęku. Jej głos nigdy nawet nie drgnął, gdy śpiewała, choć miała świadomość, że wśród falującego przed nią tłumy może być prześladowca. Po wydarzeniach z Suwalszczyzny Adrian wpadł na pomysł, dość sensowny zdaniem Lorkowskiego, by wokaliści udawali przed fanami, że stanowią parę. Od tej pory, gdy wchodzili na scenę, trzymali się za ręce. Nie puszczały swych dłoni także wtedy, gdy śpiewali w duecie. Większość piosenek należała do dziewczyny, lecz mieli także kilka utworów, które Lorek wykonywał solo. Jeśli były to piosenki o zabarwieniu miłosnym, a do takich należała miazdząca większość repertuaru, to zawsze śpiewał, spoglądając na Pawłowską. Trzymał wtedy dłoń na sercu, czasem posyłał sobie całusy. To wszystko było oczywiście na pokaz, gdyż za kulisami wracał dystans stosowny dla koleżeństwa.

Sęk w tym, że on nie udawał czułych gestów, choć starał się, jak mógł, by w oczach zespołu stanowiły teatralne zagrania. W rzeczywistości teatr odstawiał na co dzień, udając kumpla. Próbował wybić sobie z głowy to niefortunne uczucie wszystkimi dostępnymi sposobami. Umawiał się na randki z innymi, zmieniając dziewczyny jak rękawiczki. Nie miał z tym problemu, choć nie należał do szczególnie przystojnych mężczyzn. Sława i pieniądze robiły jednak swoje. Przez łóżko Tomka predefilowały dziesiątki kochanek na jedną lub parę nocy. Brał je bez emocji i bez emocji rzucał. Nie silił się na

delikatność, zaloty, subtelną adorację – w ogóle nie musiał i nawet nie chciał się starać. Również na dzisiejszą imprezę przyszedł z jakąś laską, zdaje się, że nosiła imię Izabela. Była głupiutka i dość naiwna, ale miała ładne ciało i nieźle poczyniała sobie w łóżku. To wystarczyło.

Właśnie zdołał się od niej na moment uwolnić. Tańczyła z Królikiem, który zwykle ochoczo zabawiał jego przyjaciółeczki. Tomasz spostrzegł, że Wioletta wymyka się na zewnątrz. Zmarszczył brwi. Nie powinna nigdzie chodzić samotnie. Tak właściwie nigdy nie było wiadomo, kiedy prześladowca może się znowu pojawić. Tym bardziej że mimo przygotowanej wcześniej listy zaproszonych impreza wymknęła się spod kontroli i pojawiło się na niej sporo obcych ludzi. Lorek przeklinał w duchu samego siebie, ponieważ osobiście odradzał Adrianowi wynajęcie ochrony fizycznej na tę noc. Należało to zrobić bez względu na wszystko.

Wyszedł z budynku i odszukał dziewczynę wzrokiem. Stała przez chwilę przy poręczy okalającej taras. Była jej zimno, gdyż pocierała dłońmi ramiona. Nic dziwnego, że zmarzła, skoro włożyła cienką sukienkę bez pleców, wiązaną na karku. Nic szczególnie seksownego, ponieważ dekolt był stosunkowo niewielki, a lekko rozkloszowany dół sięgał tuż przed kolano, lecz wyglądała w tej prostej kreacji obłudnie.

Miał ogromną ochotę podejść do Wioli i wziąć ją w objęcia. Ogrzać ciepłem swego ciała. Nawet bez podtekstów erotycznych. Po prostu cieszyć się bliskością ukochanej. Już miał pokonać dzielący ich dystans, gdy odwróciła się w stronę pensjonatu. Powiodła wokół spojrzeniem, jakby czegoś lub kogoś szukała, a następnie ruszyła w stronę budynku. Weszła do sali bilardowej znajdującej się w bocznym skrzydle i tam usiadła na szeszlunku. Pochyliła się, ukryła twarz w dłoniach, wyglądała na smutną lub zmęczoną. A może jedno i drugie?

Zastanawiał się, czy powinien jej przeszkadzać.

A jeżeli płakała? Jeśli pragnęła pobyc przez chwilę w samotności?

W końcu przeważył głos rozsądku. To nie była impreza dla ścisłego kręgu przyjaciół, lecz balanga, na którą przyszło mnóstwo nieznanomych. Dla bezpieczeństwa dziewczyny musiał naruszyć prywatność gwiazdy.

– Wiola? – zagadnął, wchodząc do pomieszczenia i zamykając za sobą przeszklone drzwi.

Drgnęła nerwowo.

– Ach, to ty – odetchnęła z ulgą.

– Przepraszam, nie chciałem cię wystraszyć. Mogę? – Wskazał wolne miejsce obok niej.

– Jasne, siadaj – odparła.

– Jak się masz? – zapytał.

Przez chwilę siedziała w milczeniu. Pomyślał nawet, że nie ma ochoty odpowiadać na pytanie, które zasadniczo można zbyć jednym banalnym „świetnie”.

– Szczerze? – zapytała, spoglądając mu w oczy. Wyglądała na znużoną.

Bez słowa przytaknął.

– Tak szczerze, mam dość. Tego zespołu, koczowniczego trybu życia, tłumów. Cieszę się, że to już koniec występów, przynajmniej na jakiś czas. Tęsknię za moim mieszkaniem, w którym w końcu chcę zamieszkać, a nie pojawiać się jako intruz płoszący pająki. Oswoić się na dobre z jego odgłosami. Poznać wszystkich sąsiadów z całej klatki schodowej, a nie tylko tych, którzy mieszkają po bokach. Pójść na długi spacer. Wypić spokojnie filiżankę kawy, bez narażania się na zaczepki. A wreszcie chcę się odciąć od tego szamba, w które wciągają mnie kolejne anonimy. Marlena dała mi wczoraj znać, że ten drań nie odpuszcza, a policjanci pozostają bezsilni.

– Tak, wiem.

– Wydawało mi się, że w przedostatniej trasie nie wydarzyło

się nic, co mogłoby wzbudzać nasze podejrzenia. Ale we wczorajszej przesyłce była moja bluzka. Pocięta nożyczkami, ale ewidentnie moja.

– Skąd ta pewność?

– Jakiś czas temu zgubiłam jedną koszulę. Wydawało mi się, że po prostu została w hotelu. Nosiłam ją właśnie wtedy.

– Ale jesteś przekonana, że bluzka należy do ciebie?

– Tak. To była biała koszula, którą kupiłam w jednym z tych nieprzyzwoicie drogich sklepów na Floriańskiej. Tylko że ja ją trochę przerobiłam. Wyszyłam jej kołnierz sztucznymi szarymi perłami. A na plecach naszyłam je w formie gwiazdy.

– Tak, pamiętam ten ciuszek – stwierdził. – Fajnie w nim wyglądałaś. No i stanowił reklamę naszej grupy.

– Otóż to. Nie pamiętam, żebym miała ją w rękach po powrocie do domu. Z braku czasu zaniiosłam moje rzeczy do pralni – przyznała. – Ale raczej nie było pośród nich tej bluzki. Przypomniałam sobie o niej przed wyjazdem w trasę. Szukałam jej, chciałam ją zabrać. W końcu wzięłam inną. A wczoraj się znalazła. Zniszczona i brudna, z zażółconym obrzydliwie kołnierzem. Cuchnąca potem, jakby ktoś chodził w niej kilka dni albo nawet pracował fizycznie. Marlena dokładnie mi wszystko opisała.

– Koszmar.

– Tak. To jest koszmar. Mam już tego dość. Czasami myślę, że chciałabym rzucić w diabły karierę i stać się na powrót zwyczajną dziewczyną.

– Szkoda byłoby zmarnować to, co do tej pory osiągnęłaś. Jesteś gwiazdą, Wiolka! A gwiazdy zawsze będą wzbudzały zawiść.

– Tak, masz rację. Żal by mi tego było. Poza tym ciągle mam na uwadze to, że nastał parszywy czas. Kryzys, bezrobocie, inflacja... Marek wciąż się szwenda, szukając porządnej pracy. Zahacza się tu czy tam, lecz bez większego efektu.

Zastanawiałam się, czemu nie zacznę znowu handlować kasetami, bo przecież nieźle mu szło, ale on nie chce o tym gadać. Do zespołu też nie chciał dołączyć.

– Wiesz, jak jest: on jednak bardzo odbiega od tego, co reprezentuje sobą branża disco polo.

– Wiem. Ale spójrz na mnie: ja też lubię trochę ostrzejsze brzmienia. W domu słucham wyłącznie rocka lub jakichś klasyków. Kiedy wychodzę na scenę albo stoję przed mikrofonem w studio nagrań, to po prostu wkładam maskę. Choć jestem nią już trochę znużona.

– Od jutra relaks – przypomniał Tomek.

– Tak, to cieszy, ale wypoczynek będzie raczej aktywny. Wszak za moment zaczną się zajęcia na uczelni. Chętnie zafundowałabym sobie małe wagary.

– Jesteś zmęczona.

– Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo.

– Ha, ha, ha! Komu ty to mówisz?

– Serio. To nie jest tylko zmęczenie występami. Nie najlepiej się dziś czuję – przyznała.

– Piłaś? – W jego głowie momentalnie zrodziło się podejrzenie, że ktoś dosypał jej do drinka jakichś prochów.

– Nie. Nie miałam ochoty na alkohol. Zresztą nie tylko dzisiaj odczuwam takie znużenie. To był chyba ostatni moment, by wrzucić na luz. – Wysiliła się na blady uśmiech. – Chyba powinniśmy wrócić na bankiet – westchnęła z niechęcią.

– Poczekaj jeszcze chwilę – odparł, łapiąc ją za rękę. – Tutaj jest tak przyjemnie i spokojnie. Z dala od tłumów, reporterów i tych wszystkich ważniaków, dla których człowiek wciąż musi być miły.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem. Potem przeniosła wzrok na swój nadgarstek opleciony jego palcami. Przypomniała sobie o tym, co powiedział policjant, który ją przesłuchiwał. Jego zdaniem prześladowcą mógł być ktoś z jej bardzo bliskiego

otoczenia. Ktoś, kto zazdrości Wiołce kariery. Albo jakiś odtrącony wielbiciel. Poprosił ją wówczas, by dobrze zastanowiła się, czy w jej życiu nie ma takiego człowieka.

Zamarła.

A jeśli to on?

Tomasz znał wszystkie detale związane z trasami koncertowymi. Na pewno nie sprawiłoby mu trudności wejście do jej garderoby i podrzucenie tam kwiatów lub innego „upominku”. Nie miałby także problemu z wygrzebanie z jej walizki jakiegoś elementu garderoby.

A teraz zyskał doskonałą okazję, aby zrobić jej krzywdę. Byli sami, za ścianą trwał hałaśliwy bankiet, którego odgłosy niosły się dookoła. Nikt nie usłyszałby jej krzyku.

Nie! To jakieś szaleństwo! Dlaczego miałby mnie krzywdzić?

Otrząsnęła się z głupich przemyśleń.

– Chodźmy – powiedziała stanowczym tonem, wstając.

Nie zwróciła uwagi, że gdy Lorkowski się do niej dosiadał, to niechcący przycisnął jej sukienkę. Gwałtowny ruch dziewczyny sprawił, że oderwał się guzik przy pasku.



– Widziałeś Wiołkę? – Adrian z niepokojem spoglądał na Daniela. Za moment miała odbyć się prezentacja najnowszego teledysku grupy. Już został przygotowany wielki ekran i rzutnik, a gwiazdy wieczoru nie było. Wszak to ona śpiewała piosenkę, którą chcieli po raz pierwszy puścić komuś spoza zespołu i ekipy realizującej projekt. Była szansa, że zaistnieje z tym utworem w telewizji, i to nie tylko w lokalnej kablówce, ale również w stacjach ogólnopolskich. A to byłby gigantyczny sukces.

– Nie. – Królik pokręcił głową. – Nie widziałem jej już dłuższą

chwile.

– Ja pierdolę! Wszystkich pytałem, nikt nie widział jej od dość dawna. – Przestraszył się nie na żarty, ponieważ na imprezie było sporo obcych ludzi, zaproszonych jako osoby towarzyszące.

Czy był wśród nich również dręczyciel Wioletty?

Adrian zamarł na samą myśl o tym. Gdyby siostrze coś się stało, to nie darowałaby sobie tego do końca życia. Miał nad nią czuwać, obiecywał, że zapewni jej bezpieczeństwo, a tymczasem jak ostatni głupek zrezygnował z zatrudnienia ochrony fizycznej. O kłopotach Wioli nie wiedział nikt z rodziny. Wspólnie uzgodnili, że zachowają sprawę prześladowań w sekrecie, by nie martwić niepotrzebnie ojca i innych bliskich. Całkowicie zawalił, ponieważ na moment dał się pociągnąć dobrej zabawie, tracąc dziewczynę z zasięgu wzroku. Teraz kręcił się między ludźmi jak potępieniec, wypytyjąc, czy ktoś nie widział Wioletki. Serce łomotało mu niespokojnie, ogarniała go panika. Wahał się, czy nie zadzwonić na policję.

Do tej pory był pod wrażeniem odwagi, z jaką Wioletta traktowała sprawę prześladowcy. Nie panikowała, nie było płaczów i zbędnej gdybaniny. Wprawdzie napomknęła o możliwości wystąpienia z zespołu, lecz nigdy więcej nie wróciła do tego tematu. Jeździła w trasy koncertowe. Wychodziła na scenę. Śpiewała. Dawała z siebie wszystko. Robiła to z kamienną twarzą, nie okazując lęku. Jakby chciała rzucić wyzwanie zbrojeńcowi. Udowodnić mu, że za nic ma jego pogrożki.

A teraz zniknęła!

O Boże, nie pozwól, aby stało jej się coś złego! – błagał w duchu przerażony Adrian.

Nagle dostrzegł siostrę, jak w towarzystwie Tomka zmierza do sali bankietowej wejściem od strony tarasu. Ze świstem wypuścił z płuc powietrze i odetchnął z ulgą. Była cała

i zdrowa! Na szczęście o jej bezpieczeństwo zadbał przyjaciel – człowiek niezawodny.

Czasami Adrian żałował, że Lorkowi nie wyszło z Wioletką. Wiedział, że kumpel jest w niej zakochany, a te wszystkie pannice, z którymi tak ochoczo romansuje, są tylko zasłoną dymną i próbą zapomnienia o nieodwzajemnionym uczuciu. Teraz jednak spojrzał na nich z uwagą i nie umknęło mu, że dziewczyna poprawia sukienkę, a Tomek stara się zasłonić ją przed ciekawskimi spojrzeniami.

Czyżby...

Uśmiechnął się do swoich myśli. A potem dziarskim krokiem ruszył w stronę siostry. Z miejsca doszedł go szmer, który przebiegł przez zgromadzony tłum.

- Podobno mają romans.
- Wymknęli się, by pobyć sam na sam.
- Wioletta poprawia sukienkę. Chyba nie zdążyła jej zapiąć w pośpiechu!

Nie przejął się plotkarzami. Niech tam sobie gadają różne bzdury. Wszak członkowie grupy Silver Star sami wpadli na to, żeby Wioletka udawała, że ma romans z Lorkowskim. Liczyli na powstrzymanie w ten sposób zapędów prześladowcy. Osobiście byłby szczęśliwy, gdyby ze strony siostry coś zaiskrzyło. Tomek na pewno był mężczyzną w porządku. Gdyby tylko zechciała spojrzeć na niego łaskawym okiem, to zaraz zniknęłyby z horyzontu te wszystkie panienki, z którymi się umawiał.

- No jesteś! Nie pytam, gdzie się podziewałaś – chrząknął znacząco – choć napędziłaś mi strachu. Wróciłaś w samą porę. Za moment premiera – przypomniał.

Podszedł do projektora i włączył odtwarzanie przygotowanego wcześniej nagrania. Na chwilę wcisnął guzik pauzy.

- Szanowni państwo, mam przyjemność zaprezentować najnowszy teledysk grupy Silver Star z wokalem naszej nieocenionej Srebrnej Gwiazdki. Specjalnie dla was

prawykonanie utworu *Miłość nie zna słowa „koniec”*.

– Brawo! – rozległy się głosy z całej sali, ktoś zainicjował oklaski, które ucichły, gdy zgaszono część świateł, aby uzyskać lepszy efekt.

Przez moment nie działo się absolutnie nic. Ekran zmienił barwę z białego na czarny. Adrian już miał wyregulować rzutnik, gdy na czarnym tle zamigotały pasy, a potem oczom zgromadzonych ukazały się słowa *game over*.

Przez tłum przebiegł szmer, który szybko zaczął narastać. Kilka razy błysnęło światło flesza, gdy jakiś fotoreporter utrwał na kliszy dziwaczną projekcję.

Adrian zastygł i zaniemówił. Stał niczym kamienny posąg, nie mogąc wykonać żadnego gestu. Ktoś manipulował przy nagraniu w trakcie imprezy albo nawet je podmienił!

To Lorkowski opanował sytuację, wyłączając urządzenie, by zniknął nieszczęsny napis.

– Ja nic nie rozumiem... Nic nie rozumiem... Wszystko było pod kontrolą. Pilnowałem sprzętu... – wykrztusił w końcu Adrian, wyrwany ze stuporu.

Kto podmienił płytę i kiedy?

– No dobra. – Daniel złapał za mikrofon, przez który przed momentem Pawłowski zapowiadał wyświetlenie teledysku. – Wygląda na to, że mamy złośliwość przedmiotów martwych. Obawiam się, że nici z premierowego odtworzenia naszego najnowszego numeru. Mam jednak nadzieję, że już niedługo będziemy mogli go państwu zaprezentować.



Nazajutrz po niefortunnej imprezie zespół Silver Star zgromadził się w mieszkaniu Wioletty. Musieli przeanalizować to, co zaszło onegdaj. Niby nic wielkiego, ktoś podmienił

nagrania, ale to nie miało prawa się wydarzyć.

Ku zmartwieniu brata, Wiola kolejny raz zasugerowała możliwość opuszczenia grupy.

– Jestem zmęczona atmosferą ciągłego napięcia. Oczekiwaniem na kolejny krok prześladowcy. Gdybaniem, jak daleko może się posunąć zboczeniec.

– Nie możesz się poddawać! – zaprotestował Tomasz. Z miejsca wysnuł nową teorię dotyczącą ostatnich nieprzyjemności. – A jeśli to konkurencja? Jakaś inna wokalistka z branży disco polo? Nie osobiście, lecz z pomocą współnika? Może chodzi o to, by cię zastraszyć i zniechęcić, bo jesteś za dobra w tym, co robisz?

– Bzdura! – zirytował się Królik. – Przecież anonimy odnoszą się wyłącznie do Wiolki. Gdyby w grę wchodziła zazdrosna wokalistka, albo w ogóle ktoś z branży, to nienawiść wymierzona byłaby w cały zespół.

– Przypominam ci, że robalami zostaliśmy obrzuceni wszyscy. I pocięto nam gumy we wspólnym samochodzie – zauważył Adrian.

– No właśnie, i tutaj mamy problem. Bo kłopoty Wiolki zaczynają się rozciągać na nas wszystkich. Może masz rację z tym, by opuścić skład? – Daniel spojrzał na wokalistkę. – Sama widzisz, że ten człowiek depcze ci po piętach, a policja działa nieskutecznie. Adek! A co będzie, jeśli on, ośmielony własną bezkarnością, odważy się na bezpośredni atak?

– Ja pierdolę! Królik, przestań chrzanić! Wcale nie jest powiedziane, że za wczorajszą podmianą nagrań stoi jakiś prześladowca. A może to ty – Lorkowski zwrócił się do lidera grupy – pomyliłeś płyty?

Pawłowski pokręcił głową.

– Sprawdzałem wszystko, zanim zaczęli przychodzić zaproszeni goście. Ktoś w czasie imprezy manipulował przy sprzęcie. A że kręciło się tam mnóstwo osób, to trudno byłoby

stwierdzić, kto nam zajebał teledysk i podrzucił to gównu.

– Nie klnij tak, okej? – Siostra miała już dość ordynarnych słów, które padły tego popołudnia. – A tak serio, muszę to wszystko przemyśleć – zwróciła się do chłopaków. – Na razie nie koncertujemy, więc mam nadzieję na odrobinę spokoju, bo właściwie agresja tego bęcwała skierowana była w stronę moich wystąpień publicznych. To do nich nawiązywał w listach. Może więc teraz odpuści?

– Ale powinnaś podjąć jakąś wiążącą decyzję – stwierdził Daniel. – Wóz albo przewóz. Przecież układamy już piosenki na nową płytę. Powinniśmy więc wiedzieć, czy będziesz śpiewała. Bo jak nie, to trzeba pozmieniać teksty i dopasować linię melodyczną do Lorka.

Adrian i Tomasz spojrzeli wilkiem na kumpla z zespołu. Nie chcieli, by Wioletta zrezygnowała z kariery muzycznej, ponieważ tak na dobrą sprawę to ona była ikoną Silver Star.

– Bądź pewny, że jak już podejmę ostateczną decyzję, nie omieszkam wam jej ujawnić. Doskonale wiem, ile wysiłku wymaga to wszystko, co robimy. Na pewno nie przysporzę wam żadnych problemów – oświadczyła, ciesząc się w duchu, że przynajmniej Daniel podziela jej stanowisko i spogląda na tę sprawę z rozsądkiem.

I znowu nasza ją nieprzyjemna refleksja, że nie powinna ufać Lorkowi. Bo z jednej strony być może chciał być blisko niej i mieć ją na oku, a z drugiej musiał żywić do niej żal o to, że odprawiła go z kwitkiem. A jeszcze jakby tego było mało, odstawiali cały ten cyrk z trzymaniem się za ręce podczas występów. Dla niego musiał to być masochizm. Ale z kim miała udawać romans? Z własnym bratem? Z Królikiem, który stukał w klawisze i w związku z tym potrzebował wolnych rąk?



Październik zaszeleścił wielobarwnym listowiem. Renata uwielbiała spacerować po nowohuckich parkach. Cieszyła się niczym mała dziewczynka, gdy wysuszone liście chrzęściły pod jej stopami. Śmiała się na głos, brodząc w brązowo-czerwonozółtym oceanie. Zdecydowanie była jesienną dziewczyną. Piękniała w oczach. Ślicznie jej było w wydzierganej na drutach czapce z pomponem i bardzo długim szaliku, którym kilkakrotnie owijała szyję. Nie raziła nawet zbyt obszerna kurtka, którą dostała w „spadku” po jakiejś krewnej, ani bladość policzków, na których wyraźnie odbijały się rdzawe cętki piegów.

Marek spoglądał na nią z zachwytem. Widział miłość wypisaną na jej twarzy, gdy biegła naprzeciw niemu. Chwilę później wpadła wprost w jego otwarte ramiona. Pochylił się i ucałował chłodne wargi.

– Moja jesienna królowa – wyszeptał, tuląc do siebie tę chudzinę.

Umówili się na spacer. Trzeba było korzystać ze sprzyjającej aury, zanim nadejdą listopadowe szarugi i chrzęszczące liście zamienią się w lepką breję. Wędrowali więc pomiędzy drzewami parku przy Akademii Wychowania Fizycznego, zachwycając się barwami jesieni. Zbierając żołędzie i kasztany. Spoglądając w błękitne niebo i słoneczne promienie przeświecające przez rzadniejące korony drzew.

Tego dnia nie czuł ucisku w skroniach ani nieznośnego ciężaru istnienia. Nie dręczyła go potrzeba sięgnięcia po coś, co upiększyłoby szarą egzystencję. Bo przy Reni nie mogło być szaro. Nie w tak pięknych okolicznościach przyrody.

W takich chwilach wierzył we wspólną przyszłość.

Dla Reni mógłby rzucić imprezowych koleś. Poniechać suto zakrapianych spotkań. Zapomnieć o magicznych substancjach, które łagodziły ostre kandy rzeczywistości.

Pomyślał, że po przechadzce zabierze dziewczynę do mieszkania. Zaparzy dla niej gorącą herbatę z cytryną i miodem. Taką, jaką lubiła najbardziej. A potem poprosi, aby została z nim na noc. Choć raz aż do rana. By po przebudzeniu mógł zobaczyć ją leżącą u swego boku. By mógł patrzeć na jej spokojny sen, piersi falujące oddechem. By obudzić ją pocałunkiem w zamknięte powieki. A ona przywitałaby go uśmiechem odsłaniającym śnieżnobiałe zęby.

Ten uśmiech był jedyny w swoim rodzaju. Niepowtarzalny. Najpiękniejszy, jaki widział w całym życiu.

Lubił się z nią kochać. Kręciło go, gdy w ekstazie kąsała go w ramię lub klatkę piersiową. Nawet jeśli potem zostawały na jego ciele znaki. Patrzeć na nią – to było takie ekscytujące! W jednej chwili miał przed oczami radosną dziewczynę: słodką, niewinną, uosobienie łagodności. A gdy zanurzali się w otchłań miłosną, anioł przemieniał się w demona i pokazywał pazury.

– Mówiłem ci już, że Adek się wyprowadza? – zagadnął, gdy tak szli przed siebie, wśród szeleszczących liści.

– Ale mu dobrze. Szczęściarz z niego.

– Pofarciło mu się z tym zespołem. Zarobił mnóstwo kasiory. Cóż, on to lubi. Ja bym tak nie mógł – oświadczył. – Swego czasu proponował mi dołączenie do kapeli, ale to chyba było bardziej z litości niż z potrzeby. Jest ich tam czworo. Ja byłbym piątym kołem u wozu. A poza tym nie mógłbym się tak zeszmacić. Disko-klepisko, też coś! – Wzruszył ramionami.

– Jak mu to w ogóle przyszło do głowy? Ty i disco polo? To jakiś nonsens! – zdziwiła się Renata, a on poczuł w tym momencie, że kocha ją jeszcze bardziej. Jej oburzenie było szczere, płynące z serca.

– Nie mógłbym. Po prostu bym nie mógł. Żadne pieniądze świata nie przekonałyby mnie do tego, żeby ośmieszać się tak zenującym repertuarem.

– No i bardzo dobrze. Trzeba się cenić. Mieć godność –

stwierdziła Renata. – Szanuję twoją decyzję.

Marek przygarnął ją do siebie i musnął ustami jej skroń.

– Jak ty mnie świetnie rozumiesz...

W głębi duszy trochę zazdrościł Adkowi i Wiołce, że tak szybko przeprowadzili się do własnych mieszkań. Jakże on miał perspektywy na przyszłość? Pozostanie przy ojcu, który dopiero co ożenił się po raz drugi i czort go tam wie, czy nie starają się teraz z Matyldą o dziecko?



– Cicho, tam mieszka moja babcia. – Gosia odwróciła się do idącej za nią po schodach Julity, wskazała odrapane drzwi i wymownie położyła palec na ustach. – Lepiej, żeby nas nie usłyszała i nie zobaczyła – oznajmiła konspiracyjnie. – Mogłaby być zła, że do niej nie przyszłam. Albo że sprowadzam tutaj obcych.

Wspinały się po schodach na wyższą kondygnację. Tego dnia zamierzały odwiedzić pana Bolka, który już dwukrotnie wyraził chęć poznania Małgosinej koleżanki. Z bliżej nieokreślonych powodów Szymczakówna uznała, że konieczne jest zachowanie wszystkiego w sekrecie. Czuła bowiem, że to mogłoby się nie spodobać babci Sabinie. A gdyby ta poskarżyła na nią matce, to kłopot gotowy. Zaraz by się okazało, że znowu musi nocować u krewnej i spędzać z nią całe dni, ponieważ zachowuje się jak nieodpowiedzialna smarkula. Nie znosiła, gdy starzy traktowali ją w taki sposób. Tylko pan Bolek miał dla niej zrozumienie i zachowywał się w stosunku do niej tak, jakby była dorosłą damą.

Ciocia Danusia też była serdeczna, ale ją Gosia rzadko widywała. A szkoda, bo jeansy, które dostała od niej przed rokiem, zrobiły się już za krótkie. Ciągle jeszcze w nich

chodziła, ale wiedziała, że spodnie wyglądają na pożyczone od młodszej siostry. Choć jej rodzice należeli do tych zamożniejszych, w porównaniu ze swoimi rówieśnikami prezentowała się nędznie. Bo albo nosiła ubrania w stylu starej malutkiej, albo za małe szmatki z ciucholandu. Zdecydowanie preferowała te ostatnie, choć matka ich nienawidziła i wciąż odgrażała się, że je wyrzuci. Ostatnio Gosia wzięła się na sposób, i jeśli wychodziła do szkoły o tej samej porze co matka do atelier, to po prostu zabierała ze sobą ciuchy na przebranie. Wchodziła do klatki schodowej w bloku obok szkoły, albo nawet do szkolnej ubikacji, i tam szybko zmieniała cudaczne kreacje z pracowni na fatałaszkę z lumpeksu.

– To tutaj – poinformowała koleżankę, zatrzymując się przed drzwiami obitymi cienkimi listwami z drewna.

Gosia pamiętała czasy, gdy boazeria była szczytem luksusu i elegancji. W ich mieszkaniu też kiedyś zdobiła przedpokój. A potem mama kazała zerwać to wszystko i położyć modne plastikowe panele o marmurkowym wzorze w jasnej kolorystyce. Jej zdaniem te nie dość, że były ładniejsze, to jeszcze łatwiej dawały się utrzymywać w czystości, ponieważ nie ulegały takiemu zakurzeniu jak prawdziwe deski.

Zastukała do drzwi i poczekała na zaproszenie. Pan Bolek siedział na wersalce w mniejszym pokoju. Na widok gości pokiwał głową i poklepał siedzisko.

– Chodźcie, dziewczyny, siadajcie.

Gosia przedstawiła Julitę gospodarzowi.

– Napijcie się czegoś? – zapytał.

Nastolatki przycupnęły obok siebie. Małkówna była trochę onieśmielona. Rozglądała się z ciekawością po pomieszczeniu, do którego weszły. Dostrzegła telewizor na pilota i magnetowid. Do kryształowej patery przyciągały wzrok czekoladowe cukierki.

– Poczęstuj się – powiedział Sądziło, podążając za jej spojrzeniem. – No to jak, moje panie? Czego się napijcie?

Macie ochotę na piwo?

Nigdy wcześniej nikt nie proponował im piwa, choć obydwie już znały ten goryczkowy smak. Kiedyś Julita podprowadziła swojemu ojcu jedną butelkę i opróżniły ją razem z Goską. To wydarzyło się jeszcze w lecie, gdy dni były wyjątkowo upalne. Piwo im nie smakowało, więc większość i tak wylały do ustępu, a potem Gośka długo spuszczała wodę, by pozbyć się specyficznego zapachu. Rozpyliła też trochę maminych perfum. Potem zastanawiały się, co starzy widzą w tak ohydny napój.

Teraz zerkały po sobie. Głupio byłoby odmówić, skoro traktował je jak dorosłe kobiety, a nie jakieś smarkule, którym nic nie wolno.

– Dobra, przyniosę – oznajmił mężczyzna, odchodząc do kuchni.

Przyszedł po chwili, niosąc dwie wysokie szklanki z napojem. Piwo miało różowawy kolor, wyglądało inaczej niż to, które pijał Małek.

– Dolałem wam soku malinowego, bo przypuszczam, że takie wolicie. – Wręczył im naczynia, a potem wrócił do kuchni i przyniósł dla siebie świeżo otwartą puszkę.

Gosia skosztowała i stwierdziła, że piwo z sokiem smakuje znacznie lepiej. A że z wrażenia trochę zaschło jej w gardle, wypła duszkiem większość zawartości. Julita zaraz wzięła z niej przykład i także uznała, że napój przygotowany przez pana Bolka jest wyborny.

Z miejsca poprawiły im się nastroje, choć i tak były dobre, gdy dziewczyny przyszły z wizytą. Ale rozmowa od razu jakoś gładko popłynęła i wcale nie czuły się tak, jakby od interlokutora dzieliło je blisko pół wieku. Mężczyzna wypytywał je o szkołę i koleżanki, o to, czy mają już swoich chłopców i czy są jacyś, którzy im się podobają. Potem zagadnął o film i zapytał, czy chcą następną taśmę. Chciały.

Godzina zleciała jak z bicza strzelił. Kiedy pannice poderwały się do wyjścia, wziął paterę z cukierkami, których znacznie ubyło przez ten czas, i odsypał słodycze do woreczka.

– Macie, dziewczyny, podzielicie się – powiedział, wręczając torbę Julicie. – Widziałem, że jadłyście ze smakiem.

Zaprosił je, by koniecznie do niego przychodziły, jak tylko będą miały wolną chwilę. Albo jak pójdą na wagary i nie będą miały się gdzie podziąć. To ostatnie wywołało salwy śmiechu u dziewcząt. Nastolatki pożegnały się i prędko zbiegły na parter, tym razem nie przejmując się aż tak bardzo, czy zostaną zdekonspirowane. Było im zadziwiająco lekko i wesoło, więc biegły kawałek osiedlowymi alejkami, zanosząc się śmiechem. W końcu, gdy zziębnięte zatrzymały się przy koszu na śmieci, Gosia nagle zzieleniała na buzi i złapała się za brzuch.

– O matko, jak mi niedobrze! – zdążyła jęknąć, nim wstrząsnęły nią gwałtowne wymioty.

Gdy wyrzuciła z siebie całą treść żołądka, odetchnęła głęboko i skrzywiła się z odrazą. Na szczęście miała przy sobie gumy do żucia. Wsunęła w usta kostkę, drugą poczęstowała Julitę.

– To przez piwo – skomentowała. – Lepiej nie wracajmy chwilowo do domu. Jeszcze starzy poznają, że coś piłyśmy, i będzie chryja.

Małkówna nie powiedziała nic, zaśmiała się tylko, jakby to, co właśnie usłyszała, było najzabawniejszym żartem. Jej oczy dziwnie lśniły.

– Ej! Weźże przestań, idiotko. Nie śmieć się tak, bo ktoś pomyśli, że jesteś pijana. Chcesz, żeby zabrali nas na izbę wytrzeźwień? – zapytała Gośka, lecz to wzbudziło jeszcze większą radość koleżanki.

Szymczakówna wystraszyła się nie na żarty, bo za wszystkie przewinienia groziła jej tylko jedna kara: widmo, że będzie musiała siedzieć całymi dniami z babcią. A to była ostatnia rzecz, której potrzebowała do szczęścia.

O ile po zwymiotowaniu poczuła się znacznie lepiej, a w głowie przestało jej szumieć, to po Julicie widać było wyraźnie, że jest wstawiona. I jak tu teraz pokazać się komuś bliskiemu na oczy? Wystarczyłoby nawet, żeby zobaczył ich ktokolwiek znajomy i doniósł skwapliwie rodzicom. Dostałaby wówczas za swoje!

– Ej, a pójdziemy jeszcze do pana Bolka? – zapytała przyjaciółka, pakując kolejną czekoladkę do ust. – Fajny facet! Zna się na życiu! I ma przepyszne cukierki!

[\[13\]](#) Fragment utworu *5 lat* – słowa: Kazik Staszewski, muzyka: Jacek Kufirski, wykonanie: Kazik Staszewski – album solowy, płyta *Spalaj się!*, Wydawnictwo Muzyczne Eska 1993 r.

[\[14\]](#) Fragment utworu *5 lat* – słowa: Kazik Staszewski, muzyka: Jacek Kufirski, wykonanie: Kazik Staszewski – album solowy, płyta *Spalaj się!*, Wydawnictwo Muzyczne Eska 1993 r.

Rozdział 7



Marzenia

*Wczoraj wiele, wiele działo się złego
W nieświeżych oparach alkoholu wypitego
Nie pamiętam za wiele, w głowie mam bóleści
Ile bólu w niej się jeszcze zmieści*[\[15\]](#)

Cotygodniowa wizyta u babci została odbębniiona. Małgosia nie miała ochoty na powrót do domu. Było sobotnie popołudnie. Do tej pory na pewno mama wróciła z atelier i zaczęła dyrygować domowymi porządkami. To zwykle sprowadzało się do pokazywania Alicji palcem, co jest do zrobienia, i utyskiwań, że w mieszkaniu jest brudno jak w slumsach. Tak więc Gosia nie spieszyła się, ponieważ żywiła obawy, że i jej mogłoby przypaść w udziale jakieś nudne zajęcie, takie jak polerowanie platerowanych sztućców albo składanie ubrań w szafie. Od czasu do czasu w mamie odzywał się prawdziwy potwór i choć sama mawiała, że Gosię urodziła do wyższych celów niż praca fizyczna, to jednak zmuszała ją do sprzątania.

Dziewczyna włożyła dłoń do kieszeni płaszcza, który

oczywiście pochodził z matczynego atelier. Nie znosiła go, choć uszyty był wedle najświeższej mody. Sęk w tym, że mocno rozkloszowany fason à la Anna Karenina stosowny był dla dorosłych kobiet, a nie dla trzynastolatki. Czuła się w nim głupio. Nienawidziła tych okropnych złotych guzików mundurowych. Nie podobał jej się także stalowoniebieski kolor. Wygrzebała kilka drobnych banknotów i stwierdziła, że wystarczyłoby tego na krem sułtański w koktajlbarze. Miała ochotę na coś dobrego, najwyżej później pozbędzie się zjedzonego smakołyku w najprostszy znany jej sposób.

Idąc aleją Róż, rozmyślała o tym, że powinna odkładać wszystkie pieniądze, które dostawała od rodziców. Nie były to jakieś zawrotne sumy, ale może po pewnym czasie zdołałaby odłożyć na kupno normalnej młodzieżowej kurtki? Takiej, w jakich najczęściej chodzą jej koleżanki. Bo dyskusowanie z mamą o modzie i zakupie innych ubrań niż te, które szyte były w pracowni, nie miało sensu.

Mimo chłodnego dnia w koktajlbarze było sporo osób. Małgosia ustawiła się w kolejce, przypominając sobie niedawną wizytą u pana Bolka.

– Gosia? Co ty tutaj robisz sama?

Nastolatka drgnęła, gdy usłyszała jakiś damski głos. Odwróciła się i zobaczyła stojącą obok Wiolettę Pawłowską.

– Wiola? Dzień dobry! Przyszłam na krem sułtański – oznajmiła.

– Dzień dobry, Gosieńko. A gdzie rodzice?

– O tej porze są już chyba w domu. Byłam u babci.

– Ach, no tak. Przecież duża z ciebie panna. Ile ty masz właściwie lat? – Kuzynka zmierzyła ją uważnym spojrzeniem. – Wyglądasz na jakieś osiemnaście – oceniła, choć wydawało jej się to zupełnie niemożliwe.

– To pewnie przez ten okropny płaszcz – jęknęła dziewczyna. – Wyglądam w nim jak stara malutka. Mam trzynaście lat –

wyjaśniła skonsternowanej Wiolce.

– Ach tak. Ale wyrosłaś! I zmieniłaś się nie do poznania. Bardzo wyszczuplałaś – zauważyła. – A płaszczem się nie przejmuj. Jest bardzo ładny.

– Jak dla starego babsztyla – burknęła Małgośka.

– Niekoniecznie. Ja mam w domu podobny. – Kuzynka rozsunała zamek modnej, młodzieżowej parki.

– Ja bym wolała kurtkę. – Gosia spojrzała pożądliwie na ciuchy Wioletty, która w wieku dwudziestu trzech lat ubierała się tak, że niejedna nastolatka mogłaby jej pozazdrościć. Nic dziwnego, skoro była gwiazdą i miała dość pieniędzy, by spełniać swoje zachcianki. Miała także świetny gust, czego Gosia nie mogła powiedzieć o swej matce, noszącej z uporem maniaka kwieciste garsonki lub nudne kostiumy i oczekującej, że i ona będzie wkładała podobne.

Wiola przyjrzała się dziewczynce, która sprawiała wrażenie przebranej za kobietę po czterdziestce. Co z tego, że rodzice opływali w dostatki, skoro córka wyglądała tak cudacznie? Na dodatek bardzo wychudła, a jej włosy marnie się układały. Ogólnie rzecz biorąc, z niebrzydkiego, pyzatego dziecka wyrosła jakaś pokraczna maskara. Aż żal było patrzeć na to stworzenie.

Andzi już całkiem popierdoliło się w głowie – pomyślała o ciotce ze złością. Biedne dziecko! W szkole pewnie dokuczają jej przez te okropne ciuchy. Jak znam życie, za plecami mówią na nią „babcia Małgosia”. Albo „babuszka”.

Zdusiła parsknięcie, bowiem od razu przypomniała sobie „bieriozę” – ulubione wyzwisko, jakim jej koledzy z podstawówki obrzucali wysokie dziewczyny. Akurat dotarła do kasy, więc zamówiła krem sułtański dla siebie i kuzynki.

Razem usiadły przy stoliku obok okna. Wiola zaczęła wypytywać młodą o to, co u niej słyhać, lecz Gosia niewiele miała do powiedzenia. Bardziej interesowała ją kariera

artystyczna kuzynki. Tato nieraz kpił sobie z Pawłowskich, że wycierają się po chodnikach. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu nie przepadał ani za wujem Karolem, ani za jego dziećmi. Podobne poglądy miała matka.

Małgosia nie po raz pierwszy pomyślała, że tak naprawdę to jej rodzice są okropnie beznadziejni: nikogo nie lubili, o wszystkich mówili źle. Twierdzili, że ludzie im zazdroszczą pieniędzy i życzą wszystkiego najgorszego. Ale sami dalecy byli od ideału. I chyba też byli zawistni, przynajmniej w stosunku do Adama i Wioli.

A przecież Wiolka była bardzo fajna i zupełnie normalna. Nie przybierała pozy wielkiej gwiazdy, i to raczej Gosia więcej wypytywała ją o nagrywanie płyt, wywiady oraz koncerty.

Kiedy opuszczały koktajlbar, kuzynka pochwaliła się, że od niedawna mieszka przy alei Róż.

– Może wpadniesz do mnie w któryś dzień, jak będziesz wracać od babci? – zagadnęła. – Dam ci parę kaset z naszymi nagraniami. I wiesz co? Mam trochę ubrań, które świetnie by na ciebie pasowały. Chętnie ci je oddam, bo na mnie zrobiły się jakby za ciasne.

Gosia spojrzała na nią z ogromną wdzięcznością. Sama nigdy nie odważyłaby się poprosić ani o kasety, choć bardzo chciała je mieć, ani tym bardziej o ciuchy. Bo wstydziła się tego, że choć pochodzi z dobrego domu, to tak naprawdę czuje się jak żebraczka.



Miesiące mijały nieubłaganie, a Marek wciąż nie potrafił się odnaleźć w cywilu. Cholerne wojsko zabrało najlepszy czas jego życia, wybiło go z wypracowanego rytmu, rozpieprzyło biznes. Coraz częściej czuł się jak ostatni dziad. Pracował dorywczo, na

ogół fizycznie. Marnie zarabiał, a potrzeby miał spore. Spotykał się z Renatą, więc raz na jakiś czas wypadało ją dokądś zaprosić, kupić dziewczynie kwiatka, czekoladki, postawić piwo w pubie.

Na szczęście nie należała do wymagających. Pochodziła z niezamożnej, wielodzietnej rodziny i miała marne perspektywy na przyszłość. Wiedziała, że rodzice nie dadzą jej żadnego majątku ani pieniędzy na start w samodzielne życie. Mogła polegać wyłącznie na własnej pracy, a do tej miała niewiele większe szczęście niż on. Chociaż zahaczyła się w końcu w biurze jakiejś spółki, która wyrosła przy Hucie imienia Sendzimira, to otrzymywała tam nędzną pensję: dokładnie tyle, ile wynosiło minimum socjalne. A przecież musiała z tego opłacić chesne za studia zaoczne, bilet miesięczny, dołożyć do domowych rachunków i wydatków na żywność. Na drobne przyjemności nie zostawało jej nic. Ale była dzielną dziewczyną i nigdy się nie skarżyła. Z godnością obchodziła wszystkie kłody, które rzucał pod jej nogi los. Pozwalała na to, by wykorzystywały ją starsze stażem i wiekiem koleżanki z pracy. Zdawała sobie sprawę, że nim współpracownicy zaczną ją doceniać i szanować, najpierw musi solidnie oberwać po tyłku.

Zakochał się w niej. Tak po prostu.

Najbardziej urzekający był jej uśmiech – jakby żywcem wyjęty z reklam pasty do zębów albo gumy do żucia. Wielbił także jej szczupłe, drobne ciało – świątynię rozkoszy, do której czasami dawała mu przystęp. Kochali się zazwyczaj u niego pod nieobecność innych domowników. Odkąd wyprowadziła się Wiolka, miał własny pokój, lecz i tak na miłosne igraszki pozwalali sobie wyłącznie wtedy, gdy byli sami. Bo Renia krępowwała się, kiedy prócz nich ktoś przebywał w mieszkaniu. Nie dowierzała zamkniętym na klamkę drzwiom. Przepęłniał ją lęk, że zdradzi ich jakiś hałas, a gdyby do tego doszło, wstydziłaby się spojrzeć w oczy jego bliskim.

Miała wspaniałą naturę: nieskomplikowaną, łagodną. Nie strzelała fochów, gdy coś jej nie odpowiadało, nie lawirowała, była prostolinijna. Należała do małomównych, cichych dziewcząt, którym obce jest zbędne jazgotanie. To też bardzo w niej cenił. Nie urządzała mu awantur z powodu byle bzdury, nie gderała, gdy za dużo wypił albo gdy przepadł gdzieś z paczką kumpli.

Zwykle zabierał ją na imprezy. Jeśli wychodzili razem, starał się nie pić tak dużo, unikał także narkotyków. Nie chciał jej sprawiać przykrości. Zresztą ona czuwała, aby nie truł się tymi świństwami. Robiła to jednak w delikatny i taktowny sposób, otaczając go swoją troską.

– Jesteś moim aniołem stróżem – mawiał, całując ją w skroń lub policzek.

– Tylko skrzydeł mi brak i aureoli – żartowała.

– Powinnaś była uczyć się na pielęgniarkę. Nie znam drugiej równie opiekuńczej dziewczyny.

Czasami jednak dawał się podpuścić, gdy koledzy szybko polewali wódkę albo podtykali strzykawkę z „ziołkami”. Wiedział jednak, że nic złego mu się nie przydarzy, ponieważ zawsze była przy nim Renia. Pilnowała, by się nie zachłysnął, gdy padał nieprzytomny. Albo pomagała mu dotrzeć do mieszkania.

Tak jak ostatniego wieczoru, gdy znowu wbił sobie igłę w przedramię i zwolnił tłoczek. Kiedy już jako tako ochłonał, Renata uznała, że czas opuścić imprezę, na której wszyscy byli naćpani lub w sztok urznięci. Dopilnowała, by Marek włożył kurtkę i owinał szyję bandaną. Potem wyszli w ciemną grudniową noc. Podtrzymała go swymi wątłymi ramionami, gdy bezwładnie wspierał na niej swój ciężar. Szli powoli, noga za nogą, a orzeźwiający chłód przywracał mu jasność umysłu.

– Renia, Renia, mój ty aniołeczku – wybełkotał Marek.

– Nie gadaj, tylko chodź. – Ciągnęła go w stronę osiedla Oświecenia. – Obiecywałeś, że już nie będziesz brał tego

świństwa. Po co ci to było? – skarciła go nader powściągliwie i łagodnie.

– Nie wiem, aniołku. Tak jakoś wyszło – wymamrotał. – Ja już nie będę, Reniu. Słowo daję.

Ech... Nic, tylko obietnice – westchnęła przygnębiona dziewczyna.

Czasami miała go dosyć, mimo ogromu miłości, którą do niego czuła. Bo patrzenie na niego sprawiało jej zarówno rozkosz, jak i ból. Podobał jej się jako mężczyzna. Był bezsprzecznie przystojny, choć jego wygląd miał w sobie coś mrocznego. A kiedy pił albo ćpał, jej serce pękało z rozpaczy. Zapewne gdyby nie kochała go tak bardzo, to kazałaby mu zniknąć ze swojego mikrokosmosu.

Rodzice przez całe życie wpajali jej, że trzeba cieszyć się tym, co przynosi los. *Nie przebieraj, nie przebieraj, byś zamiast kanarka nie dostała wróbla* – mawiała matka. *Lepszy wróbel w garści, niż kanarek na dachu* – przypominał ojciec. Tak więc z ich mądrości wynikało, że Marek jest jej kanarkiem i wróblem jednocześnie. Powinna więc zadowolić się tym, że w ogóle ktoś zwrócił na nią uwagę. Wszak była tylko niepozorną szarą myszką pochodzącą z niezamożnej rodziny. Jej przeznaczeniem była kalka losu własnej matki: skromna egzystencja u boku niezbyt zaradnego mężczyzny. Codzienna szamotanina, bez widoku na lepszą przyszłość.

Doceniała to, co jej się trafiło – mogło być przecież znacznie gorzej. A Marek gdy nie pił i nie brał prochów, był najcudowniejszym chłopakiem na świecie: troskliwym, ciepłym, oddanym. Był także wierny. Może z biegiem czasu porzuci towarzystwo, które wywierało na niego negatywny wpływ? Może wydorosłeje i z wiecznego chłopca przedzierzgnie się w odpowiedzialnego człowieka? Tylko tyle potrzeba jej było do szczęścia. Nie musiał zarabiać kokosów i robić kariery jak Adrian. Wystarczyło, że ją kochał.



Od imprezy wieńczącej letnie trasy koncertowe zespołu minęły blisko dwa miesiące. W tym czasie niewiele się działo. Prześladowca przestał przysyłać na adres fanklubu upominki, choć jeszcze kilkakrotnie przypomniał o swoim istnieniu, wysuwając oczekiwania, by „ta zdzira Pawłowska” zniknęła z show-biznesu. Mimo wszystko Wioletta za gorącą namową brata oraz Lorkowskiego postanowiła nie rezygnować z kariery, a po ochłonięciu incydent z podmianą nagrań uznać za głupi żart, który nie jest związany z tamtym człowiekiem. Rodzeństwo doszło bowiem do wniosku, że gdyby była to sprawka autora anonimów, na rzutniku pojawiłoby się coś znacznie gorszego niż słowa *game over*.

Tymczasem Tomasz znowu się rozmarzył. Bo skoro Wiolka zostaje w zespole, to nadal będzie mógł ją widywać podczas prób oraz nagrań. A to dawało nadzieję, że być może któregoś dnia jej serce skruszeje. Nie mogła przecież w nieskończoność żyć w celibacie. Nigdy żadnym słowem nie wspomniała, że kogoś ma. Na imprezie nikt jej nie towarzyszył. Nikt nie odprowadzał jej na próby. Nigdy nikogo nie zastali w jej mieszkaniu, gdy spotykali się na alei Róż. Żadnego śladu męskiej bytności.

A on miał czas i był bardzo cierpliwy. Postanowił więc czekać. Bez względu na wszystko. Zaprosił ją nawet na sylwestrowe party do przyjaciół, lecz wymówiła się chęcią odpoczynku w domowych pieleszach. Jak stwierdziła: miniony rok zaowocował taką ilością wrażeń, że każda chwila, którą może spędzić w ciszy i spokoju, jest dla niej bezcenna. A poza tym od kilku dni nie najlepiej się czuje. Jest senna, rozbita i obolała, więc marny byłby z niej kompan podczas zabawy.

Nie nalegał, choć było mu przykro.

– Jeszcze nadejdzie czas dla mnie – pocieszał samego siebie.



Małgorzata Szymczak przejrzała się krytycznie w lustrze. W jeansach, które dawno temu otrzymała od cioci Danusi, wyglądała naprawdę nieźle. Miała dość długie nogi i szczupłą talię. Ale czy jej uda nie były zbyt grube? Może jednak powinna zrzucić jeszcze trochę tłuszczu?

Westchnęła.

Mama i tato w ogóle nie zauważyli, że schudła. Koleżanki też zdawały się nie zwracać na to uwagi. Ani panie w szkole. Nikt nic na ten temat nie wspomniał. No, może z wyjątkiem Wioletty, ale ona tak właściwie się nie liczyła. Powiedziała jej komplement, ponieważ była z natury sympatyczna i po prostu wiedziała, jak kilkoma słowami sprawić komuś przyjemność. A to wszystko oznaczało, że w rzeczywistości Gosia nadal jest gruba i powinna jeszcze nad sobą popracować.

Uniosła krawędź swetra oraz koszulki wciśniętej za pasek spodni. Ostatnio ubierała się znacznie cieplej niż kiedyś, ponieważ ciągle marzła. Dwoma palcami ścisnęła fałdkę skóry na brzuchu i oceniła ilość tłuszczu pod nią. Nie spodobało jej się to, co zobaczyła. Przypomniała sobie o drożdżówce, którą zjadła przed godziną na śniadanie. Czy zdążyła ją już strawić? Wszak taka drożdżówka musi mieć mnóstwo kalorii! Nie powinna była po nią sięgać. Znacznie bezpieczniej byłoby obejść się smakiem. Albo skubnąć kilka listków sałaty.

Poprawiła odzież, a następnie wyjrzała ze swojego pokoju na korytarz. Z salonu dobiegał szmer rozmowy rodziców. Mimo niedzieli mama wybierała się na Tandetę, by zajrzeć na stoisko. Tato oglądał telewizję.

Nastolatka wśliznęła się do łazienki i starannie zamknęła drzwi. Odkręciła kran, by szum wody uderzającej o wannę zagłuszył inne hałasy. Następnie pochyliła się nad ustępem i włożyła w gardło dwa palce. Nie podziałało. Choć zaczęła się krztusić, nie pojawiły się torsje. Upiła więc kilka łyków wody i ponowiła próbę, wyobrażając sobie jednocześnie coś bardzo obrzydliwego: wielki, ociekający tłuszczem kotlet schabowy, a obok niego ziemniaki polane smalcem ze skwarkami.

Treść żołądka znalazła się tam, gdzie jej zdaniem trafić powinna.



Do świąt Bożego Narodzenia został zaledwie tydzień. Marek bez większego entuzjazmu szedł do pracy. Ostatnio zahaczył się jako magazynier w jakiejś hurtowni. Przerzucał ciężkie kartony z chemią gospodarczą. To była dość mozolna praca fizyczna. Po każdej dniówce wracał do domu zmęczony i z okropnym bólem głowy, wywołanym przez mieszaninę intensywnych, ostrych zapachów.

Zasadniczo cieszył się, że złapał tę robotę. Przynajmniej będzie miał dopływ gotówki. Przyda się trochę pieniędzy, ponieważ chciał kupić Reni prezent na gwiazdkę. Nic szczególnego, jakiś drobiazg, bo nie było go stać na wiele. Liczyła się przecież pamięć.

Ech, gdzie te czasy, gdy człowiek miał forsy jak lodu i nie musiał liczyć się z wydatkami? – westchnął, zbliżając się do kompleksu magazynowego. Co ja bym dał, żeby mieć dzisiaj tę kasę, którą przed służbą w wojsku przetrwonilem z kumplami na wódkę!

Ostatnie perturbacje z pracą uświadomiły mu jedno: musiał wziąć się w garść i skończyć szkołę. Gdy uzyska dyplom

ukończenia liceum, na pewno będzie mu lżej. Przecież nie jest jakimś ostatnim kretyńcem, musi sobie poradzić z powtórką czwartej klasy i cholernymi egzaminami. A wtedy potencjalni pracodawcy przestaną go zbywać i obarczać najgorszą robotą. No i jeszcze odpadnie wstyd przed dziewczyną, która przecież studiuje. Aż dziw, że zechciała się związać z takim niewykształconym. Musi jej pokazać, że nie rzucał słów na wiatr, gdy wspominał o planowanej kontynuacji nauki. Bo choć Renia była mu bardzo oddana, to skąd miał wiedzieć, czy za jakiś czas nie odwiedzi jej się taki chłopak?

Nie chciał dłużej czuć się jak jakiś nieudacznik.

– Pawłowski, do biura. – Kierownik magazynu nie bawił się w grzecznościowe powitania.

Marek nie lubił tego człowieka. Był nieprzyjemny, wręcz ordynarny. Czuł się panem, ponieważ dostał odrobinę władzy nad pracownikami.

Wyfiokowana sekretarka, absolutnie niepasująca do tego skądinąd mało eleganckiego miejsca, skrzywiła się na jego widok i wskazała mu krzesło.

– Usiądzie. Szef jest zajęty – burknęła nieuprzejmie.

– Ja też się cieszę, że panią widzę – odparł kąśliwie.

Usiadł i utkwiał wzrok w ścianie. Nie chciał gapić się ostentacyjnie na tkwiącą za biurkiem lafiryndę, choć przyciągała wzrok zarówno zdecydowanie zbyt mocnym makijażem, jak i klasycznym kostiumem, który stosowniejszy byłby w banku lub jakimś urzędzie niż w zakurzonej baraku. Oczywiście gdyby włożyła pod żakiet bluzkę, a nie świeciła prawie gołymi cyckami, choć na zewnątrz panował trzaskający mróz, a pomieszczenia szumnie określane mianem biur były raczej kiepsko ogrzane.

Cycate babsko miało mocno nastroszone włosy, które trzymały się w kupie wyłącznie dzięki dużej ilości lakieru. Zapewne ten lakier dostawała jako benefit od swego szefa.

Pawłowski czuł jego ostry zapach, przebijający się nawet przez świdrującą woń perfum. Wzbierała w nim fala mdłości.

Kobieta stuknęła leniwie w klawiaturę długimi, zaostrzonymi pazurami. Nie sprawiała wrażenia zapracowanej, na jej biurku panował zbyt idealny porządek. Marek przypuszczał, że sekretarka udaje zajętą, aby nie musiała z nim gadać.

Czekał i czekał, czując, jak czas dłuży się w nieskończoność. Tandetny zegar wiszący na ścianie dość głośno odmierzał upływające minuty.

Kiedy się tak siedzi beczynn timer, patrząc na przesuujące się wskazówki i słuchając monotonn timer tykania oraz klepania w komputer, to człowiek zaczyna wariować. A przynajmniej Markowi wydawało się, że dotarł na skraj szaleństwa. Odnosił wrażenie, że jeszcze moment i coś eksploduje w jego wnętrzu: walnie w łeb tę biurwę, a najlepiej rozwali cholerny czasomierz na mocno natapirowanym kasku z włosów.

– Może już? – warknął do sekretarki, lecz ona tylko pokręciła głową.

– Ale siedzę tutaj od dwudziestu minut.

– Szef zawoła – odparła tonem pełnym wyższości.

W sumie go nie martwiło, że może próżnować. Przynajmniej nie musiał taszczyć tych wszystkich kartonów, po których nieprzyjemnie wysychała skóra na rękach. Nie żeby był taki delikatny! Ale zwykle po całym dniu miał obrzmiałe dłonie, a miejscami piekła go skóra. *Być może to jakaś alergia na tę całą cholerną chemię* – pomyślał. Na samo wspomnienie o tym potarł palcami o garście.

Tak więc nie byłoby źle, gdyby nie te cholerne, monotonne odgłosy. No i smród perfum oraz lakieru do włosów, które nie były nic przyjemniejsze od zapachu proszków, mydeł i innych towarów. To wszystko wwiercało mu się nieprzyjemnie w mózg. Pewnie nie byłby tak przewrażliwiony, ale dzień wcześniej ostro zabalował z kumplami. Renia miała akurat wykłady aż do

dwudziestej pierwszej, więc poszedł na imprezę sam. Nawet nie obiecywała, że dołączy do niego, choć zapewnił, że będzie wcześniej się związał, bo to niedziela, a nazajutrz trzeba zasuwać do roboty. Stwierdziła, że po trzech dniach na uczelni będzie ledwo żywa ze zmęczenia i musi odpocząć przed pójściem do biura. Prosiła go tylko, by zachował rozwagę, lecz jemu niestety puściły wszelkie hamulce. Wszystko przez kumpli, tych cholernych podjudzaczy, którzy pokpiwali sobie, że dał się wytresować dziewczynie i nie ma odwagi, aby się dobrze zabawić nawet wtedy, gdy jest sam. No to pokazał im, jaki z niego śmiałek.

A teraz gorzko tego żałował.

Siedział z miną cierpiętnika, a wszelkie bodźce uderzały w niego ze zwielokrotnioną intensywnością.

– Pół godziny – zauważył.

– Powiedziałam, żeby czekał – burknęła nieuprzejmie, kolejny raz pomijając formę „pan”.

Piętnaście minut później, gdy Marek z trudem walczył z sennością oraz nadchodzącymi falami mdłości, monotonię zakłócił wibrujący dzwonek telefonu.

– Szef wzywa – oznajmiła sekretarka.

Trzasnęła słuchawką o widełki tak, że nieprzyjemnie zabręczało mu w głowie.

Wstał z poczuciem ulgi i wszedł do pokoju przesiąkniętego smrodem papierosów oraz wyziewami nieprzetrawionego alkoholu.

Aha, stary też chyba wczoraj zabalował – pomyślał Marek, spoglądając na siedzącego za biurkiem zwalistego mężczyznę o wyglądzie knura. Przekrwione oczy spozierały nań bezdusznie.

– Zgłoś się do personalnej po wypłatę za przepracowane dni. Jesteś zwolniony.

Marek nie dowierzał własnym uszom.

- Zwolniony? Ale dlaczego?
- Przykro mi, ale muszę zredukować personel, bo hurtownia przynosi straty.
- Wyrzuca mnie pan z pracy przed samymi świętami?
- Nie mam wyjścia. Pracujesz najkrócej i na czarno. Poza tym młody jesteś, to jakoś sobie poradzisz. Kogo mam zwolnić? Ojca dzieciom? – burczał mężczyzna, usiłując usprawiedliwić swoją decyzję.
- Tę pinde zza ściany! I tak gówno robi, tylko cyckami świeci – odparował Pawłowski. Wyszedł, trzaskając z całej siły drzwiami.
- No i co tak hałasuje? W cyrku się wychowywał?
- Spojrzał nieprzychylnie na sekretarkę.
- Nie, ale ostatnio siedziałem w jednym pokoju z małpą. Trzeba było powiedzieć, że stary mnie wywala z roboty. Nie tkwiłbym tu przez godzinę jak jakiś debil!



Wściekłość buzowała w Marku, gdy szedł na przystanek tramwajowy, ponieważ ten cholerny zbój, jego były pracodawca, przekreślił go na wypłacie wynagrodzenia. Policzyli mu zdecydowanie za mało godzin. A jak zaczął się awanturować o swoje, to usłyszał życzliwą radę, aby nie fikał, bo przecież i tak nie jest w stanie udowodnić swoich racji.

Ja pierdolę, no! Jak można mieć, kurwa, aż tak pod górkę? Nic mi się, do chuja, nie darzy, odkąd wróciłem z tego jebanego wojska – pomstował w duchu.

Pomyślał, że jak zaraz czegoś nie weźmie, to chyba trafi go szlag. Musiał załagodzić ten upiorny ból istnienia.

Wczoraj kumpel dał mu namiary na miejsce, gdzie można spotkać jednego gościa, który rozprawia prochy. Facet był stosunkowo nowy na rynku, jeszcze nie podpadł policjantom.

Można było bezpiecznie się u niego zaopatrywać. Siedział na ławce obok technikum lub stał w bramie – zawsze w tej samej lokalizacji.

Pawłowski poszedł pod wskazany adres. Ze zdumieniem zobaczył tam Pawła Szymczaka. Przetarł oczy i stwierdził, że to jest absolutnie niemożliwe, by wujek dilował. Zapewne znalazł się tam przypadkowo. Może czekał na córkę? Ta jego smarkata (jakżeż jej było? Gośka chyba), mogła już być w wieku licealnym. Pewnie cwaniak usłyszał o tym, że pod szkołą łatwo się zaopatrzyć w trawkę, i postanowił przypilnować dziewczyny.

Nie miał ochoty na pogawędkę z biznesmenem. Zamierzał przejść na drugą stronę chodnika, by uniknąć spotkania. Niestety wujek już go zauważył, i to on wyszedł mu naprzeciw.

– O! Kogóż to ja widzę? Mareczek! Siemka, młody!

– Siema!

Uścisnęli sobie ręce.

– A co ty teraz porabiasz? Zniknąłeś mi z horyzontu jakiś czas temu.

– No... W wojsku byłem.

– Ee... O tym to ja wiem. Ale gdzie się zawieruszyłeś po uregulowaniu stosunku ojczyźnianego?

– A błąkam się tu i tam – rzucił wymijająco. Nie miał ochoty tłumaczyć się, że biznes przepadł, a na nowy brak mu kapitału.

– A ty co porabiasz?

– Tak jak ty: też szwendam się tu i tam.

Pogadali chwilę o pogodzie, ostatnim meczu piłki nożnej i jakichś bzdurach. Potem Szymczak przeprosił Marka.

– Poczekaj na mnie, młody, pogadamy jeszcze – powiedział i odszedł na chwilę w bok.

Uwadze Pawłowskiego nie uszła szybka wymiana zawartości kieszeni wuja z zawartością kieszeni jakiegoś smarkacza.

A więc jednak to on jest tym nowym dilerem! – stwierdził zaskoczony chłopak. Tego na pewno nie spodziewałby się po

krewniak, choć wiedział, że nie należy do świętych.

I choć nadal miał potrzebę, aby coś wziąć, wzdrygnął się na samą myśl, że miałby kupować od tego skurczybyka.

Cierpliwie odczekał, aż Paweł przeprowadzi transakcję, choć nieszczególnie interesował się tym, co miał mu do powiedzenia. Zakładał, że chodzi o jakiś głupi interes, bo życie Szymczaka sprowadzało się tylko do tego.

W rzeczy samej – nie pomylił się w swoim przypuszczeniu. Już po chwili wujek zaczął się szeroko rozwodzić nad tym, w jaki wspaniały biznes ostatnio wszedł i jak dobrze na nim zarabia. I że nie trzeba wielkiego nakładu na start. Ale nie może mu teraz zdradzić wielu szczegółów, ponieważ nie czas to i nie miejsce na takie rozmowy. Koniecznie powinni spotkać się na spokojnie i szerzej omówić temat. Najlepiej na Złotego Wieku. Jutro o siedemnastej czterdzieści pięć.

Słyszając to wszystko, Marek parsknął śmiechem.

– Siedemnasta czterdzieści pięć? – upewnił się. – A czemu nie, dajmy na to, osiemnasta? Albo dwudziesta dziesięć? – judził.

– Ależ! Czas to pieniądz! Trzeba go cenić. Siedemnasta czterdzieści pięć. Co do minuty.

– O siedemnastej czterdzieści pięć to kogoś innego do Amwaya wkręć – odparł z przekąsem Pawłowski. – Mnie już paru namawiało na ten biznes. I wiesz co? To taka sama akwizycja, jak każda inna. Może nawet bardziej wkurwiająca, bo jeszcze trzeba szukać innych łosi, których dałoby się w to wciągnąć. Nic z tego, to nie dla mnie – odparł kategorycznym tonem. – Dla Wioletki, Adka i ojca też nie – dobitnie zakończył.



Stojąc przed lustrem, Wioletta wygładziła niewidzialną fałdkę na małej czarnej. Poprawiła niesforny pukiel włosów, który

wciąż wymykał się z modnie upiętej fryzury. Z zadowoleniem spoglądała na efekt końcowy. Czuła się piękna, szczęśliwa i ożywiona, choć dokuczała jej jakaś drobna infekcja, która powodowała osłabienie, zmęczenie i senność.

Kilka dni wcześniej zadzwonił do niej Mirosław i oznajmił, że nabył dwa bilety na bal sylwestrowy w hotelu Forum. Powiedział, że nie wyobraża sobie spędzenia tej wyjątkowej nocy bez niej i po raz kolejny wyraził ubolewanie z powodu świąt, które ich rozdzieliły, ponieważ jego rodzice postanowili zrobić mu niespodziankę i wykupili dla siebie oraz syna ekskluzywne wczasy na Gran Canarii. Nie mógł odmówić, bardzo nalegali na wspólny wyjazd. Napomknął nawet o tym, choć nie powinien, że gdy próbował się wymigać, to zaszantażowali go emocjonalnie. Stwierdzili, że to być może ostatnia okazja, aby mogli zrobić coś w trójkę. Bo czują się coraz gorzej i nie wiedzą, czy wystarczy im w przyszłości sił, by jeszcze kiedyś wyruszyć w tak daleką podróż. Na dodatek samolotem. A mamusia bardzo boi się latania. Cóż więc mu pozostało? Musiał przystać.

Wioletta nie miała sumienia, by stawiać sprawę na ostrzu noża i żądać, aby to z nią spędził okres bożonarodzeniowy. Stwierdziła w duchu, że mają przed sobą całe życie.

Pomyślała, że zaraz po Nowym Roku musi koniecznie przedstawić Brodnika rodzinie. A przynajmniej ojcu i braciom. Do tej pory nie zdradziła, że chodzi z kimś na randki, ale dość tych sekretów. Wszak znają się z Mirkiem na tyle długo, by zrobić krok do przodu. Zresztą, gdy ukochany zadzwonił do niej w Wigilię, to obiecał, że pomyśli o spotkaniu w szerszym gronie.

– Dobra, wystarczy tej próżności – uznała, odwracając się od lustra.

Poszła do salonu i usiadła na ulubionym fotelu. Zerknęła na zegar. Mirek powinien po nią przyjść mniej więcej za pół godziny. Dla zabicia czasu sięgnęła po najnowszy numer czasopisma „Przyjaciółka”. Lubiła je czasami przeglądać, a do

tego wydania za ledwie zajrzała.

Nie potrafiła skupić się na lekturze. Niecierpliwy wzrok wciąż biegł ku wskazówkom zabytkowego czasomierza, te zaś powoli przesuwwały się naprzód. Trwało nieznośnie długo, nim dotarły do dziewiętnastej. A później leniwie zmieniły położenie, odmierzając upływ minut.

Spóźnia się – przemknęło jej przez myśl. Może nie mógł złapać taksówki?

Mieli jeszcze czas. Właściwie nie musieli przyjeżdżać na konkretną godzinę. Mimo wszystko zaczęła odczuwać niepokój, choć jego podłożem nie było spóźnienie ukochanego. Bała się, że ktoś rozpozna w niej Srebrną Gwiazdkę. Ludzie różnie na nią reagowali. Tej nocy pragnęła pozostać anonimowa. By Mirosław dobrze czuł się w jej towarzystwie – bez skrępowania, że znajdują się pod obstrzałem wygłodniałych, ciekawskich spojrzeń.

Kwadrans po siódmej.

Czy to Mirka kroki słysząc na klatce schodowej? Nie, minęły drugą kondygnację, zaczęły rozlegać się wyżej, aż umilkły.

Minęło kolejne pięć minut. Zniecierpliwiona Wioletta wstała, podeszła do okna i wyjrzała na aleję Róż. Ani śladu Brodnika, choć zauważyła sporo przechodniów spieszących na sylwestrowe przyjęcia. Okna restauracji „Stylowa” przyciągały wzrok blaskiem świateł.

– No gdzież on się zawieruszył? – westchnęła zdenerwowana.

Zajrzała do Tuptusia, aby sprawdzić, czy ma dość karmy, ale gryzoń spał w najlepsze.

Zegar wybił wpół do ósmej, a wskazówki wciąż parły naprzód.

Wioletta krążyła niespokojnie po salonie. Denerwowała się nie na żarty. A jeśli Mirosławowi przydarzył się wypadek? Albo ktoś na niego napadł? Że też nie miał w domu aparatu telefonicznego! Przecież teraz łatwo było o podłączenie do sieci. Nikt nie musiał czekać w kolejce latami, jak jeszcze do

niedawna. Ona posiadała nawet komórkę, choć była dość droga w użytkowaniu. Ale żeby nie założyć stacjonarnego? To już zakrawało na sknerstwo i poniekąd również lekkomyślność. Wszak sam wspominał, że rodzice są niemłodzi. Na pewno byłoby to dla nich znaczne udogodnienie, gdyby zyskali stałą łączność ze światem.

Kwadrans po dwudziestej klapnęła ciężko na fotel.

– Okej, spóźnia się. A może on myśli, że nie byliśmy umówieni na dziewiętnastą, tylko na dziewiątą? Mirek bywa czasami taki zakręcony! Mógł coś poplątać.

Uspokojona tą teorią ponownie sięgnęła po gazetę i dołożyła starań, by skupić się na czytaniu, zamiast obserwować gonitwę wskazówek po zegarowej tarczy. Cóż, gdy po dwudziestej pierwszej Mirosława nadal nie było!

Wioletta podeszła do lustra wiszącego w przedpokoju i sprawdziła, czy nie trzeba poprawić makijażu. Znowu odgarnęła niesforny pukiel włosów, tym razem dość nerwowym ruchem, ponieważ dobry humor prysł jak bańka mydlana. Czas mijał nieubłaganie, a oni musieli dotrzeć aż do hotelu Forum. Mieli do przejechania kawał drogi. Zabawa pewnie już rozkręciła się w najlepsze.

Wróciła na fotel w salonie, choć coraz trudniej przychodziło jej oczekiwanie.

Coś się stało. Na pewno coś się stało – rozmyślała z przejęciem. Przecież to było niemożliwe, by ot tak po prostu po nią nie przyjechał. Na sto procent umówieni byli, że to on po nią wpadnie, a ona będzie czekać w mieszkaniu. Bilety miał Brodnik, więc byłoby bezsensowne łapanie o tej porze taryfy i jazda przez miasto. Mogliby się rozminąć.

Dobrze po dwudziestej drugiej z zadumy wyrwał ją dzwonek telefonu. Przepełniona najgorszymi przeczuciami ujęła w dłoń słuchawkę.

– Halo?

– To ja, Mirek – dobiegł ją głos ukochanego. W tle słychać było jakieś trudne do zidentyfikowania hałasy. – Bardzo cię przepraszam, Wiolu, ale nici ze wspólnego sylwestra.

– Co się stało? – wykrzyknęła przerażona.

– Moja matka miała wypadek. Jestem z nią na pogotowiu.

– Och... Tak mi przykro! Gdzie jesteście? Chcesz, żebym do was przyjechała?

– Nie. Nie ma takiej potrzeby. Mamę zaraz przeniosą na salę ogólną. Złamała nogę. Na pewno zaraz będzie chciała odpocząć. Muszę przy niej jeszcze trochę posiedzieć. Jest już późno, więc lepiej zostań w domu. Po Krakowie kręci się mnóstwo pijanych ludzi. Jeszcze ktoś zrobi ci krzywdę. Nie ruszaj się z mieszkania. Przepraszam cię, ale muszę już kończyć. Szczęśliwego Nowego Roku, kochanie – powiedział.

Nim zdążyła zareagować, odłożył słuchawkę.

Zdruzgotana dziewczyna poszła do łazienki, aby zmyć makijaż i rozczesać włosy. Po jej twarzy płynęły łzy zawodu. A tak bardzo cieszyła się na wspólne wyjście!



Rok 1995

Małgosia trochę zwlekała z wizytą u Wiolki, choć ciekawa była jej mieszkania i chomika, którego kuzynka hodowała ponoć w akwarium. Nie chciała być natrętna, mimo że kusily ją obiecane ciuchy. Fajnie byłoby mieć jakieś młodzieżowe rzeczy. Matka i tak nie widziała, w czym córka chodzi do szkoły, prania też prawie nigdy nie robiła, bo tym zajmowała się Alicja.

Nastolatka nigdy nie odwiedziła krewnej, gdy ta mieszkała jeszcze na osiedlu Oświecenia. Zapewne gdyby nie przypadkowe spotkanie przed miesiącem, to w ogóle nie wiedziałyby, co

u niej słycać. Rodzice niespecjalnie kwapili się do kontaktów z resztą rodziny. Podtrzymywali przede wszystkim relacje z wujkiem Bronkiem i jego bliskimi. Pozostałych Szymczaków darzyli znacznie mniejszą atencją. Do ciotki Julii i jej męża podchodzili sceptycznie, choć oni byli niezwykle sympatycznymi ludźmi z klasą. Na poziomie, jak by powiedziała matka, gdyby raczyła zwrócić na nich swą uwagę. Jej niechęć do Pawłowskich była dość dziwna, ponieważ zwykle mama dążyła do tego, by otaczać się takimi osobami.

Pewnego styczniowego dnia Gosia skróciła do minimum obowiązkową wizytę u babci. Odpuściła sobie spotkanie z Sadzidlą, gdyż szkoda jej było na to czasu. Poleciała na aleję Róż pod adres wskazany przez Wiołkę. Ku jej radości kuzynka była w domu.

Ach! Jakie piękne było jej mieszkanie! Gosia nie mogła się nadziwić i jego powierzchni, i smakowi, z jakim zostało urządzone.

– Naprawdę mieszkasz tutaj sama? Ale tak całkiem sama jedna? – wyraziła podziw dla jej samodzielności. Dla niej było to czymś nadzwyczajnym.

– Niezupełnie. Jest jeszcze ze mną Tuptuś Trzeci – oznajmiła pani domu i poprowadziła nastolatkę przed akwarium, w którym, zwinięty w puchaty kłębuszek, spał sobie w najlepsze jej maleńki pieszczoł.

– Ale fajowy! Mogę go wziąć na ręce?

– Jasne. Zaraz go obudzimy. – Włożyła dłoń do szklanego pojemnika.

Jeszcze nie zdążyła dotknąć beżowego futerka, gdy gryzoń zareagował na ruch w otoczeniu. Otworzył czarne oczka, a potem rozdziawił pyszczek i ziewnął przeciągle, prezentując komplet imponujących siekaczy.

– O! Ja cię kręcę! Ale ma zębiska! – pisnęła Szymczakówna.

– Musisz ostrożnie się z nim obchodzić, żeby cię nie ugryzł.

Wioletta wyjęła zwierzątko i włożyła Gosi do garści.

– Pobaw się z nim, a ja przyniosę coś do picia. Na co masz ochotę? Cola? Sok? Herbata?

– Poproszę o sok.

Kiedy Wiolka wróciła, dziewczynka siedziała na sofie i chichotała. Bała się gwałtowniej poruszyć, ponieważ chomik wlaź jej za kołnierz i bardzo ją łaskotał.

– Co u ciebie słychać, Gosiu? – zapytała standardowo kuzynka.

– A... Wszystko dobrze – odparła wymijająco.

Cóż mogła powiedzieć? Że jej życie to jedna wielka beznadzieja? I czasami wołałaby się nie urodzić? Albo przyjść na świat w zupełnie innej rodzinie. Nawet dużo biedniejszej, lecz takiej, gdzie miałyby odrobinę miłości i zainteresowania rodziców. Czasami przychodziło jej bowiem na myśl, że oni tak naprawdę jej nie kochają. Robili wszystko, by do reszty obrzydzić jej życie. W ogóle jej nie słuchali i nie liczyli się z jej potrzebami. Narzucali własny światopogląd. Nawet nie zauważyli, że w końcu zdołała odrobinę schudnąć i zamiast pulchnych wałków miała ładnie sterczące kości. Zwracali na nią uwagę wyłącznie wtedy, gdy musieli ją za coś ukarać. A na co dzień po prostu omijali ją, jakby była przezroczysta. Patrzyli nie na nią, lecz na wskroś. Nie słuchali albo nic do nich nie docierało. Dawali drogie zabawki, niewielkie kieszonkowe (ponieważ głupiutkiemu i nieodpowiedzialnemu dzieciakowi nie należy dawać do ręki zbyt dużo pieniędzy), słodycze i inne upominki, nie widząc jej smutnych oczu. Zamiast tych wszystkich dóbr materialnych wołałaby jakiś czuły gest.

Wiolka była inna. Miała ciepłe spojrzenie i przyjazną miękkość w obyciu. Gosia z przyjemnością usiadła obok niej na kanapie i nawet pozwoliła sobie na to, by oprzeć głowę o bark kuzynki. Paplała, co jej ślina na język przyniosła, byle tylko mieć uzasadnienie dla swej wizyty w jej domu. Aby Wiolka nie

pomyślała, że wpadła tylko po obiecane ciuchy i kasety.

Kiedy już nacieszyła się zabawą z chomikiem, poszły do drugiego pokoju, gdzie Wioletta otworzyła przepastną szafę, z której zaczęła wyciągać różne fatałaszkę. Małgosi oczy zalśniły na widok tych wszystkich skarbów.

Pawłowska ze smutkiem spoglądała na to biedne, bogate dziecko. Widziała błysk radości w oczach dziewczynki. A gdy później kuzynka rzuciła jej się w podzięce na szyję, ledwo powściągnęła płacz, czując przez kwiecistą bluzkę godną dojrzałej kobiety wątłe kruche ciało i wszystkie sterczące kosteczki.

Zastanowiła się przez chwilę, czy nastolatka nie cierpi na jakąś chorobę. Wydało jej się niemożliwe, by aż tak bardzo wychudła. Co prawda rzadko ją widywała, ale zapamiętała ją jako ładną, pulchną dziewczynkę, a nie wysuszone straszdyło. Wątpiła, by dziecko w dość zamożnym domu było głodzone. To zdecydowanie musiało być coś innego. Tylko co?

– Kochanie, a ty się dobrze czujesz? – zagadnęła.

– Jasne. A czemu pytasz?

Wiola wyciągnęła dłoń i pogłaskała jej szczupły policzek.

– Zmizerniałaś. Zapewne dlatego, że tak bardzo wyrosłaś. Ale myślę, że dla pewności mama powinna wziąć cię do lekarza. Być może masz anemię. To dość częste u dziewczyn w twoim wieku – powiedziała z troską. – Jesteś teraz taka szczuplutka! Nie do poznania.

Gosia jeszcze raz mocno się do niej przytuliła. Tak naprawdę chodziło o to, że chciała ukryć na chwilę twarz, by Wiolka nie zobaczyła jej oczu wypełnianych się łzami. Ogarnęło ją bowiem niesamowite wzruszenie tym zainteresowaniem. Jakże innym niż atencja pana Bolesława, który wciąż łapał ją za udo, a potem próbował przesunąć rękę wyżej, w miejsce, do którego nie powinien się dobierać. Ostatnio z tegoż właśnie powodu lubiła go znacznie mniej niż kiedyś.

– Wszystko dobrze – odparła w końcu, gdy już udało jej się zapanować nad wzbierającym płaczem. – Czuję się super!

– Okej. Ale uważaj na siebie, dobra? I zaglądam do mnie, jak będziesz miała trochę czasu i chęci. Zapiszę ci mój numer telefonu, bo nie zawsze jestem w mieszkaniu, więc w razie czego dzwoń, że chcesz wpaść z wizytą.



Wracając do domu, Małgorzata z przestachem myślała o tym, że gdy mama zobaczy torbę z ubraniami, to zaraz zacznie wypytywać, skąd córka je wzięła. Jeszcze gotowa je wyrzucić albo zwrócić Wiołce. Na pewno nie byłaby zachwycona, wiedząc, że rodzona jedynaczka będzie donaszać rzeczy po nielubianej przez nią krewnej. Nie mogła dopuścić do utraty tak pięknych rzeczy! Pomyślała, że na razie zostawi je u Julity. Pod nieobecność matki przemyci swoje zdobycze do mieszkania. Powkłada wszystko do szafy, a gdy mama zapyta o ich pochodzenie, to skłamię, że zaoszczędziła parę złotych i kupiła sobie trochę ubrań na ciuchach. Bo ma już dość tych okropnych falbaniastych garsonków, które szyły dla niej szwaczki w atelier.

A może matka w ogóle nie zauważy, że Gosia ubiera się młodzieżowo? Wszak ona zauważała tylko to, co chciała widzieć.

[15] Fragment utworu *Na mojej ulicy* – słowa: Kazik Staszewski, muzyka: Jacek Kufirski, wykonanie: Kazik Staszewski – album solowy, płyta *Spalaj się!*, Wydawnictwo Muzyczne Eska 1993 r.

Rozdział 8



Kobieta wyzwolona

*Słuchaj więc, dzwonię, bo chcę cię zobaczyć
A sprawa, która mam, wiele dla mnie znaczy*[\[16\]](#)

– No to się doigrałaś, moja panno! – westchnęła Wioletta.

Od paru minut z przygnębieniem spoglądała na zużyty test ciążowy, który wyraźnie wskazywał, że w jej brzuchu zagnieździło się dziecko.

Złe samopoczucie dokuczało dziewczynie od ładnych paru tygodni. Była senna, wiecznie zmęczona, obolała, podenerwowana i drażliwa. Zastanawiała się nawet, dlaczego wciąż nie jest w stanie wypocząć, skoro przestali koncertować we wrześniu. Początkowo myślała, że zregeneruje siły po kilku dniach względnie spokojnego życia, lecz dni przemieniły się w ciąg tygodni, a te złożyły się w miesiące. Zaaferowana nie zwróciła też uwagi na ostatni brak krwawienia.

Szukała przyczyn obniżonego samopoczucia wszędzie, tylko nie wewnątrz swego ciała. Myślała, że to reakcja na stres związany z jej prześladowcą i patem w prowadzonym w tej sprawie dochodzeniu. To znowu składała swój stan na karb

niewyspania, gdyż rano musiała zrywać się dość wcześnie, by zdążyć na wykłady. Kiedy indziej dochodziła do wniosku, że podłożem może być życie pod presją – często zaczepiali ją obcy ludzie i dopytywali, czy to ona jest Srebrną Gwiazdką. To ostatnie doprowadzało ją niemalże do szału, zwłaszcza gdy działo się na uczelni.

Odkąd przestali koncertować, nieznacznie zmniejszyła się częstotliwość anonimów od zwyrodnialca. Na szczęście nadal docierały one wyłącznie na adres fanklubu, choć teraz kierowane były nie do „srebrnej zdziry”, lecz do „zdziry Pawłowskiej”. Zmartwiła się, gdy ten człowiek odkrył jej prawdziwą tożsamość, ale zdawała sobie sprawę, że taka sytuacja może nastąpić.

Teraz jednak największym zmartwieniem był nie prześladowca, tylko wynik testu ciążowego. Wioletta zastanawiała się, jak Mirek przyjmie tę nowinę. Nadal nie poznała jego rodziców, on też bronił się przed spotkaniem z jej bliskimi. Mimo to na każdym kroku podkreślał, jak ważny jest dla niego ich związek. Jak bardzo kocha swoją gwiazdeczkę. Był czuły, delikatny, subtelny i romantyczny, gdy zachodziła potrzeba. Potrafił wczuć się w jej nastroje. Zdawał się idealnie znać naturę kochanki. W bieżącym semestrze nie prowadził zajęć z jej grupą, co było obydwójgu na rękę. W tej sytuacji trudno byłoby się skupić na meritum.

– Może się ucieszy? – westchnęła. – A nuż ojcostwo zmotywuje go do tego, by zaczął integrować nasze rodziny? Daj Boże, by tak było. A jeśli nie? Wolę o tym nie myśleć!

I choć wciąż czuła się marnie, doszła do wniosku, że ciąża to nie koniec świata. Ufała Mirkowi. Był poczciwym człowiekiem. Może bał się zaangażowania w związek z gwiazdą muzyki chodnikowej, ponieważ nie chciał, by echo jej kariery odbiło mu się nieprzyjemną czkawką?

Tak! Na pewno o to chodzi! – pocieszała samą siebie, bowiem

Mirek nie wiedział jeszcze o tym, że od dłuższego czasu przymierzała się do porzucenia estrady. Test ciążowy przypieczętował decyzję. Nie chciała narażać dziecka na uciążliwości, jakie niesie ze sobą ten rodzaj kariery.

Zamierzała poinformować zespół, że opuszcza jego skład. A to wyeliminuje ewentualny problem, który mógł dręczyć ukochanego.

Uspokojona i pełna optymizmu czekała na telefon od Mirosława.

Zawsze umawiali się, że to on zadzwoni. Mówił, że w mieszkaniu nie ma telefonu i korzysta z automatu w budce lub z sąsiedzkiej uprzejmości. Uważała to za dziwne. Mirek jednak tłumaczył, że rodzicom nie zależy na posiadaniu aparatu w domu, bo i tak nie mają do kogo dzwonić. Był jedyną osobą, z którą mogliby chcieć się kontaktować. A on ostatnio myśli o kupnie lub wynajmie mieszkania, więc też nie składa wniosku, bo i jaki to miałyby sens, skoro niebawem może się przeprowadzić.

Zaskoczył ją, gdy wspomniał o tym po raz pierwszy. Wszak wcześniej mówił o perspektywie odziedziczenia lokalu po rodzicach. Czyżby chciał się usamodzielnic ze względu na ich związek? Przykra była myśl, że nie chce zaprosić jej do swojego domu. A potem zaczęła analizować fakty na podstawie zgromadzonej przez siebie wiedzy. Jego rodzice stanowili starą, krakowską inteligencję. Od pokoleń byli mieszczanami, dla których robotnicza Nowa Huta jawiła się jako wrzód na zdrowym ciele miasta. Zapewne wstydził się związku z dziewczyną, która pochodzi z takiego miejsca. To byłoby krzywdzące wyjaśnienie jego toku myślenia. Wszak jej dziadek, Wawrzyniec Pawłowski, pochodził ze starej, szlacheckiej rodziny. Ukończył prestiżową Akademię Górniczo-Hutniczą, a w jego ślady poszedł ojciec Wioletty, Karol, który został tam jako wykładowca. W czym więc jej rodzina była gorsza od jego

krewnych? Nie mogła tego pojąć.

A może chodziło o charaktery jego rodziców? Czy byli ludźmi zmanierowanymi, pełnymi uprzedzeń i nieprzystępnymi? Gubiła się w domysłach.

– Wpadniesz do mnie na kolację? – zapytała po krótkiej pogawędce.

– Kiedy?

– Dzisiaj.

– Och... Tak mi przykro... Dzisiaj nie dam rady.

– Ach, to szkoda – rozczarowała się. Miała nadzieję na spotkanie wieczorem. Chciała jak najszybciej przekazać mu nowinę. Zobaczyć reakcję mężczyzny i pozbyć się delikatnego uczucia niepokoju, które siłą rzeczy wciąż jej towarzyszyło. Wszak nie byli małżeństwem. Dla niego taka wiadomość mogła być sporą niespodzianką. Czy przyjemną?

– Nie martw się, skarbie. W przyszłym tygodniu wszystko ci wynagrodzę.

– Dopiero w przyszłym? – Zmartwiła się tak długą zwłoką.

A potem pomyślała, że może to i lepiej. Bo w tym czasie sama przywyknie do myśli, że niedługo zostanie matką. Uporządkuje sprawy związane z zespołem. A potem po prostu postawi Mirka przed faktem dokonanym. Tak! To zdecydowanie najlepsze wyjście z sytuacji: musi już mieć wszystko załatwione i przemyślane, gdy przekaże ukochanemu nowiny. Przekona go, że nie jest trzpiotką ukierunkowaną na robienie kariery w show-biznesie, lecz odpowiedzialną kobietą, która stworzy w przyszłości prawdziwie ciepły dom dla niego i dziecka.

– Będziesz bardziej stęskniona – zauważył.

Poczuła, że on uśmiecha się do aparatu.

– A ty nie?

– Ależ owszem.

– Okej. Przygotuję romantyczną kolację. Tęsknię za tobą, Mirku.

– Ja za tobą też, gwiazdeczko.

Wymienili jeszcze parę czułych słówek, potem on się pożegnał, tłumacząc, że jego karta telefoniczna jest na wyczerpaniu.

Ona też już chciała skończyć rozmowę, gdyż pikanie w słuchawce informowało ją, że od dłuższej chwili ktoś usiłuje się do niej dodzwonić.

– Halo?

– Dzień dobry, pani Wioletto, Marlena Dyrwa z tej strony. Dobrze, że w końcu panią złapałam. Dzwoniłam już kilkakrotnie, ale wciąż miała pani zajęty telefon. – W jej głosie dało się słyszeć zdenerwowanie.

– Dzień dobry, pani Marleno, rozmawiałam z przyjacielem. Domyślałam się, że dręczyciel znowu dał o sobie znać – odparła Wioletta, dziwiąc się własnemu stoickiemu spokojowi.

Jeszcze wczoraj podobny telefon wywołałby w niej strach, zdenerwowanie i nieprzyjemny ucisk w żołądku. Teraz, gdy podjęła decyzję, że wycofa się z show-biznesu, samopoczucie wokalistki uległo znacznej poprawie. Zapewne nim prześladowca o tym usłyszy i odpuści sobie nękanie jej tymi koszmarowymi listami, upłynie jeszcze kilka tygodni. Prawdopodobnie w tym czasie Wiola udzieli kilku wywiadów do prasy, może nawet powie o tym w jakiejś audycji radiowej.

Liczyła na to, że osobnik, który pała do niej tak wielką nienawiścią, jest na bieżąco z poczynaniami grupy i szybko pozyska tę istotną informację. A wtedy zapanuje błogi spokój. Tylko trzeba zadbać o to, aby wszystko zostało załatwione, zanim ciąża stanie się zauważalna. Ostatnią rzeczą, której mogłaby sobie życzyć Pawłowska, byłoby wylewanie pomyj przez tego człowieka na jej nienarodzone dziecko.

– Tak. Wciąż przychodzą przesyłki listowne, czasami jakieś upominki. Wczoraj była to nabita na kołek lalka z wydłubanymi oczami, ubrana w coś, co do złudzenia przypomina jeden z pani kostiumów scenicznych.

- Ohyda. Oczywiście zgłosiła to pani na policję?
- Tak. Rozmawiałam z nimi, śledztwo trwa, lecz komisarze nie mają absolutnie żadnego punktu zaczepienia. Ten ktoś jest wyjątkowo sprytny, a na dodatek mobilny. Przeanalizowane zostały daty wysyłek i wiemy, że kilka z paczek bądź listów nadano w dniu koncertu, z oddalonej o wiele kilometrów miejscowości, a szczegóły przesyłek wskazywałyby na to, że sprawca widział występy.
- Może działają we dwóch? Jeden jeździ za nami, obserwuje i telefonicznie informuje tego drugiego, co ma przygotować?
- Tak, jest to możliwe. Proszę na siebie uważać.
- Uważam. Na szczęście w domu czuję się całkowicie bezpieczna. Nigdy nie dostałam absolutnie nic na adres nowohucki. Nie odbieram też żadnych podejrzanych telefonów. Nikt mi nie sapie w słuchawkę.
- Bardzo mnie to cieszy. Oczywiście ta sprawa nadal leży mi na sercu i, jeśli zechcecie państwo wystąpić podczas majówki, tak jak to zaproponowałam, dołożę starań, by cała trasa koncertowa została starannie zabezpieczona. Włos z głowy pani nie spadnie.
- Dziękuję. Myślę jednak, że to zbędne. Właśnie wybieram się na próbę. Zamierzam poinformować chłopaków, że chcę się wycofać.
- Co? – Wioletta usłyszała jęk szczerzego zawodu. – Ależ pani Wioletto! Proszę nie podejmować pochopnych decyzji! Pani kariera pięknie się rozwija. Mimo przerwy w koncertowaniu płyty sprzedają się doskonale. Szkoda byłoby zmarnować to, co osiągnęliście jako zespół swoją ciężką pracą!
- Pani Marleno. – Wiolka zdecydowanym tonem przerwała wywody. – Klamka zapadła. Nic nie skłoni mnie, żebym zmieniła zdanie.
- Dyrwa próbowała ją jeszcze przekonać, lecz jej argumenty nie zrobiły na Pawłowskiej wrażenia. Miała jeden własny – znacznie

ważniejszy, lecz na razie nie chciała o nim wspominać. Wychodziła z założenia, że jest to wręcz niewskazane.

Na koniec Marlena poprosiła jeszcze Wiolettę o sygnał faksu. Chciała nadać kserokopie ostatnich listów, które przysły od anonimowego prześladowcy.

Wiola zakończyła rozmowę i odebrała fax od Dyrwy. Nawet na niego nie spojrzała. Nie miała ochoty na czytanie kolejnych pomyj pod swoim adresem. Wszak ten koszmar niedługo dobiegnie końca.

Usiadła w ulubionym fotelu. Do wyjścia na próbę miała jeszcze godzinę. Wystarczająco dużo czasu, by odprężyć się i zrelaksować. Za mało, aby znaleźć sobie jakieś sensowne zajęcie. Nie miała ochoty ani na telewizję, ani na lekturę. Skuliła się w wygodnej pozie, położyła dłoń na brzuchu i zamknęła oczy. Z rozmarzeniem wsłuchiwała się w miarowe tykanie zegara. Ogarnął ją błogi spokój.

Oczyma wyobraźni zobaczyła siebie i Mirka za rok, najlepiej wiosną, jak idą na spacer przez ukwiecony park. Mijają klomby róż, z gałęzi sypią się białe płatki jaśminu lub innych kwiatów. A oni pchają przed sobą śliczny, kolorowy wózek ze swoim maleństwem. Na serdecznych palcach ich prawych rąk połyskują w promieniach słońca złote obrączki.

– Będziemy żyli długo i szczęśliwie. Tak jak babcia Julia i dziadek Wawrzyniec – powiedziała głosem zdławionym przez wzruszenie. – Jesteś moją maleńką iskierką. Moim promyczkiem nadziei.

Na błękitnym niebie jej marzeń była tylko jedna chmurka, którą starała się zanadto nie przejmować. Prawdopodobnie rodzina nie będzie zachwycona faktem, że Mirek jest niewierzący. Wśród jej krewnych przeważały osoby praktykujące. Właściwie chyba tylko ciocia Kazia określała się jako ateistka. Ale Wiola zaraz pocieszyła się myślą, że przecież nic nie stoi na przeszkodzie, by wzięli ślub kościelny. Mirek nie

musi składać przysięgi. To ona będzie ślubowała jemu, by móc żyć w zgodzie ze swoim sumieniem. Wierzyła, że ukochany pójdzie na małe ustępstwa. Sprawiał wrażenie człowieka tolerancyjnego i otwartego na świat. Miał bardzo liberalne poglądy. Nie powinien więc stwarzać problemu z ceremonią.



– Pocięło cię? – Adrian był oburzony decyzją siostry.

Siedzieli u niego w mieszkaniu całą paczką. Niedawno przeprowadził się do supernowoczesnego bloku na nowo wybudowanym osiedlu ze wszystkimi udogodnieniami: strzeżonym terenem, ogrodzeniem, wartownikiem pilnującym wejścia, garażem podziemnym i szybkobieżną windą.

Umówili się na próbę zespołu, lecz zamiast ćwiczyć najnowszy kawałek, Wiolka zastrzeliła ich taką wiadomością!

– Nie. To gruntownie przemyślana decyzja. Jestem w ciąży – wyznała, pesząc się nieco pod ostrzałem ich spojrzeń.

– Co? – Adrian usiadł z wrażenia, bowiem siostra nigdy wcześniej nie wspominała, że się z kimś spotyka.

Przypomniał sobie jednak o tym, jak podczas październikowej imprezy przyszła razem z Tomkiem, dopinając zamek sukienki. I o tym, jak przekonująco wyglądali we dwoje, gdy stali na estradzie, śpiewając w duecie, spoglądając sobie w oczy i trzymając się za ręce. Wiedział, że Lorkowski durzy się w Wioli. Od dawna ich obserwował i choć siostra z niczym się nie zdradziła, podejrzewał, że coś ich ze sobą łączy. Właściwie wtedy, gdy podpowiedział, by udawali parę, liczył na to, że trochę pomoże kumplowi i pozorna bliskość sceniczna zaowocuje uczuciem. Odwrócił się do kolegi, już miał poklepać go po plecach, pogratulować spodziewanego ojcostwa, zapytać, kiedy wesele i w ogóle wyrazić entuzjazm, gdy zobaczył, że

Lorek wcale nie wygląda na uszczęśliwionego lub dumnego. Tomasz sprawiał wrażenie człowieka, któremu ziemia usunęła się spod stóp.

Jak na złość Król też teraz na niego spoglądał i był równie skonsternowany, co Adek.

– Gra... Gratulacje! – wykrztusił mężczyzna, którego kumple z miejsca zaszufładowali jako przyszłego tatusia. – A to niespodzianka...

Na nic więcej nie było go stać.

Powinien był domyśleć się wszystkiego, gdy Wiolka odrzuciła jego zaproszenie na prywatkę sylwestrową. Jak ostatni idiota łudził się nadzieją, że jeszcze ma jakąś szansę!

Odnosił wrażenie, że lada moment się udusi. Zabije go podstępna żmija zazdrości, która nagle owinęła się wokół jego szyi, powodując nieprzyjemny ucisk gardła. Miał ochotę wyjść.

Zaskoczony Adrian spojrział wyczekująco na siostrę.

– O kurczę! Wiolka! No to dałaś czadu! Nigdy nie mówiłaś, że się z kimś spotykasz.

– Tak jakoś wyszło. Nie chciałam mieszać życia prywatnego z karierą.

– Ha, ha, ha! Dobrze sobie – zakpił. – A ja to niby co? Nie mamy wspólnych prywatnych spraw, siostra?

– Sorry, Adek, ale chyba nie muszę ci się spowiadać ze wszystkiego?

– No... Nie – przyznał. – Mam nadzieję, że przedstawiś mi mojego hm... szwagra...

– Wszystko w swoim czasie. Na razie skupmy się na tym, co najpilniejsze. Nie mogę się narażać na prześladowania teraz, gdy jestem w ciąży. Nie mogę też ściągać ryzyka na mojego narzeczonego. – Mirek jeszcze nie wiedział o niczym, lecz uznała, że może użyć tego określenia, by podkreślić powagę sytuacji.

– On cię do tego namówił, tak? Ten facet, z którym się

spotykasz – domyślił się brat.

Pozostali członkowie zespołu jeszcze nie zabrali głosu. Wiola uważnie ich obserwowała w chwili, gdy przekazywała informację. Zauważyła, że przez twarz Lorca przebiegł dziwny skurcz. Królik przyjął słowa o końcu kariery raczej obojętnie. Odetchnął, a potem przyszedł jej z pomocą.

– Słuchaj, Adek. Może to nie jest taki głupi pomysł? Dziewczyna ma środki do życia, dostanie tantiemy za wszystkie sprzedane płyty, które nagraliśmy w czwórkę. Ustawiona jest, bo kupiła sobie mieszkanie, bez kredytu, jak sądzę. Ma narzeczonego, który zatroszczy się o nią i jej przyszłość. Skończy studia, odchowa dzieciaka i po prostu zacznie nowe życie. Bez cholernych, zboczonych prześladowców.

Wioletta spojrzała nań z wdzięcznością.

– Dzięki, Królik. W samo sedno. Adek – zwróciła się do brata – poradzicie sobie beze mnie. Lorek ma dobrze opanowany wokół. Może śpiewać wszystkie piosenki, w niektórych po prostu wystarczy trochę zmodyfikować tekst.

– Nie chrzań! – zaprotestował brat. – Silver Star bez Srebrnej Gwiazdki?

– Owszem. Wystarczą trzej gwiazdorzy – upierała się przy swoim.

– Adek, dajże spokój! Nie chce dziewczyna śpiewać, to nie. Trudno. Przecież nie możesz jej zmuszać, skoro chce się skupić na nauce i macierzyństwie. Jak niby miałyby podrygiwać na scenie? Akurat wtedy, gdy zacznie się trasa koncertowa, będzie miała brzuch jak balon. Chcesz odbierać poród w czasie koncertu?

– Dobrze, że przynajmniej ty mnie rozumiesz. – Puściła oko do Daniela.

– Ale słuchaj, Wiolka! Jeśli teraz się wycofasz, to ten zboczeniec pomyśli, że po prostu wystraszyłaś się jego pogróżek. Chcesz dać łachmycie satysfakcję, że cię zastraszył?

– Niech ją ma. – Wzruszyła ramionami. – Byle mnie pozostawił w spokoju.

Kłócili się jeszcze dobrą godzinę, nim Adrian złożył broń i przyznał rację siostrze.

Wracała do domu pełna optymizmu. Wierzyła, że poradzi sobie ze wszystkim. Czuła ulgę, ponieważ z miejsca uzgodnili, że jej odejście ze składu grupy zostanie podane do publicznej wiadomości. To miała być czytelna informacja dla prześladowcy, żeby poniechał swych odrażających poczynań.

Teraz czekała ją jeszcze jedna bardzo ważna sprawa: rozmowa z Mirkiem, ale ta już nie wzbudzała jej obaw. Postawi Brodnika przed faktem dokonanym: będzie miał dziecko ze zwyczajną dziewczyną. Nie z gwiazdą disco polo. I nie ze swoją studentką, ponieważ planowała urlop dziekański, a może nawet zmianę uczelni.

– Wszystko będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze – powtarzała w kółko.



Od kilku dni trzęsło Marka jak w febrze. Nawet ojciec, którego widywał wyłącznie wieczorami, a i to nie zawsze, zauważył, że źle wygląda. Być może doniosła mu coś Matylda, na którą wpadał zwykle przed wyjściem z domu. Tak czy inaczej okazał troskę.

– Czemu nie pójdziesz do lekarza, skoro jesteś przeziębiony? Przecież nie możesz latać do pracy w takim stanie.

– Nic mi nie będzie – odparł młody. – Nie mogę sobie pozwolić na wolne teraz. Mam robotę od tygodnia, jeszcze mnie wyleją.

– Ej synek, synek. – Pawłowski pokręcił głową z dezaprobatą.
– I na co ci to przyszło? Jeszcze ci się nie nalało wody do uszu? Może jednak nadeszła pora, żebyś skończył szkołę i poszukał

lepszego zajęcia?

– Daj mi spokój, tato! – burknął chłopak.

Nie miał ochoty na dyskusje z rodzicem, który wciąż traktował go jak pęta. Odkąd Wiolka i Adek wyprowadzili się na swoje, on miał po prostu przerabane. Cała uwaga starego skupiła się na nim. Znowu wrócił temat nieszczęsnego wykształcenia, który dla obydwu był drażliwy.

– Żadne „daj spokój”. Stary chłop z ciebie, a trzeba cię karcieć jak jakiegoś szczeniaka – zdenerwował się Karol. Przeczesał dłonią szpakowate skronie. – Martwię się o twoją przyszłość.

Pawłowskiego korciło, by postawić Markowi za przykład Adriana i Wiolettę. Nie dość, że godzili naukę z tym śmiesznym zespołem muzycznym, to jeszcze w krótkim czasie zarobili pieniądze, o których jemu się nawet nie śniło. Był z nich dumny, choćby z uwagi na mieszkania kupione za gotówkę. On miał w perspektywie jeszcze dziesięć lat spłacania kredytu. Gdyby nie lokal na osiedlu Albertyńskim^[17], który sprzedał w dość dobrej cenie, zważywszy na jego opłakany standard, to pewnie byłby dożywno zadłużony.

– A co? Może wstydzisz się mnie? – Wzburzony Marek podniósł głos.

Karol natychmiast pogratulował sobie w duchu tego, że przed momentem powstrzymał się od wspomnienia o pozostałych dzieciach. Dolałby tylko oliwy do ognia, a przecież nie zamierzał kłócić się z synem.

– Nie. Po prostu się o ciebie troszczę – oświadczył dobitnie, a potem opuścił pokój Marka.

W przedpokoju pokręcił głową z dezaprobatą. Sam już nie wiedział, jak rozmawiać z tym gamoniem. Inne określenie nie przychodziło mu na myśl. *Gdzie ja popełniłem błąd? Czy poświęcałem mu za mało uwagi?*

Tymczasem Marek wyjął z szafy ramoneskę i okręcił szyję bandaną.

Chuj z tym wszystkim! – pomyślał, wychodząc z mieszkania.

Miał w pracy drugą zmianę. Powinien zachować jasność umysłu, bo szkoda byłoby stracić kolejne zajęcie. Zwłaszcza że tym razem dostał prawdziwą umowę, a nie lipny świstek do podpisania, żeby być krytym przed kontrolerami z PIP-u. Pomyślał jednak, że jak teraz weźmie małą działeczkę, dosłownie pół porcji, to do czternastej zdąży ochłonać.

Już dawno wyprowadziłby się od ojca, ale nie miał kasy na wynajem, o kupnie własnego „M” w ogóle nie było mowy. Chętnie zamieszkałby z Renatą. Może gdyby miał ją na co dzień, to nie potrzebowałby szukać ukojenia w narkotykach? Wtedy niepotrzebne by mu były te wszystkie chwile, gdy zwalniał tłoczek strzykawki albo kiedy wycierał resztki bezcennego proszku spod nosa? Nie włóczyłby się z kumplami w podejrzone miejsca, do starych, opuszczonych ruder, niedokończonych budowli, pomiędzy ogródki działkowe. Byle znaleźć schronienie przed deszczem, wiatrem czy śniegiem. Wziąć coś, a potem osunąć się na podłogę bądź posadzkę i w bezpiecznym zakamarku, z dala od wścibskich spojrzeń, poczuć obezwładniającą ulgę.

Jak na złość w żadnym z miejsc, gdzie spotykali się zazwyczaj, nie znalazł nikogo znajomego. Nie było też faceta, który najczęściej sprzedawał mu towar. Ale wiedział, że jest ktoś, kto o tej porze siedzi na ławce pod miejscowym technikum lub stoi w pobliskiej bramie, jeśli warunki atmosferyczne są niesprzyjające.

Potrzeba chwili była silniejsza niż wszelkie skrupuły. Nie miał wyjścia, musiał kupić towar od Pawła.

A właściwie dlaczego nie miałby tego zrobić?

To tylko jedna mała działeczka. Nie jest jakimś cholernym ćpunem! W każdej chwili może zerwać z prochami. Kiedyś jego los się odmieni. Skończy szkołę. Znajdzie godną pracę i samodzielne mieszkanie. Ożeni się z Renatą. Będą mieli dwoje

dzieci. I psa. Koniecznie.

Przecież wujek nie podpieprzy go do starego. Bo niby co miałyby powiedzieć? „Słuchaj no, kuzyn, jestem dilerem i właśnie sprzedałem prochy twojemu synkowi”?

Wciąż trzęsąc się ni to z zimna, ni to z jakiegoś wewnętrznego niepokoju, począpał w wiadomym kierunku.

– O! Marek! – Paweł wyraźnie ucieszył się na jego widok. – Co słychać, stary? – zagadnął.

Właściwie nie musiał pytać. Wygląd krewniaka powiedział mu wszystko. Wystarczył jeden rzut oka na drżące dłonie, gdy wymieniali uścisk rąk, oraz na blade policzki i przekrwione, rozbiegane oczy. Domyślał się, po co ten szczeniak do niego przylazł. Na pewno nie namyślił się, aby przystąpić do biznesu w Amwayu. Był ewidentnie na głodzie, a między ćpunami szybko rozchodzą się wieści o tym, co i gdzie można nabyć.

Czy powinien sprzedawać mu towar?

Klient to klient – pomyślał bez skrępowań.

– A co ty tak dygoczesz? Zimno ci? – zakpił.

– A tak mnie coś telepie dzisiaj.

– Słuchaj no, młody, nie potrzebujesz jakiegoś lekarstwa na swoją febrę? Bo wiesz, że na mnie możesz w razie czego liczyć?

– Puścił do niego oko.



Tomasz chwiał się przy barze. Przed nim stał opróżniony kieliszek – jeden z wielu wypitych tego wieczoru. Od kilku dni Lorkowski pozostawał w stanie permanentnego upojenia alkoholowego. Pił, wracał do mieszkania, gdzie padał nieprzytomny. A potem budził się po to, by znowu pić.

Jego świat legł w gruzach. Już nic nie będzie takie samo. Stracił miłość swojego życia. Bezpowrotnie.

Nigdy więcej nie będzie wspólnego koncertowania, gdy trzymał dłoń ukochanej dziewczyny, spoglądał w ciemnobrązowe oczy i śpiewał tylko dla Wioletty. Nieważne były piszczące tłumy fanek. Liczyła się tylko ona.

W jej życiu był ktoś inny. Pilnie skrywany sekret, który właśnie ujrzał światło dzienne.

Upić się, upić, zapomnieć... Wyrwać to wszystko z myśli!

A jeśli alkohol nie pomoże, to były jeszcze inne sposoby.

Beznamiętnie myślał, jak łatwo można się pozbawić życia. Bo cóż to za życie bez niej? Bez ukochanej kobiety. Bez nadziei.

Minął tydzień, a ból po utracie Wioletty nie malał.

Jeszcze jedna setka na odwagę, a potem wejść na dach najbliższego bloku i z niego skoczyć. Zakończę to jak mężczyzna. Bez przedłużania agonii i rozdrapywania ran, które nigdy się nie zagoją.



Podeksycytowana Wioletta przygotowywała kolację. Chciała, by ten wieczór miał w sobie choć szczyptę wyjątkowości. Nakryła stół w salonie białym obrusem. Zadbala o kwiaty i świece oraz coś smacznego na ciepło, w myśl zasady, że droga do serca mężczyzny wiedzie przez żołądek. Włączyła nastrojową muzykę.

Po długiej, relaksującej kąpieli w pianie spryskała się ulubionymi perfumami. Potem włożyła małą czarną, w której miała pójść z Mirkiem na tego nieszczęsnego sylwestra, a ramiona otuliła miękkim szalem z kaszmiru. Z bijącym sercem oczekiwała ukochanego.

– Ślicznie wyglądasz – powiedział, całując ją na powitanie w policzek. – Jakaś szczególna okazja? Coś przeoczyłem? Imieniny? Urodziny?

– Później wszystko ci opowiem – odparła z tajemniczą miną.

Ujęła go za rękę i zaprowadziła do pokoju.

– Siadaj. Zaraz podam kolację.

– Ależ ze mnie melepet! – Pacnął się w czoło na widok pięknie nakrytego stołu i całej romantycznej otoczki. – Powinienem był przynieść wino. Poczekaj chwilę, skoczę do sklepu. – Zawrócił w stronę drzwi, lecz go powstrzymała.

– Daj spokój, to zbędne. Zostań, bo jedzenie wystygnie.

Wrócili więc do salonu. Mirek zajął miejsce przy stole.

– Pomóc ci w czymś? – zawołał w stronę kuchni.

– Nie ma takiej potrzeby. Zaraz wracam! – usłyszał w odpowiedzi.

Czekał więc cierpliwie na kochankę, rozglądając się po dobrze mu znanym wnętrzu. W mieszkaniu Wioletty zawsze odczuwał błogi spokój. Było tutaj przytulnie i cicho. Nawet wtedy, gdy grała muzyka, nie był to hałas, lecz coś, co sączyło się z głośników w tle, nie zagłuszając rozmowy. No i jeszcze ten komfort!

Jako mieszkaniec starej części miasta miał kiepskie wyobrażenia o Nowej Hucie. Póki nie zbliżył się do Wiolki, wydawało mu się, że to dzicz zamieszкана przez jakąś patologię. Uważał to miejsce za najbardziej niebezpieczną dzielnicę Krakowa. Myślał, że robotnicy żyją w ciasnych, brudnych klitkach, oddając się jakimś prymitywnym uciechom, bądź po prostu wegetują, skacząc pilotem po kanałach telewizyjnych. O ile w ogóle posiadali telewizory na pilota.

Kiedy więc Wiola zaprosiła go do siebie, po prostu oniemiał. Podziwiał dużą, ładnie zaaranżowaną przestrzeń. Miłą dla oka przytulność każdego pokoju. Dbłość o szczegóły. Porządek panujący na klatce schodowej oraz w mieszkaniu. O ile nie spodziewał się, by dziewczyna była jakimś strasznym flejtuchem, to zakładał, że klatka schodowa może być przystanią dla okolicznych żuli i będzie w niej cuchnąć moczem lub wymiocinami. A tu niespodzianka! Widać było, że i o tę

część budynku mieszkańcy należycie dbają. Ściany były czyste, pozbawione wszechobecnych w Krakowie gryzmołów. Wisiały na nich obrazki, a na parapetach poustawiano doniczki z nieco rachitycznymi kwiatami pelargonii. Niby nic wyszukanego – zapewne przedmioty te znajdowały się wcześniej w czyichś pokojach, lecz znudziły się swoim właścicielom. Ale i tak tworzyły przyjemny klimat, jakże daleki od jego wcześniejszych domniemań.

Teraz już wiedział, że nigdy w życiu nie wolno uogólniać, ponieważ uogólnienia są najbardziej krzywdzące.

No i jeszcze Wioletta! Cóż z niej była za kobieta! Taktowna, wyrozumiała, łagodna. Nie tak wyobrażał sobie gwiazdę muzyki chodnikowej w życiu codziennym. Myślał, że jest pewną siebie cwaniarą, dla której liczą się wyłącznie kariera i pieniądze. Że jest kapryśna, roszczeniowa i wścibska jak niemalże każda baba, z którą miał do czynienia. Tymczasem ona była nader skromna, nie epatowała swoimi sukcesami w branży muzycznej. Przykładała się do nauki. Nie wikłała się w żadne skandale. Była niezwykle dyskretna i nie drażyła tematów, o których nie chciał dyskutować. Zostawiała mu maksimum prywatności. Po prostu była z nim na jego warunkach.

Kobieta idealna?

Zjedli kolację, rozmawiając o jakichś błaHOSTkach. Nagle zastrzeżiła go informacją, której w ogóle by się nie spodziewał:

– Rzuciłam Silver Star.

– Serio?

– Serio. Poinformowałam dzisiaj chłopaków, że koniec muzykowania. Już dawno nosiłam się z tym zamiarem. Moja decyzja jest ostateczna i nieodwołalna.

– No to mnie zaskoczyłaś – powiedział z niedowierzaniem. – I co teraz? Praca w biurze?

– Niekoniecznie. Na razie będą mi spływały tantiemy ze sprzedanych płyt. Myślę, że na dłuższy czas powinno ich

wystarczyć.

– Chcesz się skupić na studiach? – odgadł.

– Owszem. I nie tylko. Również na tobie, ponieważ przez mój chaotyczny tryb życia nie mieliśmy dla siebie zbyt wiele czasu – oznajmiła.

Rzeczywiście tak było. Chociaż zespół nie dawał występów, gwiazdorzy wciąż musieli udzielać się medialnie. A to artykuł prasowy, a to jakiś wywiad. Ostatnio jakaś komercyjna stacja telewizyjna zaprosiła ich do swojego studia.

– Jak miło – odparł bez większego entuzjazmu. Według niego łącząca ich relacja była odpowiednio wyważona. Nie miał czasu ani energii na więcej. Naszła go obawa, że teraz Wiola zacznie rościć sobie prawo do częstszych schadzek. Nie spodziewał się jednak tego, co jeszcze miała do powiedzenia.

– Teraz to się musi zmienić, Mirku. Oczekuję dziecka – powiedziała, zniżając głos niemalże do szeptu.

– Co? – zapytał, całkowicie zbity z tropu.

– Jestem z tobą w ciąży.

– Nie, nie! To absolutnie niemożliwe – zaprzeczył gwałtownie.

Zmartwiła się, że tak zareagował. Wiedziała, że będzie zdziwiony. Spodziewała się jednak spokojniejszego przyjęcia nowiny, którą właśnie mu zaserwowała. A nim ewidentnie targęło wzburzenie. Zerwał się z krzesła i spojrzał na nią z wyrzutem.

– Zrobiłaś to specjalnie? – zapytał chłodnym, nad wyraz opanowanym tonem, niepasującym do nerwowych ruchów oraz grymasu twarzy.

– Ależ nie! Mirku! Jak mogłeś tak pomyśleć? To się po prostu stało i już – odparła.

Zaklął po cichu. Powinien był przewidzieć taką możliwość. Dobrze wiedział, czym skutkuje współżycie z kobietą. Przeszedł kilka kroków po pokoju, namyślając się nad tym, co powinien zrobić.

Mała dziwka zapędziła mnie w kozi róg – zachnął się w duchu.

– Czego ode mnie oczekujesz? – wycedził.

Jeszcze panował nad sobą i eksplozją gniewu. Musiał najpierw poznać punkt widzenia kochanki, choć domyślał się po części jej ewentualnych roszczeń. Nie bez powodu były te świece, kwiatki, kusa kiecka i kolacja na ciepło. Najpierw chciała go ugłaskać, urobić, pokazać, jaka jest wspaniała. A teraz pewnie powie coś o obrączkach, przysiędze dozgonnej miłości i podobnych bzdurach.

– No... – zająknęła się, zbita z tropu. Miała cichą nadzieję, że gdy pierwszy szok minie, to Mirek zaproponuje jej małżeństwo. Wszak spotykali się już wystarczająco długo. Łączyło ich uczucie. Mieli gdzie zamieszkać, obydwójce byli ustawieni. Czegóż więcej można było pragnąć? – Myślę, że powinieneś wziąć czynny udział w wychowaniu naszego dziecka – powiedziała roztropnie.

Przecież nie powiem mu wprost, że powinien poprosić mnie o rękę. To do niego należy w tej chwili inicjatywa – pomyślała, stwierdzając z zaskoczeniem, że tak naprawdę wcale nie zna mężczyzny, z którym wiązała tyle nadziei. Wyglądał na sceptycznego i trochę oszołomionego, jakby w ogóle nie pojmował powagi sytuacji.

– Naszego? – powtórzył, przyprawiając ją o konsternację.

– Chyba nie wątpisz, że to twoje dziecko, Mirku – wyszeptała.

– No... Mam wątpliwości – odparł ze stoickim spokojem. – Widziałem kiedyś w telewizji migawkę z waszego koncertu. Stałaś na scenie z jakimś wymoczkowatym blondynem. Trzymaliście się za ręce. On patrzył ci w oczy, przykładał dłoń do serca, a piosenka była ewidentnie miłosna. To twój kochanek?

– Dobry Boże! Nie! Mirku! Lorek jest moim kolegą z zespołu, a to, co zobaczyłeś na scenie, było wyreżyserowane. Chodziło

o stworzenie klimatu!

– No to się wam udało. Aż za bardzo, jak sędzę.

– Przestań opowiadać głupstwa! Czyżbyś był zazdrosny?

– O kogo? O tego leszcza? – Wzruszył ramionami. – To nie jest moja sprawa. Możesz robić co chcesz. Jesteś dorosła – burknął.

– Owszem. To jest twoja sprawa, ponieważ dziecko, którego oczekuję, jest twoje. Będiesz ojcem, Mirku – powiedziała, siląc się na spokój, choć wewnątrz dygotała ze złości. Przed zrobieniem mu awantury za idiotyczne podejrzenia powstrzymywała ją świadomość, że zaślepiiony zazdrością Brodnik nie myśli racjonalnie.

– Nie. Nie. To niemożliwe – odparł ledwo dosłyszalnym szeptem. Klapnął ciężko na krzesło. – Nie mogę zostać ojcem.

W tej samej chwili dziewczyna uznała, że prawdopodobnie jego niemą reakcja związana była z obawami, które poczuł na myśl o płaczącym noworodku. Słyszała, że niejednego mężczyznę przeraża perspektywa nieprzespanych nocy, ząbkowania, pieluch i innych atrakcji.

– Ależ Mirku, dziecko to nic strasznego. Większość ludzi posiada potomstwo. Damy sobie radę – zapewniała łagodnym głosem. – Przecież na początku to przede wszystkim matka opiekuje się maleństwem...

– Ale ja już mam dzieci! – krzyknął nagle. – Trójkę! Z moją żoną!

Spoglądała na niego w osłupieniu. Nie spodziewała się takiego obrotu sprawy.

– Trójkę dzieci? Z żoną? – powtórzyła za nim, czując, że jej płucom zaczyna brakować tchu.

– Tak. Trójkę dzieci z żoną – potwierdził te straszne słowa.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi, że jesteś żonaty? Jak mogłeś być tak podły i dwulicowy? – krzyknęła z rozpaczą. Wciąż nie mogła uwierzyć w to, co właśnie powiedział. Miała przemożną ochotę skoczyć mu do oczu. Albo rzucić się nań z pięściami.

Sprawić mu ból, który i tak byłby niewspółmierny do tego, jakiego sama doznała.

Powinnam wywalić go stąd na zbity pysk – odezwał się głos rozsądku w jej głowie, lecz w tym samym momencie wróciło wspomnienie wszystkich cudownych wspólnie spędzonych chwil. Nie! To niemożliwe. To nie dzieje się tak naprawdę. On mnie zaraz przeprosi i powie, że tak tylko głupio palnął, bo jest w szoku.

– Bo to nie miało znaczenia. Nie planowałem z tobą dzieci. Myślałem, że to taka luźna znajomość. Przecież niczego ci nie obiecywałem! – Złapał ją za ramiona i potrząsnął.

To przywróciło jej trzeźwość umysłu. Zrozumiała, że nie oszukiwał, mówiąc o swojej rodzinie.

– Jak mogłeś mnie tak okłamywać? – powtórzyła z narastającym gniewem. – Mówiłeś, że mnie kochasz.

– Ludzie mówią różne rzeczy. Ale nie oznacza to od razu, że trzeba ich traktować poważnie. No nie rób takiej miny, jak urażona niewinność.

– Na litość boską, Mirek! – wykrzyknęła. Po jej twarzy zaczęły płynąć łzy upokorzenia. Otarła je szybko wierzchem dłoni, nie przejmując się tym, że przy okazji rozmaże sobie makijaż. Teraz to już i tak było nieistotne. Nie musiała być dla niego piękna. Czar ich związku prysł jak bańka mydlana już wcześniej, czyli w chwili, gdy Mirek lekkim tonem zanegował jej wierność.

– Nie mieszaj w to żadnych bogów. Dobrze wiesz, że programowo jestem ateistą. Dobra, do rzeczy. Wychodzi na to, że pojawił się problem, który trzeba jakoś rozwiązać – powiedział spokojnie. W głowie miał tylko jedno racjonalne wyjście z sytuacji.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytała wystraszona.

– Trzeba się tego pozbyć – oznajmił, pokazując jej płaski jeszcze brzuch. – Nie ma takiej opcji, abym zostawił dla ciebie żonę i dzieci.

– Słuchaj, ja nie oczekuję, że porzucisz dla mnie swoją rodzinę. – Była zdruzgotana, lecz musiała spróbować wywalczyć coś dla tej istoty, która miała przyjść na świat. – Oszukałeś mnie, to zmienia postać rzeczy, ale nie możesz ignorować faktu, że zostaniesz ojcem.

– Ale jak ty to sobie wyobrażasz? Mam powiedzieć żonie: sorry, ale od tej pory ujmę coś naszym dzieciakom, bo muszę łożyć na bachora mojej kochanki? Mam w przyszłości przedstawić bękartą moim bliskim? A może powinienem zabierać go na niedzielne obiady i spacerować ze starszym rodzeństwem? – ironizował.

– Nie mów tak o moim dziecku! – zaprotestowała gwałtownie.

– Jak? Bękart? A czymże innym jest to... coś – zająknął się, wskazując jej brzuch.

– Ty draniu! Ty podły, zakłamany draniu! Wypierasz się własnego dziecka?

– Kobieto! Mówiłem ci, że mieszkam z rodzicami! To są rodzice mojej żony! Chcesz, żeby wyrzucili mnie na zbity pysk? A może jeszcze polecisz do dziekana na uczelni, by wywalił mnie przez ciebie z roboty? Albo opowiesz o tym w prasie brukowej? Chcesz zrujnować mi życie? Mnie, mojej żonie i trzem niewinnym maluchom! Weźmiesz to na siebie? Przyjmiesz taką odpowiedzialność?

– Nie. Nie musisz tego robić. Wystarczy, że będziesz nas odwiedzał. Nie chcę, by małeństwo wychowywało się absolutnie pozbawione ojca. Poświęć mu tylko odrobinę swojego czasu – prosiła z załamionymi oczami, choć czuła, że sprawa jest przegrana.

– Zapomnij! Musisz usunąć ciążę. To prosty i bezpieczny zabieg.

– Nie zrobię tego – odparła cicho, lecz stanowczo. Dla niej sprawa była jasna.

– Musisz. Ja nie wezmę odpowiedzialności za twoje dziecko.

- Nasze – poprawiła.
- Skąd mam wiedzieć, że nasze?
- Ależ Mirek! Jak możesz w to wątpić! Byłeś moim pierwszym mężczyzną! – wykrzyknęła oburzona.
- Może i tak. Ale skąd mam wiedzieć, czy jedynym? Wciąż jeździsz na koncerty. Spotkasz się z ludźmi, masz tysiące fanów. Z iloma wielbicielami zdążyłaś się przespać?
- To podłe! Jak możesz wygadywać podobne bzdury!
- Zdenerwowała się. Teraz już wiedziała, że marzenia o wspólnych spacerach z nim i dziecinką są czymś zupełnie nierealnym. Zdała sobie sprawę z tego, że choć była z Mirkiem od niemalże pół roku, to tak naprawdę wcale go nie знаła, lecz uległa jakiejś fatalnej iluzji. Kochanek okazał się kłamcą, który dopiero teraz ujawnił swoją prawdziwą twarz – jakże rozczarowującą.
- Musisz pozbyć się kłopotu.
- Nie! Tak nie można! – zaprotestowała, walcząc ze łzami.
- Jak to: nie można? – zdziwił się. – Wszystko da się załatwić. Wszak „jesteś kobietą wyzwoloną”^[18] – zanucił ostatnie zdanie, trawestując tekst Kazika Staszewskiego.
- Wynoś się stąd, ty bydlaku! – wrzasnęła, modląc się w duchu, by jeszcze przez chwilę zapanować nad łzami, które uporczywie cisnęły się do jej oczu.
- Oczywiście, że zaraz sobie pójdę – wysyczał. – Ale najpierw zapowiadam ci jedno: jeśli ktokolwiek dowie się o tym, że mieliśmy romans, to zniszczę ciebie i ten wasz cholerny disko-klepisko zespół. Tak was będę obsmarowywał we wszystkich możliwych gazetach, że się posracie. Każdemu redaktorzynie, który zapłaci mi choćby złotówkę, będę opowiadał ze szczegółami, w jaki sposób lubisz się stukać. Chcesz tego? – zapytał.
- Wypierdalaj! – krzyknęła, wskazując palcem w stronę wyjścia. – Nigdy więcej nie chcę cię widzieć! Wynoś się, ale już!

Opuścił jej mieszkanie, zabierając po drodze płaszcz z przedpokoju i trzaskając głośno drzwiami.

Po wyjściu Mirka Wioletta ukryła twarz w dłoniach. Klapnęła na ulubiony fotel i zaczęła rozpaczliwie płakać. Mogła spodziewać się wszystkiego: zdenerwowania lub radości, deklaracji, że mężczyzna weźmie odpowiedzialność za dziecko, oświadczyn lub słów, że nie pobiorą się, ale będzie aktywnie uczestniczył w wychowaniu maluszka.

Nie spodziewała się, że potraktuje ją jak dziwkę.

– Mamusiu, moja mamusiu! – zawołała w bólu. – Ależ mi teraz ciebie brakuje!

Jeszcze nigdy nie tęskniła za zmarłą równie mocno, jak w tej chwili. Tak bardzo pragnęła, by przez krótki moment poczuć na głowie kojący dotyk jej dłoni.



Po kolejnym całonocnym picu gorzały Tomasz rzucił na bar kilka banknotów i opuścił lokal, w którym przed laty pracowała Wioletta. Był cholernym masochistą, ponieważ ciągnęło go wszędzie tam, gdzie pozostawiała ślady swoich stóp.

Powiniennem teraz jechać na Alertyńskie albo na Oświecenia, bo tam jest wyższy blok, wleźć na dach jej domu, a potem z niego skoczyć. A najlepiej rzucić się z kamienicy przy alei Róż.

Ostatecznie zdecydował się na centrum Nowej Huty. Pragnął umrzeć na bruku pod jej oknami.

Złapał taksówkę i kazał się wieźć na plac Centralny. Był już tak pijany, że wszystkie bodźce docierały do niego ze znacznym opóźnieniem. Oczy mu się kleiły. Chciał spać. Chciał umrzeć. Chciał zasnąć snem wiecznym.

– Aleja Róż – oznajmił kierowca, zatrzymując samochód.

Lorkowski zapłacił za kurs. Machnął ręką na resztę. Pieniądze

już nigdy nie będą mu potrzebne do niczego. Raz na zawsze uwolni się od wszystkich niedogodności związanych z życiem. Jeszcze tylko musi dostać się na dach, a potem wykona skok ku wieczności.

Wejście do klatki schodowej zabezpieczone było domofonem. Podobnie brama obok i kawałek dalej.

– A nich to jasny szlag trafi! – zdenerwował się mężczyzna, chodząc po osiedlu.

Rozejrzał się półprzytomnie i we wczesnorannej szarówce zobaczył budynek przedszkola. Z jego dachu zwisał piorunochron.

– Poradzę sobie! – Lorkowski niemalże ucieszył się na ten widok.

Złapał za przewód, sprawdził, czy mocno trzyma, a potem zaczął mozolną wspinaczkę. Pobudzony rześkim powietrzem odnalazł w sobie pokłady energii. Szło mu nadzwyczaj zwinnie. Być może dlatego, że opuścił go już cały strach. Nie bał się śmierci i zasadniczo było mu obojętne, czy w trakcie wdrapywania się spadnie na grzbiet niczym żuk i przetrąci kręgosłup, czy dotrze na szczyt i stamtąd zeskoczy. Właściwie wolałby drugą opcję. Zawsze to o parę metrów wyżej i większe prawdopodobieństwo, że osiągnie zamierzony cel.

Poza tym chciał przed śmiercią wykrzyknąć imię ukochanej, a dopiero potem skoczyć.

Ostatnie pół metra. Jego dłonie zaczynały krwawić, gdyż parę razy trochę się obsunął. Nie odczuwał bólu. Alkohol skutecznie przyćmiewał fizyczne doznania. Złapał krawędź pokrytego papą dachu. Podciągnął się z niemałym wysiłkiem. Trochę to trwało, zanim nieporadnie zdołał wstać.

Zachwiał się niepewnie. Osiedle budzące się ze snu zawirowało przed jego oczami. Nie słyszał psiego szczekania ani nawoływania jakiegoś mężczyzny, który próbował przywrócić go do porządku i żądał, by natychmiast zszedł. W nosie miał

policję, którą go postraszone.

Kiwał się na skraju. Nie patrzył w dół, lecz do przodu. Nie widział fasady budynku stojącego opodal. Falujących firanek, zza których spoglądali ciekawscy. Widział tylko Wiolettę.

Stał, a w duszy grała mu ulubiona muzyka, bowiem on także, podobnie jak Pawłowska, miał zupełnie inne preferencje muzyczne, niż mogłoby się to wydawać. Ileż razy nucił piosenki niedawno utworzonej grupy Wilki, która zdobywała szybko coraz większą popularność wśród młodzieży? Ile razy wiercił dziurę w brzuchu Adrianowi, by sami zaczęli wykonywać coś zbliżonego do tamtych utworów.

Teraz spoglądał śmierci w oczy, a śmierć miała oczy ukochanej. Jej ciepłe spojrzenie. Brązowe tęczęwki, w których pragnął zatonać.

– *Every stand of no way / Every town we muddle again / Call, I hold your memory / Every game of no sense / Every shame we offer in game / Hold on lovely memory / Son of the blue sky*^[19] – zaśpiewał nader czysto, zważywszy na stan mocnego upojenia alkoholowego. – Wiola! – ryknął na ostatek w niebo, a potem odepchnął się stopami od podłoża.



Tej nocy Wioletta nie zmrużyła oka nawet na moment. To krążyła po mieszkaniu, to znowu opadała na fotel i płakała rzewnymi łzami w poczuciu nieprawdopodobnej bezsilności. Zegar w kącie salonu odmierzał upływające godziny.

Kobieta kolejny raz podeszła do okna. Wstawał nowy dzień. W powietrzu unosiła się lekka mgiełka. Zza kamienic otaczających plac Centralny imienia Ronalda Reagana wyłaniały się promienie styczniowego słońca, dając iluzję ciepła. Otulały kamienice różowawą poświatą. Bezlitośnie

ujawniały zakurzone, poszarzałe tynki. Miasto ścisnął mróz. Na skwerach leżały niewielkie, mocno ubite kopce poczerńniętego śniegu. Ludzie spieszyli chodnikami, myśląc o własnych troskach i problemach, nikogo nie obchodziła dziewczyna stojąca w oknie dwie kondygnacje wyżej.

Wiola bezmyślnie spoglądała na gołębie drepczące po alei Róż. Kilka minut wcześniej ktoś rzucił im trochę ułomków chleba, więc teraz zaciekle biły się o posiłek. Mimo zamkniętych okien słyszała niedaleki sygnał pędzącej karetki pogotowia.

Może jedzie do mojego złamanego serca? – przeszła jej przez głowę trochę absurdalna myśl.

Jeszcze nigdy nie czuła równie ogromnej samotności.

Dwa lata poświęcone karierze muzycznej skutecznie odsunęły ją od przyjaciół. Podczas gdy ona koncertowała, część jej koleżanek pozakładała rodziny, inne jeszcze się uczyły, ale żyły własnymi sprawami i nie po drodze im było z gwiazdą disco polo. Być może zazdrościły Wiolce sukcesów. Tak czy owak kontakt się urwał. Pawłowska nie miała do kogo zadzwonić, by wypłakać się w rękaw. Rozpaczliwie potrzebowała czyjejś obecności. Słów pociechy. Zapewnienia, że wszystko będzie dobrze i jakoś się ułoży. Że nie będzie z dzieckiem sama, skazana wyłącznie na własne siły.

Zastanawiała się, czy nie wykręcić numeru do Matyldy. Macocha była życzliwą osobą, nigdy nie powiedziała Wioli nic, co mogłoby sprawić jej przykrość. Ale opowiadanie jej o tym problemie w niczym by nie pomogło. Na pewno z troski i dobrej wiary powtórzyłaby wszystko mężowi. Wioletta jeszcze nie była gotowa na stawienie czoła ojcu, który na pewno będzie rozczarowany tym, co się stało. Tyle razy przestrzegał ją, by na siebie uważała! Napominał, że sława może pociągać za sobą nieprzyjemne sytuacje. Że może spotkać na swej drodze ludzi, którzy będą chcieli się nią zabawić.

Nie przypuszczał tylko, że zrobi to mężczyzna, który nie ma

nic wspólnego z show-biznesem.

Nagle dotarło do niej, że jest tuż obok niej ktoś, na kogo zawsze mogła liczyć.

– Babcia Julia! – wykrzyknęła przez łązy, a potem weszła do przedpokoju. Włożyła buty i ciepłą kurtkę. Owinęła szyję szalikiem, nacisnęła czapkę na uszy. W pośpiechu opuściła mieszkanie. Miała nadzieję, że dziadkowie już nie śpią.



W sobotę przed południem Gosia jak co tydzień zamierzała odwiedzić babcię. Obiecywała sobie, że posiedzi u niej godzinę, najwyżej dwie. Być może zajrzy też do państwa Sadzidlów, aby się z nimi przywitać, a potem skoczy do Wioletty. Miała ochotę spędzić trochę czasu z kuzynką, pokazać jej, jak szafowo wygląda w kurtce, jeansach oraz innych rzeczach, które od niej dostała. Przy okazji chciała pobawić się z Tuptusiem. Tak naprawdę jednak najbardziej zależało jej na tym, aby znowu się do kogoś przytulić. Poczuć to niesamowite ciepło, które płynie od drugiej osoby. Troskę. Odrobinę uwagi.

Stukała dłuższą chwilę. Naciskała także klamkę, lecz drzwi zamknięte były na zatrask. Wiedziała, że babcia jest przygłucha i powolna, więc cierpliwie odczekała kilka minut. Wszystko wskazywało na to, że lokatorki nie ma w mieszkaniu. Małgosia pomyślała więc, że sprawdzi, czy nie ma jej u sąsiadów. Ewentualnie tam na nią poczeka. Pogada sobie z panią Barbarą i panem Bolkiem. Może nawet dostanie jakiś drobny poczęstunek. Nie jadła nic od wczorajszego śniadania, więc zasadniczo mogłaby odrobinę skosztować, bez obawy, że znowu utyje.

Wbiegła szybko na wyższą kondygnację i zastukała do drzwi.

Babci nie było u Sadzidlów. Gosia zastała wyłącznie pana

domu. Okazało się, że Barbara wyszła na spotkanie z jakimś znanym uzdrowicielem, który przyjechał do Krakowa. Nie mogła zaprzepaścić takiej niebywałej okazji, więc zanosiło się na to, że nie będzie jej ładnych parę godzin.

Mężczyzna zaprosił dziewczynkę do pokoju dziennego. Zostawiła w przedpokoju kurtkę. Butów nie zdejmowała, ponieważ miała zmarznięte stopy. Pan Bolek jak zwykle wskazał jej wersalkę. Zapytał, czy ma ochotę na piwo. Odmówiła.

– Zapalisz? – Wyciągnął do niej paczkę klubowych.

Na to także nie dała się namówić.

Mężczyzna nieraz częstował Gosię i Julitę papierosami. To u niego spróbowały ich po raz pierwszy w życiu. Wprawdzie rodzice obydwu nastolatek palili, ale co innego wdychać dym wypuszczany przez kogoś, a co innego samemu kurzyć. Nie smakowało im, lecz udawały, że wszystko jest w porządku i dla nich to nie pierwszozna. Kiedy już wyszły od Bolka, Gosia stwierdziła, że czuje się tak, jakby polizała popielniczkę. Kręciło im się w głowach i było im niedobrze. Tym razem obydwie rzygały na podwórku. Nie obawiały się tego, czy rodzice coś poczują. Już dawno nauczyły się, że idąc do pana Sadzidły, należy wziąć ze sobą miętowe gumy do żucia i dezodorant dla zabicia zapachów.

– Nie to nie – odparł.

Pogłaskał ją po udzie i stwierdził, że bardziej podoba mu się w spódnicy albo sukience. I czemu nie nosi już ładnych rzeczy, w których dawnej ją widywał? Wyglądała w nich tak kobieco. Zrozumiała, że Bolek mówi o wyszukanych kreacjach z atelier matki. Tych, których tak bardzo nie lubiła, bo czuła się w nich jak stara baba.

– No to może obejrzymy razem jakiś film? – zaproponował.

Spoglądał na nią w dziwny sposób. Domyślała się, że nie chodzi mu o komedię ani bajkę dla dzieci. Nagle poczuła się

bardzo nieswojo. Nie podobało jej się, że mężczyzna wciąż trzyma dłoń na jej nodze i siedzi tak blisko. Ani że parę razy dmuchnął na jej policzek.

Najlepiej będzie, jeśli zaraz pożegnaj się i wyjdę – przeszło jej przez myśl.

– Nie. Nie mam ochoty na film – oznajmiła.

– A na co masz ochotę? – zapytał, przysuwając się jeszcze bliżej. Tak bardzo, że ich uda się stykały.

– Na nic – wymamrotała, próbując się odsunąć. – Tak właściwie to przyjechałam do babci.

Niestety, za nią była już tylko drewniana krawędź mebla.

Bolek, nie przejmując się tym, że płoszy swego gościa, złapał brzeg jasnego golfu. Pomiętosił go chwilę w dłoni.

– Jakie to przyjemne w dotyku. Takie mięciutki – pochwalił.

– No. Dostałam ten sweter od kuzynki.

– Twoja kuzynka ma świetny gust. A może ją też do mnie przyprowadzisz, tak jak Julitkę? – zapytał.

Małgorzata już chciała powiedzieć, że kuzynka jest gwiazdą disco polo, lecz w ostatniej chwili coś powstrzymało ją przed nadmierną wylewnością. Wiola chyba nie chciałyby przyjść do pana Sadzidły. Pewnie nie byłaby zachwycona, gdyby usiadł tak blisko i zaczął dotykać jej nogi lub ubrania. Pamiętała, jak wpadły na siebie w koktajlbarze. Jakiś pan zajął wtedy miejsce tuż obok, ocierając się przez chwilę o jej bark. Odsunęła się jak oparzona i syknęła, aby jej nie dotykał. Nie było bowiem aż takiego tłoku, który mógłby to usprawiedliwić. A gdy tamten zignorował słowa Pawłowskiej i wręcz dosunął do niej krzeselko, mówiąc, że ciągnie go do ładnej kobiety, to nagadała mu wtedy do słuchu. Później, już po wyjściu z lokalu, przeprosiła Gosię za to, że była świadkiem takiej sceny. Powiedziała, że jest przewrażliwiona na punkcie prywatności. I nie podoba jej się, gdy ktoś tak nachalnie postępuje. Prawdziwy dżentelmen nie podrywa w ten sposób dziewczyn, bo

to są końskie zaloty. Nie wolno tak po prostu naruszać czyjejsz strefy komfortu.

– Chyba powinnam już pójść. Nie będę panu przeszkadzać.

– Ależ ty w ogóle mi nie przeszkadzasz – oburzył się mężczyzna. – Wiesz, że bardzo lubię, kiedy do mnie zaglądasz. I gdy przychodzi Julita. Oj, ta to jest dopiero modelka! – powiedział z miną kocura, który dobrał się do śmietanki.

Gosia nie bardzo rozumiała, o co mu chodzi, ponieważ koleżanka ze swą drobną posturą w ogóle nie przypominała modelki. Szymczakówna była od niej dużo wyższa i mimo chudości wyglądała znacznie dojrzalej. Często zdarzało się, że ludzie tytułowali ją panią. A Julity nigdy.

Tymczasem Bolek, niezrażony tym, że dziewczyna wciąż usiłuje się odsunąć i właściwie wcisnęła się tak mocno w kąt, że kant wezgłowia wersalki uwierał ją w plecy, wciąż na nią napierał. Poczowała ręce mężczyzny pod swetrem – zmierzające coraz wyżej i wyżej. Jeszcze nie nosiła stanika, nie było takiej potrzeby, więc zmroziło ją, gdy ścisnął palcami pączkującą pierś.

– Ojej. A co my tu mamy? – zapytał, posapując. – Cycusie rosną, moja panno.

– Nie! Niech mnie pan puści! – Próbowała się wywinąć, podczas gdy on zadzierał jej sweter.

– No nie bądźże taka łaskotliwa. Pokaż cycusie Bolkowi. Lubię takie jędrne – sapał.

Zaczęła się z nim szamotać, lecz miał nad nią znaczną przewagę. Ogarnął ją paniczny strach, że zaraz Sadzidło zrobi jej krzywdę. Przecież nie bez powodu dawał jej do obejrzenia te wszystkie kasety i tak się do niej ciągle łąsił. Na pewno oczekiwał teraz, że zobaczy w naturze to, co oglądał wcześniej na filmie.

– No chodź do pana Bolka, dzikusko! Nie szarpże się tak. Będzie dobrze – mamrotał z ustami przy jej policzku.

Poczuła dotyk czegoś mokrego w okolicy ucha. Domyśliła się, że powiódł tam językiem. To wywołało dreszcz obrzydzenia.

– No chodź. To tylko niewinna zabawa. Wiesz, że nigdy nie skrzywdziłbym takiej rozkosznej kobietki. Pokaż mi te swoje cycuszki, no!

W jednej chwili dotarło do niej, że to, co uważała za sympatyczne zainteresowanie, było w rzeczywistości wstrętne. To nie była niewinna zabawa. Dawniej, gdy była młodsza, tato poświęcał czasami trochę swojego cennego czasu na to, aby się z nią pobawić. Nigdy przy tej okazji nie próbował jej obmacywać ani łąpać za udo. Nie robił tego również żaden inny mężczyzna. Czasami chłopcy w szkole zasadzali się na jakąś dziewczynę, lecz z reguły taka szamotanina kończyła się wrzaskami i płaczem.

– Niech mnie pan puści! – krzyczała, miotając się szaleńczo.

Mężczyzna śmiał się, usiłując zedrzeć z niej sweter.

– Pokaż, co tam masz. Tylko podoję. No nie bójże się, nie zjem ci tych odrostków.

– Niech mnie pan puści – powtarzała ze łzami. – Błagam, niech mnie pan puści!

– A nie bądźże taka niedotykalska. Nie ubędzie ci! Sama mnie prowokowałaś. Najpierw przyłaziłaś tu w kusych ciuchach i mamiałaś człowieka, a teraz co? Bądźże dorosła! Auć! Przestań, ty mała zdiro! – wrzasnął nagle, zaskoczony bólem, gdyż nastolatka, niewiele myśląc, ugryzła go z całej siły w ucho, jedyną część ciała, której sięgnęła zębami, gdy on lekko się nachylił, przygwożdżając ją do mebla.

Jakimś cudem zdołała się wtedy wywinąć. A że była znacznie zwinniejsza od niego, nim się spostrzegł, dopadła drzwi.

– Sama mnie sprowokowałaś, ty cholero! Ino żebyś teraz nie leciała z bekiem do matki, bo jak mi tu przylezie, to jeszcze jej nagadam do słuchu! – ryknął w ślad za nią, gdy wybiegła z mieszkania.

Zanosząc się płaczem, Małgorzata zbiegła na dół. Wciąż oglądała się za siebie i nasłuchiwała, czy on jej nie ściga, ale na szczęście nie ruszył w pogoń.

Opuściła budynek i, niewiele myśląc, pobiegła w stronę alei Róż. Nie czuła chłodu, choć mróz szczypał jej policzki oraz chudziutkie ciało. Gnała ile sił w nogach, uciekając przed człowiekiem, który do tej pory udawał przyjaciela, lecz w rzeczywistości był zwyrodnialcem. Dotarła do przystanku autobusowego, gdy uświadomiła sobie, że nie ma kurtki. Zostawiła ją u Sadzidłów. Co gorsza, w jej kieszeni miała trochę drobnych, bilet MPK i legitymację szkolną.

– Co ja mam teraz zrobić? – załkała. Nigdy w życiu nie chciałyby wracać w tamto straszne miejsce. Bo wtedy Sadzidło na pewno by pomyślał, że przedtem tylko go podpuszczała.

Jakiś przechodzień spojrzał na nią z dezaprobatą.

– Ech, ta dzisiejsza młodzież! – Starsza kobieta stojąca na przystanku nie omieszkała skomentować jej widoku. – W pogoni za modą lata toto nieubrane i z gilem wiszącym u nosa. A co ojciec z matką powiedzą, jak się to rozchoruje? A leki tyle kosztują!! – utyskiwała. Skoro już zaczęła ten temat, to pociągnęła gderanie pod adresem służby zdrowia i farmaceutów. – Naprzepisują recept człowiekowi ile wlezie. Ale nikt nie pomyśli, z czego ja mam to wszystko wykupić! Byłam wczoraj w aptece – perorowała przed przystankowym audytorium – i musiałam wydać przy okienku prawie milion złotych! Na tyle mnie skasowali. Skaranie świata z tą demokracją! Za komuny to człowiek miał przynajmniej zniżkę na leki. A teraz co? Bida, szanowni państwo, bida!

Nastolatka nie słuchała dalszych wywodów na temat drożyzny i trudnych czasów. Potrzebowała koniecznie wtulić się w czyjeś ramiona. Usłyszeć, że wszystko będzie dobrze. Że już nigdy nie musi chodzić do babci, by nie natknąć się przypadkiem na tego potwornego człowieka. Mama na pewno byłaby zła, gdyby

zobaczyła ją w takim stanie. Zostałaby ukarana i za porzuconą kurtkę, i za utraconą legitymację oraz bilet miesięczny. I kto wie? Może również za to, że Bolek próbował zrobić jej krzywdę. Bo przecież ze starymi nigdy nic nie wiadomo! Ona też mogłaby powiedzieć, że to Gośka sprowokowała tego obleśnego dziada.

Dygocząc z zimna, poszła w stronę bloku zamieszkiwanego przez Wiolettę. Była przerażona i raz po raz z trwogą oglądała się za siebie. Wciąż dręczył ją strach, że Bolek po chwili zwłoki postanowił jednak, iż jej nie odpuści. A co by było, gdyby ją złapał w odludnym miejscu? Albo gdyby zaczął na nią wrzeszczeć na ulicy w obecności innych ludzi, że jest małą, podpuszczalską kurwą? Spaliłaby się ze wstydu. A gdyby jeszcze ktoś doniósł o tym usłudze jej rodzicom? Woląta nawet nie myśleć, co by się wtedy działo!

Na szczęście Sadzidło nie ruszył za nią w pogoń. Gosia postanowiła, że już nigdy w życiu do niego nie pójdzie. A do babci będzie jeździła tylko z ojcem.

Bez dzwonięcia domofonem udało jej się dostać do środka budynku. Jakaś pani wychodziła na spacer z psem i po prostu wpuściła zmarzniętą dziewczynę.

Małgorzata zatrzymała się przed mieszkaniem kuzynki. Kilkakrotnie zastukała, użyła też dzwonka, lecz Wiola nie otworzyła. Gosia przyłożyła ucho do drzwi. Nie usłyszała nawet szelestu. Wszystko wskazywało na to, że kuzynka wyszła. Zdruzgotana nastolatka nie wiedziała, co ma teraz ze sobą zrobić. Było jej zimno i wciąż czuła paniczny strach przed Bolkiem.

Być może ją obserwował i zaczął się gdzieś w pobliżu. Nie miała odwagi, aby wyjść z bezpiecznego schronienia.

Po chwili naszyły ją kolejne, przerażające myśli. A jeśli ten straszny człowiek powie babci, że zostawiła u niego swoje rzeczy i każe Goście po nie wrócić? A potem nie będzie chciał ich oddać, póki ona nie da mu się wymacać. Albo zażąda czegoś

jeszcze gorszego! Na przykład będzie chciał włożyć palce między jej uda albo jakąś rzecz? Tak, jak robiły sobie aktorki na jego kasetach.

Nie mogła poskarżyć się mamie, bo rodzice zrobiliby jej gigantyczną awanturę. Strach pomyśleć, jaką karę mogliby dla niej wymyślić. Na pewno wściekaliby się, że sprowokowała Sadzidlę. Na pewno!

Poczekam tutaj. Może Wiolka zaraz wróci? Poproszę ją, żeby pożyczyła mi jakąś kurtkę i pieniądze na autobus. Mamie powiem, że zgubiłam bilet i legitymację. Albo lepiej, że ktoś mi je ukradł. Bo jakbym zdradziła, że zostały u tego okropnego dziada, to kazałaby mi po nie pójść – załkała żałośnie.

Usiadła na stopniach, skuliła się i objęła ramiona dłońmi. Dygotała z zimna i przerażenia. Jej świat się zawalił. Wiedziała, że prędzej czy później sprawa może się wydać.



Kiedy rano Wiolka zastukała do drzwi, Julia, która wyszła, by jej otworzyć, przestraszyła się, że stało się coś bardzo, bardzo złego. Jeszcze nigdy nie widziała wnuczki w równie opłakanym stanie. Z miejsca zabrała nieszczęśnicę do kuchni, posadziła na taborecie i zaparzyła melisę. Czuła, że czeka je jakaś trudna rozmowa.

Plącząc się i szlochając, Wioletta opowiedziała babci o wszystkim, co wydarzyło się w minionym czasie. Zaczęła od uprzykrzającego jej życie prześladowcy. Potem powiedziała o zakończonej karierze, której w gruncie rzeczy troszkę żałowała, a następnie z ogromnym zażenowaniem skończyła na ciąży i reakcji przyszłego ojca.

W miarę, jak płynęła opowieść, Julia Pawłowska zdążyła najpierw odetchnąć z ulgą, że nikt nie umarł – bo póki życie

trwało, póty była nadzieja, że wyrządzone krzywdy zostaną naprawione. Potem niemalże śmiertelnie wystraszyła się, że ktoś czyha na jej ukochaną wnusię. Na rezygnację z muzykowania machnęła ręką.

– Kochanie, to doprawdy niewielka strata. Na razie masz dość pieniędzy na dostatnie życie. Skończ studia, a później poszukaj dobrej pracy, która da ci satysfakcję i poczucie stabilizacji. Zawsze możesz sobie dorobić w jakiś mniej ekscentryczny sposób. Zresztą sama mówiłaś, że tantiemy jeszcze długo powinny spływać.

– No tak, ale to nie wszystko. Uwierz mi, babciu, że porzucenie branży muzycznej jest najmniejszym z moich problemów w chwili obecnej. Właściwie to żaden problem, bo odkąd podjęłam decyzję, jakoś lżej mi na sercu.

W tym momencie przyszła pora na najtrudniejszą część relacji. I tutaj polały się łzy wzruszenia oraz pełne wściekłości komentarze Wawrzyńca, który zajrzał jakiś czas temu do kuchni zwabiony odgłosami ich rozmowy. A że wnuczka nie widziała powodu, dla którego miałaby trzymać przed nim swoje sprawy w sekrecie, został z kobietami, by wysłuchać wszystkiego do końca.

– O mój Boże! Będę prababcią! Moje ty kochanie! – Julia przygarnęła Wiolettę do piersi. – Nie płacz dziecinko, wszystko się ułoży. Może to i lepiej, że ten łotr od razu odkrył swoją twarz.

– No nie tak od razu – westchnęła dziewczyna, zdumiona jej reakcją.

Wiedziała, że dziadkowie są tradycjonalistami. Spodziewała się więc połajanki za związek z człowiekiem, który reprezentował całkowicie odmienny światopogląd.

– Miłość jest ślepa. Nie można też skreślać kogoś tylko dlatego, że ma inny punkt widzenia i wychowywał się w innych wartościach. Chyba że to są wartości niemoralne,

niehumanitarne lub patologiczne – orzekł Wawrzyniec, usprawiedliwiając wnuczkę. – Ale mam ochotę spotkać się z tym łobuzem i nagadać mu do słuchu! Jakim trzeba być gnojem, by udawać kawalera, uwieść niewinną pannę, a na ostatek tak niecznie ją potraktować! Gdyby wpadł w moje ręce, to chyba urwałbym mu jaja!

Ogarnęła go wściekłość na nieznanego mężczyznę, który ważył się skrzywdzić jego ukochaną Fasolkę. Nie po raz pierwszy z zaskoczeniem stwierdził, że choć żyłach siedzącej obok dziewczyny niewiele jest jego krwi, to jednak ją spośród wszystkich swoich wnuków kocha najbardziej. Choć był tylko ojczymem dla Karola, a z Julią łączyło go dalekie pokrewieństwo poprzez romans przodków, to jednak zawsze traktował pasierba, jakby był jego rodzonym synem, a jego wnuki nie inaczej niż dziatwę Marty i Zochy – swoich córek. Ot, co potęga miłości potrafi zrobić z człowiekiem!

Kipiał więc teraz wściekłością, pomstując na czym świat stoi. Julia usiłowała choć trochę ostudzić jego gniew.

– Wawrzusiu, co to da?

– Trzeba nauczyć gnoja moresu! Kto to widział, by tak sobie poczynać! A i jego ślubna też powinna się dowiedzieć, jakiego sobie wzięła mężulka.

– Nie, dziadku! – pisnęła wystraszona Wioletta.

– Nie, Wawrzusiu! – wykrzyknęła zdenerwowana babcia. – Na co ci to? Chcesz wziąć na siebie cudzy grzech? Bo jakby oni się rozwiedli, to na kogo spadnie wina? Ano na tego, co doniósł żonie, że ją mąż zdradził!

– Ee! – Wawrzyniec machnął lekceważąco lewą ręką, bo w prawej trzymał kubek z herbatą. Z miejsca się skrzywił, bowiem odezwał się stary uraz, który często przypominał o sobie rwaniem lub drętwieniem kończyny. – Co to za małżeństwo, skoro jest ateistą? Przed Bogiem nie ślubowali, więc jaką wagę ma dla nich przysięga?

– Głupstwa gadasz. Przysięga to przysięga. Nieważne, czy przed Bogiem, czy przed urzędnikiem. Dla tej kobiety na pewno jest istotna.

– Dla Elżbiety się nie liczyła. – Spojrzał znacząco w oczy swej małżonki.

Elżbieta była jego pierwszą żoną. Wziął z nią wyłącznie ślub urzędowy, gdyż taka była jej wola. Małżeństwo rozpadło się bardzo szybko, ponieważ miłość okazała się iluzją, namiętność wygasła, a małżonków dzieliły zbyt duże różnice światopoglądowe, by mogli ze sobą wytrzymać.

– Wawrzusiu, nie znasz żony tego człowieka, więc nie możesz przyjmować takich założeń – protestowała Julia. – Robienie awantur niczego nie zmieni. On nie chce naszej Wiolinki i maluszka. A ona obejdzie się bez takiego mężczyzny. Dobrze, że w końcu przestał ją oszukiwać. Gorzej byłoby, gdyby zwodził bidulę w nieskończoność. Nie martw się, kochanie. Nie zostaniesz sama z dzieciątkiem. – Pogłaskała przyszlą matkę po twarzy. – Zawsze możesz na nas liczyć. Sił nam na szczęście nie brakuje. A i ojciec też ci nie odmówi pomocy, jestem przekonana. Trzeba mu teraz o wszystkim powiedzieć, bo utrzymywanie sekretu nie ma sensu. Karol na pewno zrozumie sytuację.

– Nie potępiasz mnie? Nie jesteś zła, że będę miała nieślubne dziecko?

– Oj Fasołko, Fasołko. Nie ty pierwsza i nie ostatnia. A kimże ja jestem, żeby cię potępiać? Co ty myślisz, że jak jestem stara, to życia nie znam? Dziecko drogie! Przecież ja za te sześćdziesiąt trzy lata dość się napatrzyłam na świat i dość sama przeżyłam.

– Babciu! – wyszłochała Wiola, tuląc się do kobiety.

– A nie płaczże już, Wiolinko. Nie pora na łzy, moja maleńka. Nie pora na łzy – skwitowała Julia, ocierając delikatnym kojącym gestem mokry policzek wnuczki.

Koniec części I

[\[16\]](#) Fragment utworu *Telefon* – słowa: Kazik Staszewski, muzyka: Jacek Kufirski, wykonanie: Kazik Staszewski – album solowy, płyta *Spalaj się!*, Wydawnictwo Muzyczne Eska 1993 r.

[\[17\]](#) Niegdyś osiedle XX-Lecia PRL.

[\[18\]](#) Fragment utworu *Kobieta wyzwolona* – słowa: Kazik Staszewski, muzyka: Jacek Kufirski, wykonanie: Kazik Staszewski – album solowy, płyta *Spalaj się!*, Wydawnictwo Muzyczne Eska 1993 r.

[\[19\]](#) Fragment tekstu piosenki *Son of the Blue Sky* z repertuaru grupy Wilki. Muzyka i tekst Robert Gawliński. Płyta *Wilki*, MJM Music 1992 r.